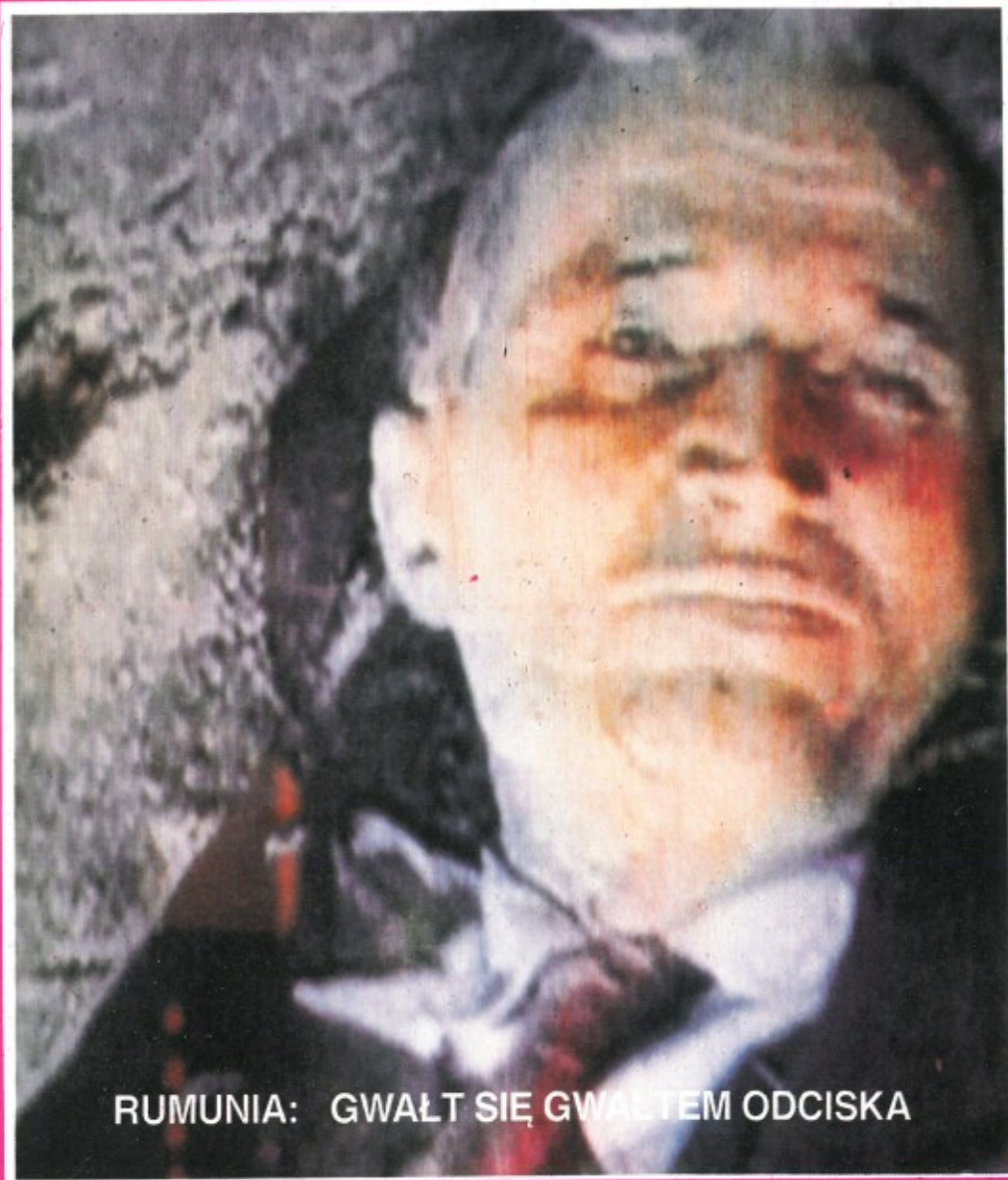
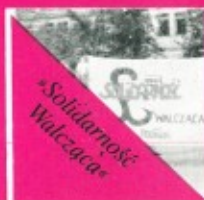


Warszawa-Berlin, styczeń-luty 1990 r. Rok IX, nr 1 (157)-2 (158)

Pogląd

Magazyn polityczny:
niecenzurowany
krytyczny
niezależny
pozapartyjny



RUMUNIA: GWAŁT SIĘ GWAŁTEM ODCISKA

Pogląd

miesięczny magazyn polityczny
styczeń-luty 1990, nr 1(157)-2(158)

Edward Klimczak	
Rozpad ostatniego imperium	2
Stanisław Gałęzowski	
Berlin Zach.: Konferencja organizacji prosolidarnościowych	4
«Żądamy konkretnów»	7
rozmowa z Andrzejem Gwiżdżą Wiktor Grotowicz	
Ludobójstwo naszych czasów	9
«Nadzieja, że będzie gorzej...»	13
Witold Gadomski rozmawia z prof. Andrzejem Zawisłakiem	
Z GEOGRAFII POLITYCZNEJ PRL	
Anita Gargas, Maciej Wojciechowski	
«Solidarność Walcząca»	15
«Wolni i solidarni»	18
rozmowa z Kornelem Morawieckim	
«Nie chcemy komunizmu»	19
z Ewą Kubasiewicz rozmawia Elżbieta Stasik Witold Pronobis	
«SW» wobec zmian zachodzących w Polsce po «okrągłym stole»	22
Polska w Europie	25
Jerzy Czejmnic rozmawia z Mirosławem Chojeckim	
Rafał Gan-Ganowicz: «Walczę z nimi — gdzie mogę i jak mogę»	28
Zbigniew Zbikowski	
Honor ludowego oficera	33
Romuald Szeremietiew	
PRL czy Rzeczpospolita Polska?	35
Katarzyna Zborska	
Przeciwko eko-rozbojowi	39
Anna Kępczyka	
Korzenie	40
Marek Toporczyk	
Bitwa o polską szkołę	42
Aureliusz M. Pedziwoł	
«Czas dziewczątek»	44
Maciej Radwan Rybiński	
Prywatne rozmyślenia	47
Cezary Stolarczyk	
W celowniku: Norwegia	50
Piotr Kowalczyk	
Opowiedzcie o tym dalej	53
Fryderyk Kremser	
Zmiana skóry czy odpadanie tyńku?	59
Wiktor Nykiel	
Przestrogi Juliusza Miroszewskiego	64
Jan Łukasów	
Haniebna «Wisła»	66
Stefan Zierski	
Zachód wobec zbrodni katyńskiej	69
Adam Fink	
Nieco marzeń	70
Paweł Luty	
«Labirynt» — Przeszłość Podziemia	71
Listy do redakcji	73
Polacy w diasporze	75

Numer zamknięto dn. 26.01.90 r.

Oddano do druku dn. 30.01.90 r.

Zdjęcie na okładce: dpa

«W 20 sekund po egzekucji Ceausescu»

Projekt rewersu okładki: Waldemar Kremser

Interlinie

LUDOBÓJSTWO NASZYCH CZASÓW

STR. 9



Spółczesność rumuńska, o którym mówiono, że jest jednym z ostatnich w kolejce do wolności dokonało rzeczy nieprawdopodobnej wyzwalając się spod władzy psychicznego i fizycznego teroru Conducatora Ceausescu. O tej najkrwawszej w powojennej historii Europy rewolucji pisze Wiktor Grotowicz.

WALCZĘ Z NIMI — GDZIE MOGĘ I JAK MOGĘ

STR. 28



Rafał Gan-Ganowicz był nauczycielem, kierowcą, stróżem nocnym, spadochroniarzem, komandosem, doradcą wojskowym, monterem pracującym na rusztowaniach, elektrykiem przemysłowym, kierownikiem warsztatu. Dzisiaj mieszka w Paryżu, jest dziennikarzem i przedstawicielem "Solidarności Walczącej" we Francji.

W rozmowie z "Poglądem" wyjaśnia, dlaczego nie nawidzi komunistów.

SPROSTOWANIA

P.T. Czytelników i poszkodowanych przepraszamy za pomyłki: "Pogląd" nr 4(156): w pisowni słowa "niedźwiedź" w tytule (str. 14) oraz w "spisie treści"; przestawienie zdjęć na str. 42 i 27. "Pogląd", nr 3(155): przestawienie nazwisk Wojciecha Adamieckiego i Konstantego Geberta obok zdjęć na str. 14 oraz błędną pisownię nazwiska p. Ewy Szeplińskiej, autorki materiału o ruchu ludowym (str. 22).

red.

PRZECIWKO EKO-ROZBOJOWI

STR. 39

Domagają się równoprawnego współzycia ludzi z ludźmi i człowiekiem z przyrodą. Są nieformalni i otwarci, nie rozdają legitymacji i nie wybierają przewodniczącego. Nie znoszą biurokracji i planowania działań. Chcą prawa do swobodnego myślenia i życia w nieskażonym środowisku naturalnym.

Katarzyna Zborska przedstawia młodzież z ruchu ekologiczno-pokojowego "Wolę być".



W CELOWNIKU: NORIEGA

STR. 50

Mówiąc o inwazji wojsk USA na Panamę trudno nie przypomnieć historii amerykańskich interwencji w krajach Ameryki Łacińskiej i Południowej. Komentuje je Cezary Stolarczyk z USA opisując inwazję, jej przyczyny i reperkusje.



WE WŁASNEJ SPRAWIE

Niniejszy, podwójny numer zawiera 76 stron, prenumeratory zagraniczni otrzymują go za tą samą cenę — DM 8,-. Montaż (reprodukcja zdjęć i tzw. "blachy") ma być (został!) po raz pierwszy wykonany w Warszawie. Druk w Warszawie i Poznaniu. Poszukujemy kolporterów w Krakowie, Lublinie i innych miastach. Warunki dogodne. Złożenia do redakcji w Warszawie.

■ BERLIN WSCHODNI. Przewodniczący konsystorza związku kościołów ewangelickich w NRD Manfred Stolpe określił rewanzystowskie dążenia polityków RFN dotyczące powrotu do granic z 1937 r. jako zagrożenie dla pokoju. (NEUES DEUTSCHLAND, 9.11.89)

■ WASZYNGTON. Anna Walentynowicz, "matka" "Solidarności" w rozmowie z CHRISTIAN SCIENCE MONITOR stwierdziła, że "amerykańska opinia publiczna przeżywa euforię sądząc, że zmiany w Polsce prowadzą do demokracji, ale komuniści znowu okłamują opinię publiczną i pragną nawet zwiększenia polskiego długu, bowiem to, o co proszą Zachód służy im, komunistom, nie narodowi — naród wciąż nie kontroluje sposobu wydatkowania pożyczek." (CHRISTIAN SCIENCE MONITOR, 16.11.89)

■ JEROZOLIMA. Na spotkaniu z prezesami dużych amerykańskich organizacji żydowskich Wałęsa ogłosił się strażnikiem dziedzictwa żydowskiego w Polsce i wyraził nadzieję, że wkrótce odwiedzi Izrael. Obiecał też działać na rzecz uchylecia rezolucji ONZ pn. "Syjonizm to rasizm". (THE JERUSALEM POST, 19.11.89)

■ JEROZOLIMA. W rubryce "Rynek pracy" ukazała się informacja Jeffa Blacka pt. "Polskie pielęgniarki przelicytowują Filipinki", z której wynika, że Polki w izraelskim urzędzie zatrudnienia są ostrą konkurencją dla Filipinek, bowiem gotowe są pracować za "niewolniczą płacę" 500 dol. miesięcznie, a urząd nie może interweniować w sprawach płacy, bowiem ta zależy od ustaleń między pracodawcą i pracownicą. (JERUSALEM POST, 21.11.89)

■ MOSKWA. Zwłoki polskiego naukowca znaleziono w sowieckim mieście Dubna koło Moskwy — jak podaje za EKSPRES WIECZORNYM korespondent agencji Reutersa; w zwłokach tkwił nóż i kartka z napisem: "Za Lenina w Krakowie". (TAGESSPIEGEL, 17.12.89)

■ MOSKWA. Ponad 25 tys. moskwičan ubiega się o zatrudnienie w amerykańskiej firmie McDonald (samoobsługowe restauracje sprzedające gotowe dania, przede wszystkim frytki — przyp. red.), która zamieściła w prasie ogłoszenie o utworzeniu 630 miejsc pracy. (TAGESSPIEGEL, 16.12.89)

■ MOSKWA. Członek biura politycznego KPZS Jakowlew przyznał, że "w najwyższym interesie Związku Sowieckiego leży suwerenność NRD, której samodzielność państwowa jest podstawą stabilizacji i pokoju w Europie." (TAGESSPIEGEL, 16.12.89)

■ BELGRAD. Jugosławia (zadłużenie 17 mld dolarów) uzgodniła z Międzynarodowym Funduszem Walutowym nowe kredyty. Pożyczka rozpisana jest na półtora roku i opiewa na sumę 600 mln dolarów. (DIE WELT, 21.12.89)

■ WARSZAWA. Europejska Wspólnota Go-

spodarcza udzieli Polsce pomocy medycznej wartości ponad 5 mld marek zachodniemieckich. Środki te powinny zostać przeznaczone na zakup leków i sprzętu medycznego. (TAZ, 23.12.89)

■ **MOSKWA. PRAWDA** sprawiła sobie nową winietę. Od 1 stycznia br. ukazuje się z większym niż dotąd tytułem i bez zwykłych insygniów. Na pierwszej stronie, w lewym górnym rogu bliższy portret Lenina. (TAZ, 2.01.90)

■ **WARSZAWA.** "Najistotniejszy konflikt, który dzieli dzisiaj Polskę i Kościół nie jest konfliktem między lewicą a prawicą, tylko konfliktem istniejącym w każdej polskiej duszy: między duchem europejskim a duchem narodowym" – komentuje Adam Michnik renesans życia religijnego w Polsce. (EL PAIS, 27.12.89)

■ **WARSZAWA.** Czy Polska stanie się Sycylią Wschodu? – zastanawia się warszawski korespondent TAGESZEITUNG pisząc o spowodowanym pauperyzacją wzroście przestępczości w Polsce. (TAZ, 3.01.90)

■ **PRAGA.** Rząd Czechosłowacji wezwał żyjących za granicą Czechów i Słowaków, by zapomnieli o błędach przeszłości i wrócili do ojczyzny. (MORGENPOST, 6.01.90)

■ **WARSZAWA/PRAGA.** Czechosłowacja i Polska odrzuciły ideę byłego doradcy prezydenta USA Cartera, Zbigniewa Brzezńskiego odnośnie utworzenia konferencji jako przeciwwagi ewentualnych przyszłych zjednoczonych Niemiec. (TAGESSPIEGEL, 12.01.90)

■ **PEKING.** Oszczędnościowa polityka chińskiego rządu powoduje dalszy wzrost bezrobocia; w ciągu pierwszych 9 miesięcy ub. roku liczba bezrobotnych wzrosła do 2,3%, w skali roku eksperci mówią o 5%. (TAZ, 22.01.90)

■ **BERLIN WSCHODNI.** NRD rozpoczęła oficjalną sprzedaż berlińskiego muru – 3,50 m wysokości i 1,20 m szerokie segmenty kosztują od 100 do 700 tys. marek zachodniemieckich. Dochód ma być przeznaczony na dofinansowywanie lecznicwa i opieki nad pomnikami. (TAZ, 22.01.90)

■ **PEKING.** "Uczmy się od Rumunii" – to jedno z haseł, jakie pojawiło się na ścianie pekińskiego uniwersytetu w pierwszych dniach stycznia br. (DIE ZEIT, 5.01.90)

■ **BUKARESZT.** "Kiedy przed moim domem stały w ogniu samochody Securitate po raz pierwszy miałam ciepło w mieszkaniu" – skomentowała grudniowe powstanie obywatelka Rumunii. (DIE ZEIT, 2-5.01.90)

Edward Klimczak

Rozpad ostatniego imperium

W związku z rosyjsko-azerbejdżańskim konfliktem niemieccy dziennikarze głośno wyrażają współczucie Gorbaczowowi i obawy o jego polityczną kondycję, choć rzecznik Kremla Gierasimow zapewnia, że w sowieckim państwie nie ma alternatywy wobec "pieriestrojki" i jej inicjatora. Można to zrozumieć i tak, że dzisiaj Rosji Sowieckiej nie stać już na pełnienie funkcji "żandarma Europy" – brak do tego bazy gospodarczej i wojskowej czy też tzw. frontu ideologicznego lub rewolucyjnego, w oparciu o który można by wprowadzić ponownie "dyktaturę proletariatu". Współczucia nie znajdują natomiast azerbejdżańscy powstańcy, których określa się w prasie jako "nacionalistów", podobnie jak przez osiem lat wojny w Afganistanie antykomunistycznych partyzantów nazywano "rebeliantami".

O ile jednak afgańscy mudżahedini cieszyli się przynajmniej powściągliwą sympatią wielu zachodnich organizacji praw człowieka i części mass mediów, to po stronie antysowieckich rebeliantów z Baku nikt na Zachodzie stanąć nie chce. Islamskich Azerbejdżan (4,8 mln w ZSSR) uznaje się winnych wywołania konfliktu narodowościowego w znajdującej się wewnątrz ich terytorium ormiańskiej enklawie o wdzięcznej nazwie Nagornoj Karabach, a następnie za trwające już od wielu miesięcy pogromy Ormian, będących chrześcijanami. Podłożem tych pogromów jest niewątpliwie nie tylko inny język i religia, ale i inna tradycja i kultura. Przede wszystkim jednak historyczną winę za narodowościowe konflikty na Zakaukaziu (a także i wszędzie indziej w Sowietach) ponoszą sowieccy komuniści; realizacja ich doktryny, wg której ZSSR powinien być "ojczyzną narodów", sprowadzała się do ucisku podbitych narodowości oraz podlegania nienawiści między nimi, jako że zwaśnionymi łatwiej jest rządzić. I łatwiej było narzucać im rosyjskojęzyczną sowietyzację.

Choć co bardziej obiektywni komentatorzy polityczni zwracają uwagę na dotychczasową, błędną politykę narodowościową Kremla, nie powoduje to jednak wzrostu sympatii do Azerbejdżan, których brutalność wobec Ormian i szwinnizm przesłaniają potrzebę



szwinnizm przesłaniają potrzebę respektowania ich naturalnego prawa do suwerenności. Możliwość wybięcia się Azerbejdżan na niepodległość są na razie nikłe, gdyż sowieckie państwo potrzebuje bawełny, gazu i ropy z Morza Kaspijskiego, i z pewnością zdecydowanie bronić będzie swojej południowej flanki. Wątpliwe jest też, czy Iran, w którym żyje aż 3,3 mln Azerbejdżan jako mniejszość narodowa mówiąca językiem innym niż perski, zdecyduje się na jakąkolwiek zauważalną pomoc, np. dostarczanie broni dla Azerbejdżan w ZSSR, co groziłoby – przegrany – konfliktem z Moskwą. W takim konflikcie Gorbaczow miałby za sobą najpierw własne społeczeństwo, zjednoczone zewnętrznym zagrożeniem, a następnie nie tylko Europę Zachodnią ale nawet i Stany Zjednoczone. Nie oznacza to jednak, że w Azerbejdżanie – przy pomocy rodaków z Iranu –



Pozycja Gorbaczowa nie jest zagrożona

państw-satelitów. Proces odpadania rozpoczął się najpierw w sferze ideologii — nastąpiło uniezależnienie się "bratnich" partii komunistycznych od centrali, a potem zmiana kierunku. Uzyskana tu niezależność pozwoliła na żądania samodzielności gospodarczej i politycznej, obecnie śmiało już artykułowane przez Węgrów i Czechów. Na pewno drogą tą pójdą republiki nadbałtyckie i wyobrażalne jest, że pod zdecydowanym naciskiem mieszkańców tych krajów Moskwa przyzwoli na ich finlandyzację, co nie musi mieć złych skutków gospodarczych dla Sowietów. Kraje te bowiem mogą stać się pomostem technologicznym dla Rosji, już to przez najlepsze w Sowietach gospodarowanie i znajomość zachodnich technologii, ale i poprzez znajomość języka rosyjskiego (szkolenie rosyjskich specjalistów).

Nie ma powodu martwić się o kondycję Gorbaczowa jako szefa Kremla, którego sytuacja mimo rozkładu imperium wcale nie jest zła. Sowietom nie grozi żadne zagrożenie z Europy Zachodniej ani ze strony Stanów Zjednoczonych. Niemcy zaś za zgodą na "Wiedervereinigung" tj. zjednoczenie, będą z pewnością gotowi do udzielenia Sowietom znacznych kredytów i daleko idącej pomocy technologicznej. Pomoże to zahamować kryzys gospodarczy. A dla niezadowolonych wojskowych znalazło się już zadanie — obrona granic sowieckiego państwa przed napierającym islamem. Przeciwników "pierestrojki" spośród generałów można więc wysłać na Zakaukazie, gdzie mogą dowodzić swoich racji.

Odpadnięcie od Sowietów państw-satelitów czy republik nadbałtyckich, a więc i likwidacja Paktu Warszawskiego i RWPG, przywróci Europie Środkowej utraconą w wyniku II wojny światowej równowagę. Tylko wizjonerzy mogą twierdzić dzisiaj, że możliwe jest, iż pewnego dnia ONZ-owscy przedstawiciele Ukrainy i Białorusi będą reprezentować naprawdę suwerenne państwa. Dopiero gdy to nastąpi, będzie można mówić o upadku "imperium zła".

Berlin Zachodni, dn. 26.01.1990

Edward Klimczak

nie może dojść do długotrwałych walk partyzanckich, absorbujących siły wojskowe Moskwy, której imperium zaczyna chwiać się w swoich podstawach.

Jeśli chodzi o Ormian, to racją ich stanu jest przymierze z Rosją, gdyż samodzielnie są za słabi, aby stawić czoła napierającym mahometanom. Wątpliwe, czy nawet przy pomocy Kremla uda im się utrzymać historycznie własny region Nagornego Karabachu, skąd uchodźcy pojawili się ponoć nawet w Leningradzie i Moskwie. Jak to jest możliwe — zapytał sowiecki pisarz Jewtuszenko — że siedmioletnie dzieci jednego narodu (Azerbejdżan — przyp. E. K.) paląją taką nienawiścią do drugiego narodu, że kładą się na torach kolejowych, po to aby zatrzymać pociąg z żywnością i zagłodzić siedmioletnie dzieci innego narodu? Aby zahamować lawiny obustronnej nienawiści trzeba by wznieść między Azerbejdżanem i Armenią nowy Mur Chiński. A co wtedy z azerbejdżanskim regionem Nachiczewan, który leży na terytorium Armenii, tak jak Nagorny Karabach w Azerbejdżanie? Jak rozciąć ten węzeł gordyjski? Być może jakimś układem państwowym, jak z Austrią w 1955 r.

Konflikty narodowościowe i antyrosyjskie (antysowieckie) wystąpienia na peryferiach Sowietów, jak np. w republikach nadbałtyckich, poprzedza wypadanie z sowieckiego imperium



fol. Waldemar Krensar

NRD: ZEISS A HANDEL BRONIĄ

Wschodnioniemieckie zakłady optyczne Zeissa przestawiają się na cywilną produkcję. Zakłady zatrudniające około 3 tys. osób produkować będą sprzęt optyczny dla lekarzy, specjalistyczne mikroskopy i sprzęt testujący dla przemysłu półprzewodników. Dotychczasowa produkcja przeznaczona dla wojsk pancernych staje się zbędna. Wartość produkcji militarnej spadnie w 1991 roku do 50 mln marek, zostanie jednak utrzymana, "by wypełnić zobowiązania wobec Paktu Warszawskiego". Dyrektor Zeissa zapewnił, że zakłady nigdy nie dostarczały broni krajom znajdującym się w stanie wojny, nie miały też żadnych związków z nielegalnym handlem bronią. (DIE WELT, 6.12.89.)

AZYL W ZJEDNOCZONEJ EUROPIE

Odpowiedzialny za sprawy imigracji minister Wspólnoty Europejskiej stwierdził, że w ciągu nadchodzącego roku powstaną dwie konwencje: w sprawie polityki azylowej, a także odnośnie do wspólnej wizy i jednolitej kontroli granic państw członkowskich. Minister podkreślił potrzebę ujednoczenia prawa azylowego i gwarancji dla obywateli europejskich posiadających prawo pobytu. Osoby prześladowane politycznie powinny zachować prawo ubiegania się o azyl w kraju swojego wyboru (w 1989 roku w krajach EWG ok. 500 tys. osób wnioskowało o przyznanie azylu politycznego). Jednocześnie wymiana informacji musi zapobiec składaniu podwójnych wniosków azylowych. (SÜDDEUTSCHE ZEITUNG, 17.12.89.)

Stanisław Gałęziowski

Berlin Zach.: Konferencja organizacji prosolidarnościowych

Conference of Solidarity Support Organisations – tak nazywa się nieformalne zrzeszenie działających w krajach zachodnich polskich organizacji z szyldem "Solidarności". Powstały one po wprowadzeniu stanu wojennego w PRL w dn. 13 grudnia 1981 r. w celu obrony ówczesnego NSZZ "Solidarność", postawionego wówczas przez gen. Jaruzelskiego poza prawem. "Konferencja" została powołana w styczniu 1983 r. w USA z inicjatywy amerykańskich komitetów, do których w latach następnych dołączyła znakomita większość prosolidarnościowych organizacji z Europy, w tym paryski "Kontakt" M. Chojeckiego, zachodniobерлінskie "Towarzystwo Solidarność" czy też zachodniemieckie komitety pomocy "Solidarności" z Mougincji i Akwizgranu. W połowie lat 80-ych, na szczycie fali pomocy dla "Solidarności", uczestnikami CSSO było prawie 30 organizacji. Jedynymi organami "Konferencji", celem której jest wyłącznie wymiana informacji między uczestnikami organizowanych dwa razy do roku spotkań-konferencji, są tzw. koordynatorzy: "światowym" koordynatorem jest Józef Lebenbaum z Lundu w Szwecji, a "europejskim" – Krzysztof Turowski z zespołu paryskiego "Kontakt". Kolejną, badając już siedemnastą, konferencję

CSSO zorganizowało Towarzystwo Solidarność w dn. 8-10.1989 w Berlinie Zachodnim (o CSSO pisał "Pogląd" m.in. w nr. 106 i 133).

Spotkanie na zachodniobерлінskiej wyspie było jedną ze skromniejszych konferencji, gdyż tylko kilka organizacji wystawiło swych przedstawicieli do odległego Berlina, właściwie poza granice Zachodu. O zadaniach organizacji prosolidarnościowych na Zachodzie oraz o tym, czy "Solidarność" jest związkami zawodowym, partią polityczną lub ruchem społecznym (pytanie to było mottem konferencji) dyskutowało raptem 15 osób z kilku organizacji (Szwecja, Francja, Dania, RFN i Meksyk), a także posłowie OKP-u do Sejmu – Jerzy Dłużniewski, Henryk Michalak (Łódź) i Czesław Nowak (Gdańsk) oraz kilku gości z Polski (Poznań i Wrocław), w tym Andrzej Gwiżdża z Gdańska.

Dla posłów OKP najważniejsze było poznanie problemów obumierającego w ostatnich latach zachodniego ruchu prosolidarnościowego, dla działaczy prosolidarnościowych organizacji uzyskanie odpowiedzi na wspomniane wyżej pytanie jak również ocena przez działaczy krajowych sytuacji politycznego kompromisu, w jaki sposób nowa/stara (?) "Solidarność" czy też jej elita z komu-

wana w RFN filozofia związków zawodowych – powiedział Jahnce – opiera się na "społecznym partnerstwie" pracodawców i pracowników oraz współdecydowaniu (Mitbestimmung) pracowników poprzez swoich związkowych przedstawicieli o całokształcie działalności zakładu lub koncernu, w którym są zatrudnieni. Tak np. przew. związku zawodowego metalowców IG Metall – jest nim obecnie Franz Steinhuber – tradycyjnie zajmuje stanowisko jednego z dyrektorów Volkswagena. Dzięki takiej strukturze udaje się w RFN w dużej mierze neutralizować konflikty między pracą a kapitałem; gospodarka rynkowa ma charakter socjalny (soziale Marktwirtschaft), a zanim dojdzie do strajku w rezultacie zerwania rokowań taryfowych, obie strony uczestniczą w procesie negocjacyjnym, włącznie do powołania niezależnych komisji pojednawczych.

Inną cechą zachodniemieckiego ruchu związkowego jest jego pluralizm, choć związki zawodowe ukierunkowane politycznie nie zdobyły dużej ilości członków, jak np. związki branżowe zjednoczone w Chrześcijańskiej Unii Związków Zawodowych (Christlicher Gewerkschaftsbund). Nie ma związków o kierunku socjalistycznym czy komunistycznym. Rodzaj zatrudnienia, charakter pracy czy też status pracowniczy jest podstawą członkostwa w tym czy innym związku i różnicuje też trzy wielkie unie związkowe, które są tzw. "Einheitsgewerkschaften" – jednolitymi związkami, jak np. DGB, tj. Deutscher Gewerkschaftsbund (siedziba w Düsseldorfie, przew. Ernst Breit), do którego należą związki organizujące robotników (w tym IG Metall) czy wspomniany wyżej Deutscher Beamtenbund (DBB) dla urzędników lub Deutsche Angestellten-Gewerkschaft (DAG) jako związek pracowników umysłowych. Tyle Egbert Jahnce z DBB, niejako patronujący temu spotkaniu w luksusowych pomieszczeniach Instytutu im. Paula Löbego w centrum Berlina.

Powyższe jak widać całkowicie przeczy dość powszechnemu w Polsce



Na sali obrad: Kto odpowie na to pytanie?

fol. Pogląd

Praktyko-

jest "zjednoczony" w DGB, choć przyznać trzeba, że unia ta z 10 milionami członków jest jedną z najsilniejszych organizacji związkowych Europy.

Drugim niemieckim prelegentem był Ludwig Melhorn, jeden z bardziej znanych członków założycieli NRD-owskiego ugrupowania opozycyjnego "Demokratie Jetzt", wg którego szerokie kręgi opozycji wschodnioniemieckiej, przede wszystkim zaś reprezentowane przez niego ugrupowanie, jak także "Nowe Forum" czy wschodnioniemiecka partia socjaldemokratów są absolutnie zgodne co do tego, że granica na Odrze i Nysie jest ostateczna i że nie ma potrzeby prowadzenia jakichkolwiek wewnętrzniemieckich dyskusji prawnych w tej kwestii. Wielu przedstawicieli opozycji w NRD w swoich publicznych wystąpieniach stara się przeciwdziałać antypolskiej histerii spowodowanej decyzjami wschodnioniemieckiego rządu o ograniczeniu swobody poruszanie się i zakupów dla Polaków w NRD. Komentując wydarzenia polityczne w NRD Melhorn wyraził obawę, iż w wyniku zbliżenia obu państw niemieckich, a następnie włączenia NRD do systemu państw zachodnich, nastąpi przesunięcie granicy między Wschodem a Zachodem na linię Odry-Nysy, co nie będzie sprzyjać procesowi reform w Europie Środkowo-Wschodniej.

W dyskusji o sytuacji politycznej w Polsce poseł OKP Henryk Michalak powiedział m.in. że po wprowadzeniu stanu wojennego "Solidarność" przestała istnieć jako ruch związkowy, choć ujawniające się od 1985 r. komitety zakładowe, prowadząc działalność tylko związkową próbowały udowodnić, że "Solidarność" nie została unicestwiona. Działalność polityczną prowadziły grupki skupione wokół pism podziemnych. Podczas "okrągłego stołu" zawiązały się Komitety Obywatelskie jako polityczna organizacja skupiająca ludzi reprezentujących różne opcje, a nie ruch związkowy sensu stricto. Wg H. Michalaka Komitety Obywatelskie są otwarte "dla wszystkich ludzi dobrej woli" chcących działać politycznie. W Polsce nie ma partii politycznych oprócz KPN, która co prawda posiada elektorat, ale nie ma programu, tylko hasła. Pozostałe organizacje to ugrupowania, których przedstawiciele nie zostali uwzględnieni w 35% puli mandatów do Sejmu, tj. w OKP, bowiem byłoby to powieleniem komunistycznej metody klucza stosowanej wcześniej we Froncie Jedności Narodu czy też PRON-ie. Wg posła Michalaka ugrupowania te nie mają elektoratu, a społeczeństwo polskie niechętnie jest partiom politycznym, czuje



Posel OKP Henryk Michalak fot. Pogląd

do nich awersję, w istniejących zaś ugrupowaniach nie widzi reprezentanta swoich interesów. Partnerem prosolidarnościowych grup na Zachodzie powinny być w kraju Komitety Obywatelskie. Wg posła H. Michalaka OKP nie jest partią polityczną ani polityczną reprezentacją "Solidarności" lecz "emanacją politycznych marzeń społeczeństwa polskiego". Realizacja tych marzeń to kolejne projekty ustaw, omawiane a następnie przyjmowane przez Sejm, jak np. ustawa o stowarzyszeniach, zmiana konstytucyjnych zapisów o przewodniej roli partii czy też ustawa a wyborach samorządowych lub pakiet ustaw gospodarczych ministra Balcerowicza.

Ustosunkowując się do – jak stwierdzono – polemicznych i kontrwersyjnych wypowiedzi posła Michalaka



Maciej Frankiewicz: "Żądamy wolnych i tajnych wyborów" fot. Pogląd

ka szereg dyskutantów wyraziło obawy, iż wolne tempo zmian w Polsce wyduża proces obalania władzy komunistycznej, brakuje szybkich i konkretnych zmian politycznych jak również programu takich zmian, udział OKP w rządzie jest ograniczony, Mazowiecki zaś sprawuje władzę w sposób koncesjonowany. OKP jako ugrupowanie w Sejmie nie odpowiada wymogom stawianym we współczesnych parlamentach frakcją parlamentarną (np. jedność wokół konkretnego programu podczas głosowania) i nie jest w stanie zapewnić szybkiego przejścia od komunistycznego jedynowładztwa do pluralizmu politycznego, dlatego też właściwym obecnie żądaniem jest domaganie się nowej ordynacji wyborczej (równość wszystkich ugrupowań i partii) oraz nowych – wolnych i tajnych – wyborów parlamentarnych.

Z żądaniem tym w imieniu swojej organizacji wystąpił Maciej Frankiewicz, jawnie działający w Poznaniu szef tamtejszej "Solidarności Walczącej". Powtórzył on znane zarzuty, że Komitety Obywatelskie, a w konsekwencji i listy kandydatów do Sejmu i Senatu, zostały powołane i ustalone z mianowania Wałęsy, zatwierdzającego lokalnych szefów, którzy z kolei dobierali sobie własne zespoły ludzi, często nie mających nie tylko "solidarnościowego życiorysu" ale i szerszego poparcia społecznego. Obiecywany pluralizm przywołał "Solidarność" od okrągłego stołu zastąpił demokracją na pokaz, sprzyjającą walce o stołki, która prowadzona jest w Komitetach Obywatelskich metodami mafijnymi. Zmiany polityczne mają charakter cząstkowy, obserwujemy "zastępowanie jednej nomenklatury drugą". "Solidarność Walcząca" – stwierdził Frankiewicz – nie może mieć zaufania do rządu, którego członkowie, jak np. Jaruzelski, Kiszczak i Siwicki, odpowiedzieli na za wprowadzenie stanu wojennego i przesładowania związkowców i działaczy opozycji. Nikt obecnie nie może wykluczyć, że komuniści mogą użyć siły, tym razem już pod ochroną prawa, które ustanowili w czasie stanu wojennego. Dlatego też struktury SW będą pozostawać w konspiracji, dopóki nie zostaną przeprowadzone wolne i tajne wybory, a stanowisko prezydenta nie zostanie obsadzone osobą mającą zaufanie społeczeństwa. Dopiero wówczas okaże się, jaki elektorat posiada SW czy też inne partie polityczne.

Mówiąc o "Solidarności" z 1981 roku Andrzej Gwiazda stwierdził, że był to właściwie antykomunistyczny ruch społeczny, który "ze względów taktycznych przyjął formę związku zawodowego";

wszelka działalność związkowa była też wówczas uważana za działalność polityczną. Związek zawodowy oparty na klasycznej formule walki o lepsze wynagrodzenie za pracę jest w totalitarnym, komunistycznym państwie siłą rzeczy antykomunistyczny, bo domaga się odebrania komunistom pieniędzy. Rozumiejac, że w funkcjonowaniu związku mogą powstać sprzeczności między działalnością polityczną i związkową, starano się je oddzielić, tak np. "Solidarność" powołała Komitet Pomocy Więzionym za Przekonania jako organizację polityczną. Jaruzelski wg Gwiżdzy udowodnił, że komuniści mogą podzielić się władzą, bo celem ich władzy są pieniądze, uzyskiwane na drodze sprawowania nadzoru nad wyzyskującą robotników gospodarką. Dlatego też rząd komunistyczny nie mógł zaakceptować związku zawodowego, obcinającego mu dochody. W Polsce wg Gwiżdzy eksperci od ekonomii postrzegają gospodarkę mityczną. Panuje przekonanie, że pracownik nie powinien za dużo zarabiać, co niby dobre jest dla państwa (rządu - ?). "Solidarność", a za 17 kwietnia 1989 r., stanęła w obronie tego mitu, a nie w obronie pracownika i obecnie "zawieszona jest między systemem a społeczeństwem". Najważniejszym dorobkiem sierpniowej "Solidarność" było wyklarowanie spektrum politycznego społeczeństwa, tj. doprowadzenie do polaryzacji sił społecznych i powstania podziału na "my" i "oni". Nastąpiło obarczenie "systemu" winą za niepowodzenia i kryzys, co mobilizowało do walki z nim. Lutowo-marcowy "okrągły stół" z 1989 r. rozbił świadomość podziału na "my" i "oni", telewizyjne sceny bratania się przedstawicieli opozycji z rządem miały na celu spowodowanie, aby Polacy uznali, że między rządem a opozycją nastąpiła fuzja, co zostało potwierdzone późniejszym udziałem byłej opozycji we wspólnym już gabinecie. Doszło do neutralizacji społeczeństwa, które przecież nie może

nagle uznać za swoich przeciwników dotychczasowych bohaterów. W ten sposób udzielono komunistom nowego mandatu; dotychczasowy przeciwnik się rozmył, a ludzie zostali rozbrownieni, czego wynikiem jest godzenie się sfrustrowanego społeczeństwa na uwłaszczenie nomenklatury. Nie ma zdecydowanego nacisku robotniczego na "swoją" rząd, chyba że oskarży się go o zdradę interesów robotniczych.

Wg Gwiżdzy trwający nadal kryzys gospodarczy, a w tym inflacja, spowodowany jest błędnymi decyzjami administracyjnymi, wzrost cen nie jest ekonomicznie uzasadniony i nie powoduje zwiększenia podaży, następuje upadek gospodarki, rozkład zakładów, wstrzymanie produkcji z braku surowców. Koncepcje rządu odnośnie przezwyciężenia kryzysu nie idą w kierunku zwiększenia wydajności gospodarki, której stan jest nadal utajniany; nadal nie ma właściwego - sprzyjającego wolnemu rynkowi - systemu podatkowego ani nawet projektu takowego, obecny system podatkowy jest arbitralny, zawiera niesłuszne obciążenia dla przedsiębiorców prywatnych, a przywileje dla państwowych. W Polsce nie ma wolnej gry sił politycznych i społeczeństwo nie ma możliwości identyfikacji swoich interesów, gdyż nierówne są szanse ich wyartykułowania, dla wielu grup czy ugrupowań one w ogóle nie istnieją. Wg Gwiżdzy OKP jest "emanacją złudzeń" jej posłów, a nie rzeczywistą formą udziału społeczeństwa w życiu politycznym kraju. Polityka OKP prowadzi w kierunku "od niepodległości", a nie odwrotnie. Wszystko to spowodowało, że społeczna baza zarówno neosolidarności jak i OKP w krótkim czasie po wyborach przestała się liczyć. Jak podano, do "Solidarności", niegdyś 10-milionowej organizacji, należy dziś zaledwie 12-14% pracowników, tj.



Andrzej Gwiżdza

fol. Pogład

około 1,7 mln, zaś do OPZZ, aż 35%. O braku bazy świadczy również niska frekwencja w dodatkowych wyborach do parlamentu.

W dyskusji o ruchu prosolidarnościowym na Zachodzie stwierdzono, że kierownictwo "Solidarności" nie było dotychczas zainteresowane działalnością organizacji prosolidarnościowych na Zachodzie; na wszystkich szczeblach związku akceptowano pomoc z Zachodu pomijając jednak to, czy i jaki udział w organizowaniu, zapewnieniu lub spowodowaniu tej pomocy miały te organizacje. Wg Krzysztofa Turowskiego obecny rząd powinien być zainteresowany rozmowami z emigracją w celu stworzenia koncepcji włączenia emigracji w pracę w kraju; innym zadaniem emigracji powinno być tworzenie polskiego lobby za granicą, co też nie może dokonać się bez udziału i poparcia ze strony rządu, który swoim autorytetem może przydać takim działaniom odpowiedniej wagi. Józef Lebenbaum podkreślił to, że członkowie organizacji zrzeszonych w CSSO przez wiele lat pracowali dla kraju, dostarczając w miarę możliwości pieniądze, sprzęt poligraficzny itd. Nadal na Zachodzie istnieje potencjał ludzi gotowych działać na rzecz kraju i szkoda byłoby, gdyby został on zmarnowany.

Posel Czesław Nowak z Gdańska wspominał o pomocy dla "Solidarności" z Zachodu, m.in. o sprzecz, jaki otrzymał Port Gdański z Berlina, i stwierdził, iż następny zjazd prosolidarnościowych grup z Zachodu powinien odbyć się w Polsce, a działacze tych grup powinni być zaproszeni na Zjazd "Solidarności" jako goście honorowi.

Autorowi motto i organizatorowi spotkania, przew. "Towarzystwa Solidarności" z Berlina Zachodniego, Edwardowi Klimczakowi, który koordynował prosolidarnościowe debaty i ciągle próbował nakłonić gości z Polski do analizy wywieszonego w sali obrad pytania, nie udało się uzyskać na nie wystarczającej odpowiedzi. Czy oznacza to, że "Solidarność" dzisiaj nie jest już ani ruchem społecznym, ani demokratycznym związkiem zawodowym lub taką partią polityczną?

Stanisław Gałęziowski



Posel OKP Jerzy Dłużniewski i Jerzy Sikoryna (Meksyk) fol. Pogład

»Żądamy konkretów«

rozmowa z *Andrzejem Gwiazdą*

W redakcji "Poglądu" w Berlinie Zachodnim, dn. 11 grudnia 1989 r. gościł Andrzej Gwiazda. Przybył do Berlina z okazji odbywającego się w dniach od 8 do 10 grudnia zjazdu organizacji prosolidarnościowych z Zachodu, zrzeszonych w stowarzyszeniu o nazwie CSSO.

— *Udzielając wywiadu "Poglądowi" przed rokiem byłeś "malarzem wysokiściowym". Czym zajmujesz się teraz?*

— W Remontowo-Budowlanej Spółdzielni Pracy "Absolwent" zajmuję to samo stanowisko.

— *"Absolwent"...?*

— W studencie jest mowa o zatrudnieniu absolwentów wyższych uczelni. Jestem elektronikiem. Pracuję tu jako robotnik i, ostatnio na urlopie bezpłatnym. Po prostu nie mam czasu chodzić do roboty. Poważnie mówiąc chodzi o to, że jest to robota na akord, a więc od świtu do nocy, zazwyczaj po jakichś pipidówkach, gdzie nawet nie ma telefonu, a więc w zupełnej izolacji od świata. Chwilowo żyję z pensji żony, ale pieniądze się kurczą. Na szczęście udało mi się dogadać z prezesem i będę miał robotę na miejscu w Gdańsku.

— *Tymczasem w Polsce — jak pisze prasa niemiecka — odbyły się demokratyczne wybory, komuniści utracili władzę, panuje demokracja i pluralizm...*

— Nieprawda. Choć można odnieść wrażenie, że w Polsce miała miejsce pokojowa rewolucja, że osiągnęliśmy niebywały sukces. Wielu ludzi w kraju, również działaczy ulega złudzeniu, że systemu komunistycznego już nie ma, że się rozpadł. Natomiast na Zachodzie z wypowiedzi wszystkich polityków wynika, że Polska jest krajem wolnym, suwerennym, gdzie odbywa się gra sił politycznych. Tymczasem system komunistyczny ukrył się za zasłoną dymną. Kluczowe stanowiska w rządzie są jeszcze wciąż w rękach komunistów i rządzi nie Mazowiecki, a system komunistyczny.

— *No to jak to było z tymi wyborami?*

— Jeszcze miesiąc przed wyborami nie było żadnego ciągu do tych wyborów. Przełom nastąpił wtedy, kiedy OKP rzucił hasło "Ciąć komunistów!". Było to dość zdumiewające, bo przecież cała koncepcja tych wyborów została szczegółowo ustalona w Magdalence, potem

przeważkowana przez telewizję, ustalona przy okrągłym stole i wydawało się, że Komitety Obywatelskie są tymi umowami do czegoś zobowiązane. Wezwanie do wycinania listy krajowej było na samym wstępie złamaniem magdalenkowskiej umowy. I teraz właśnie w dyskusji kulturalnej podczas berlińskiej konferencji CSSO jeden z posłów powiedział, że przecież "lista krajowa" to był mechanizm wyeliminowania przez komunistów niektórych swoich towarzyszy, a więc była to umowa "drugiej warstwy". Lista krajowa PZPR miała dwuobustronny charakter: po pierwsze czerwoni wyeliminowali swoich konkurentów wystawiając ich niby jako swoich reprezentantów, a po drugie przedstawienie tej listy posłużyło jako pretekst do zintegrowania społeczeństwa wokół wyborów. Ale przecież zintegrowano społeczeństwo nie wokół demokratycznych wyborów, a wokół wycięcia listy krajowej — najważniejszych ludzi systemu. Muszę ze wstydem przyznać, że nie wpadłem na to. Jednak było to podwójne oszustwo wobec społeczeństwa i to w zasadzie przesądziło o zaangażowaniu ludzi w wybory.

— *Tak czy inaczej nawoływałeś do zbojkotowania wyborów, a więc przegraliśmy...*

— Jeśli 10 milionów posłuchało niezwykle słabiego głosu, to był to sukces oszałamiający. Do urn nie poszło 38% społeczeństwa. Należy przy tym pamiętać, że te ugrupowania, które wzywały do bojkotu wyborów, może poza „Solidarnością Walczącą”, są w zasadzie pozbawione jakiegokolwiek finansowego i technicznego zaplecza. Dla wielu jedynym środkiem propagandowym pozostawała kreda, kawałek ceگی i mur lub kubełek farby. A środki rzucone na kampanię wyborczą OKP to ileśset milionów złotych, ileś milionów dolarów. Podobno na samą akcję Kuronia na Żoliborzu rzu-



Andrzej Gwiazda

for. Pogląd

cono 60 milionów złotych. Poza tym, kiedy doszło do zupełnie wolnych wyborów uzupełniających w Piotrkowie, głosowało zaledwie 14%. Po prostu ludzie zrozumieli i rozczarowali się.

— *A co by było, gdyby ustuchala cię większość?*

— Padłaby koncepcja 35% demokracji. Komuniści musieliby po prostu zaproponować korzystniejsze warunki.

— *Podczas berlińskiej konferencji mówili, że baza społeczna "Solidarności" rozumianej jako OKP zmniejszyła się, a właściwie, jak stwierdziłeś, jej nie ma.*

— Najważniejsze jest to, że ta baza nie miała możliwości wypowiedzenia się. Nie znamy głosu tej bazy. Opinię kształtujemy na podstawie odprysków głosów — na spotkaniach, w kolejce, na przystankach. Przed drugą fazą wyborów wielu ludzi przychodziło i mówiło: "Miełście rację, drugi raz nie pójdziemy na wybory. To nic nie dało".

— *To znaczy, że większa część społeczeństwa żąda udziału w wyborach i jest przeciw nowym strukturom władzy?*

— Właśnie w tym jest szkopa! Ja również nie mogę powiedzieć, że jestem przeciw, że wołę Jaruzelskiego niż Wałęsę, Kiszczaka niż Mazowieckiego. Tu dochodzi do klinicy psychologicznego, a nawet logicznego. To są jednak "nasi". Liderzy czy ulubieńcy społeczeństwa zajęli miejsca w Sejmie, a również i stanowiska wykonawcze, więc społeczeństwo

nie może na nich naciskać. Gdyby np. Wałęsa wczwał do głosowania na SD, jako że to przeciwnik słabszy niż PZPR, wówczas taki rząd, wybrany przez tych samych ludzi, byłby cały czas pod presją społeczną. Taka "legitymacja społeczna" bitaby taki rząd cały czas po głowie. A więc opinia publiczna byłaby zaangażowana nie w popieranie, a w domaganie się.

— *Czy OKP w tej konstelacji, w jakiej działa dzisiaj, może wyprowadzić Polskę z kryzysu?*

— Nie.

— *Dlaczego?*

— Dlatego, że tak zostali zaprogramowani w Magdalence, a społeczeństwo nie może im pomóc i oni nie mogą pomóc społeczeństwu.

Poza tym umowa z Magdalenci nie była umową społeczną, a umową elit obu stron.

— *Skoro tak jest, to coż pozostaje? Czy masz do zaproponowania jakieś konstruktywne działania?*

— Przede wszystkim wytworzono sytuację, która uniemożliwia jakiegokolwiek działania konstruktywne. Należy to uprzytomnić ludziom, wyjaśnić, o co w tej umowie chodzi, bo zatajono to przed społeczeństwem. Również trzeba odświeżyć przed ludźmi te mechanizmy psychologiczne, które nie pozwalają im skutecznie działać, oraz jakie będą tego skutki.

— *O jakie mechanizmy chodzi?*

— Przed chwilą o tym mówiłem — że w rządzie siedzą "nasi".

— *Co dalej? Założmy, że społeczeństwo zostało uświadomione...*

— Wydaje mi się, że rozwój sytuacji w Polsce znów nas odrzuci do czasu.

kiedy bunt jest jedynym warunkiem zrobienia kroku naprzód. Oczywiście sytuacja jest trudna. Jeśli reprezentanci społeczeństwa nie wywiążą się ze swoich obowiązków lub będą działać przeciwko jego interesom, to na to jest tylko jedno społeczne określenie: zdrada. Zbuntowanie się społeczeństwa, uznanie swoich dotychczasowych przywódców za zdrajców wymaga niesłychanie ostrego przełomu. Ale wtedy gniew społeczeństwa obraca się nie przeciwko przeciwnikowi, tylko przeciwko tym, którzy ich zdradzili. Istnieje niebezpieczeństwo, że komunisty będą w stanie już w niedługim czasie taki bunt wywołać i wykorzystać do swoich celów. Wówczas wszystkie alternatywne kierunki opozycyjne mogą po prostu mieć tutaj niewiele do powiedzenia.

— *A co ty wtedy zrobisz?*

— Ja oczywiście się w to włączę, w bunt, jak w '80 r.

— *W jakim celu?*

— Cel jest dla nas wszystkich jeden — wolna, niepodległa i demokratyczna Polska.

— *To są ogólniki. Jakie konkretne cele będziesz stawiał wówczas przed robotnikami?*

— Na to się nie da odpowiedzieć. Każdy taki bunt będzie miał własne cele.

— *Lapidarnie ujmując, w Magdalence doszło do Targowicy. Czy wobec tego Andrzej Gwiazda w tej chwili nawołuje do buntu?*

— Nie.

— *Dlaczego nie?*

— Dlatego, że w tej sytuacji nie ma celów-haseł, które można by przed społeczeństwem postawić.

— *Wśród zwolenników Lecha Wałęsy, a jest ich na pewno немало, mówi się, że opinie tego typu, działalność "Solidarności Walczącej" i innych grup rozbijają opozycję, a jest to niepożądane, ponieważ rząd i Wałęsa są tuż tuż przed przejęciem całej władzy, czyli odebraniem jej komunistom.*

— Zwolennicy "Solidarności Walczącej" są innego zdania i mówią: "Pokazujemy jasną drogę, a zdradziecki okap zbalałemu społeczeństwu, omamił je fałszywymi sukcesami i próbuje skierować działania Polaków nie ku niepodległości, a od niepodległości".

— *Gdybyś miał możliwość występowania przez 7 dni w polskiej telewizji, co powiedziałbyś społeczeństwu? Czego mają domagać się od rządu dzisiaj i w jaki sposób?*

— Podniesienia stopy życiowej. Od rządu oczekuje się tylko jednego, konkretnego, po to jest rząd. Robotnicy mają żądać podniesienia stopy życiowej nie

wydając się w szczególności, bo robotnicy są nie od tego, żeby powiedzieć premierowi, jak on ma zmienić ustawę. To jest jego sprawa.

— *Ale przywódca robotników powinien...*

— Może, ale nie musi. Związek zawodowy nie jest partią, żeby wskazywał, jakie ustawy rząd ma zmienić. Związek mówi, jakich żąda efektów i nie musi angażować się w szczególności.

— *No dobrze, ale czy stawiasz jakieś konkretne żądania?*

— Przede wszystkim zażądałbym, tak jak i przedtem, jasności rozliczeń gospodarki ekonomicznej. Nie znaleźliśmy tego rozliczenia w roku '80 i '81. Nie znamy go i dziś, co nie pozwala nam powiedzieć, czy podwyżka powinna wynieść 4%, 8%, 48%, czy też 480%. Żądanie podwyższenia stopy życiowej bez żadnych innych warunków, to nie innego jak powiedzenie rządowi: "Udowodnijcie nam, że to jest niemożliwe. My waszych argumentów wysłuchamy, wasze rozliczenia przeliczymy, skontrolujemy. Jeżeli okażą się prawdziwe, to wycofamy się z naszych żądań. Po prostu ujawnicie gospodarke!"

— *No więc mamy konkret — rozliczyć do ostatniej złotówki. W kwemiu zarejestrowano nowy związek zawodowy. Dlaczego wystąpiłeś z Porozumienia?*

— Na piśmie posłałem im takie oświadczenie: "Oświadczam, że nie czuję się członkiem Porozumienia na Rzecz Wspólnych Wyborów NSZZ »Solidarność« organizacji zarejestrowanej 17 kwietnia pod tą samą nazwą." Na dotychczasowych trzech spotkaniach wszyscy uczestnicy wyrażali pogląd, że są to dwie odrębne organizacje, a więc wspólne wybory są niemożliwe bez zjazdu zjednoczenia. Uważam że należy budować organizację związkową od złożeń programowo-ideowych, a nie od powoływania kierownictwa.

— *Jest to stanowisko bardzo fundamentalistyczne, ale fundamentalisci pozostają poza obiegiem — ignorują fakty polityczne. Czy założysz związek zawodowy?*

— Być może. I ten projekt jest rozważany. Póki co, wznowiliśmy wydawanie zeszytu Wolnych Związków Zawodowych, tak jak przed Sierpniem.

— *A więc definitywny rozbrat z istniejącą "Solidarnością"?*

— Czy rzeczywiście działające wewnątrz organizacji, działa się skuteczniej niż z zewnątrz? W naszej historii wszystkie przykłady świadczą, że nie. "Solidar-

dokończenie na str. 38



Poznań, maj '89.

fol. Aleksandra Bessert

Wiktor Grotowicz

Ludobójstwo naszych czasów

Ostatnio okazało się, iż współczesne i polityczne zło nie jest wyłącznie dziełem rasistów z Republiki Południowej Afryki i tyrańca z Chile. Okazało się (nie po raz pierwszy), iż również na najbardziej cywilizowanym kontynencie odnależć można systemy, w których jednostce odgórnie przypisuje się status niewolnika, a władcy w propagandowych obrzędach wokół własnej osoby przydają sobie atrybuty boskości. Przez lata całe działacze ruchów obrony praw człowieka tropili na odległych kontynentach prawnicowe odstępstwa od kanonu praw ludzkich nie zauważając równie mocno (choć mniej spektakularnie) tamszonych narodów po drugiej stronie Łaby. Usprawiedliwieniem było i jest nadal stwierdzenie, że to działało się pod rządami lewicowców, a lewica zawsze chce dobrze. Nagle ci sami działacze spoglądają na ruiny imperium Ceausescu, tego europejskiego dyktatora, który pod ich nosem jeszcze do niedawna w europejskim kraju celebrował bizantyjski sposób rządzenia poddanymi (funkcjonując do tego w miarę normalnie na międzynarodowej scenie).

Revolucja, jaka dokonała się w Rumunii w grudniu ubiegłego roku, pokazała dobitnie do czego prowadzi idea komunistyczna, do czego zdolni są wyznawcy tej ideologii, kiedy nie napotyka ją na większy opór. W zachodnich komentarzach prasowych na temat rumuńskiego powstania coraz częściej słychać jednak opinie, iż *imperium zła* rodziny Ceausescu nie miało nic wspólnego z realnym komunizmem, a było jedynie obrazem struktur feudalnych ustanowionych przez chorego psychicznie tyrańca. Uosobieniem komunizmu jest obecnie w oczach Zachodu dobroćliwie uśmiechnięty Gorbaczow, jego dobrze ubrana żona oraz Dubček otwierający posiedzenie czeskosłowackiego parlamentu (w RFN dodać można jeszcze do tego towarzystwa *reformatora* Rakowskiego).

To przekonanie o chorobliwym, jednorazowym i niepowtarzalnym (!) charakterze rządów *Conducatora* umacniało się wraz z rosnącą górą trupów w miastach rumuńskich. Lewica, socjalizm, komunizm (ten zlepek jest nadal żywy

nie tylko na Zachodzie) nie może mieć z tym nic wspólnego. O absurdzie ocen tego, co wydarzyło się w Rumunii w drugiej połowie grudnia '89, świadczy również fakt negocjowania przez zachodnich speców od Wschodniej Europy słuszności porównań rządów Ceausescu z Hitlerem i Stalinem. Już parę lat temu czołowy tygodnik zachodniemiecki *Der Spiegel* wyjaśnił sojusz Stalina z III Rzeszą racją stanu i polityczną strategią (osamotniona i zagrożona ze wszystkich stron Rosja Sowiecka wchodzi w układ z silniejszym, by ratować własną skórę). *Ojciec Narodów* i *Unser Führer* byli po prostu politykami – Ceausescu był po prostu wariatem.

Przez lata całe Rumunia uchodziła w oczach Zachodu (i również opozycji na Wschodzie) za prymusa w konkurencji nieposłuszeństwa wobec Moskwy, a to wystarczało, by zewnętrzne objawy "niezależności" przeniesione zostały na sytuację wewnętrzną. Skoro Ceausescu odrzuca sowieckie wzorce w polityce zagranicznej, to z równą odwagą przeciw-

stawiał się będzie wprowadzaniu sowieckiego szablonu we własnym kraju. I rzeczywiście *Conducator* konsekwentnie i odważnie odrzucał (prawie) wszystkie nakazy – dotyczące praktycznych i doraźnych rozwiązań politycznych – jakie nadchodziły z Moskwy. Ceausescu konsekwentnie przeciwstawił się roli, jaką Rumunii przydzielił Kreml, a mianowicie: *spichlerza socjalistycznej wspólnoty*. Na X Zjeździe Rumuńskiej Partii Komunistycznej w 1969 roku uchwalono "program gospodarczego rozwoju kraju". Do jego głównych założeń należało: *stworzenie rozwiniętego społeczeństwa socjalistycznego oraz umocnienie przewodniej roli przemysłu*. *Conducator* postanowił przemienić *spichlerz* w hutę – z wiadomym, nie tylko w Bukareszcie skutkiem.

Zachwyty, jakie w wolnym świecie wywoływały spektakularne posunięcia rumuńskiej polityki zagranicznej, gasiły wszelkie głosy krytyczne dotyczące wewnętrznej sytuacji w tym kraju, a poza tym umacniały dyktatora w przekonaniu, iż jako *prymas* nie musi się liczyć z oskarżeniami o łamanie jakichś tam międzynarodowych paktów, czy też nie daj Boże, bojkotem ze strony Zachodu. Jeszcze kilka miesięcy przed wybuchem powstania w Rumunii, działacz zachodniemieckich związków zawodowych – Mathias Manz (warto pamiętać nazwiska takich ludzi, nie tylko po zachodniej stronie Łaby) – narzekał na "jednostronny i wrogi obraz Rumunii" rozpowszechniany za granicą, "ilość kalorii na głowę mieszkańca jest tam wystarczająca" powiedział ten związkowiec po wizycie (oficjalnej) w Rumunii. Natomiast naukowiec z Bremy Roman Viorel stwierdził w tym samym czasie, iż Rumunia jest "wyspą stabilności w centrum zamieszek" jakie ogarnęły "cały obóz komunistyczny".

Ostatnim przed rewoltą społeczeństwa dokumentem pokazującym (i oskarżającym) rzeczywistość reżimu Ceausescu był opublikowany we wrześniu ubiegłego roku przez ONZ raport rumuńskiego naukowca Dumitru Mazilu. Naukowiec ten należał do grupy ekspertów przy ONZ do spraw młodzieży i praw człowieka (obecnie jest członkiem



Ceausescu z żoną

rządu tymczasowego w Bukareszcie), a od roku 1986 odizolowany był od otoczenia i zamknięty w domowym areszcie. ONZ postanowiła – a jest to bardzo odważne postanowienie, patrząc na historię tej instytucji – wydać ten (niekompletny) raport. Obraz, jaki się z niego wyłania, zadaje kłam powtarzaczemu od lat twierdzeniu, iż władca Rumunii był tylko takim sobie *małym Stalinem* o ograniczonej umysłowości. Tylko to ostatnie było całkowicie zgodne z prawdą. *Stalinem* ów nie był ani mały, ani taki sobie. To całkiem dojrzały egzemplarz komunistycznego tyrana, któremu udało się sztuka niebywała: przeniesienia komunistycznych metod rządzenia z początku lat 50-tych do drugiej połowy ósmego dziesięciolecia.

Ludność Rumunii żyje w nieprawdopodobnej nędzy. Nie jest to nowość w tym systemie rządzenia, ale nawet Warszawa w pozytywny sposób odróżniała się od Bukaresztu. Obłędna polityka inwestycyjna i żelazne normy wyznaczane przez *centralne organy* były w Rumunii podstawą wszelkiej działalności produkcyjnej. Na początku swoich rządów Ceausescu zaciągnął na Zachodzie pożyczkę wysokości 11 miliardów dolarów. Pieniądze te, zgodnie z *konsekwentnym* postanowieniem *Conducatora* (oraz ze stalinowską doktryną), przeznaczone zostały na przemianę rolniczej Rumunii w potęgę przemysłową. Wybudowane giganty rdzewieją nie od dziś: dla rafinerii, stalowni, hut i chemicznych kombinatów brakuje i surowców, i odbiorców gotowych produktów. Ceausescu postanowił jednak (w imię niezależności kraju) oddać wszystkie długi w terminie. Jako że jedynym produktem nadającym się na eksport była żywność, wysłano masowo wszystko, co udało się (za nieprawdopodobnie niską cenę) sprzedać za dolary. Głód jaki zapanał od tego czasu wśród ludności Rumunii nie miał najmniejszego wpływu na politykę ekonomiczną *Conducatora*. Ostatnie przed upadkiem dyktatora normy kartkowe na każdego mieszkańca były następujące: pół litra oleju, kilo mięsa bądź wędliny, kilo cukru i kilo mąki – na miesiąc. Do tego dochodziła dzienna racja chleba wielkości 300 gram. Istnienie kartek nie



...kraj żywych trupów.



sklep mięsny...



kolejka po... ziemniaki

oznaczało oczywiście, iż przydzielone towary znajdowały się w sklepie. W kolejkach tłoczyły się niezliczone tłumy odziane najczęściej w kilka warstw zniszczonej odzieży.

Brakuje nie tylko żywności. Nie ma również węgla, prądu i benzyny. Socjalistyczna norma najwyższą temperaturę w *pomieszczeniu mieszkalnym* wyznaczała na 11°C. Maksymalną moc żarówki – na 25 W (jedna żarówka na *pomieszczenie*). Kina, restauracje, teatry zamykane były o godzinie 21.00. W tym samym czasie gasto również oświetlenie ulic. Zmarłe z zimna noworodki rejestrowane były dopiero na wiosnę, aby nie zaważyć staty-

tyki śmiertelności niemowląt. Umierały również starsze dzieci – z zimna, z braku odpowiedniej liczby kalorii, świeżego mleka, owoców, warzyw. Starzy umierają nadal z niedożywienia oraz braku lekarstw i opieki medycznej. Benzyna wydzielana była stosownie do stanowiska i zasług w ilości od 25 do 90 litrów miesięcznie. Nie przeszkadzało to jednak *Conducatorowi* szczyścić się wysokim standardem życia obywateli. W ostatnim swoim wywiadzie dla tygodnika *Newsweek* Ceausescu dumnie stwierdził: *U nas nie ma pustych sklepów. Wszędzie można wszystko kupić, nawet towary, które są w Ameryce.*

Szafeństwa rumuńskiego Stalina możliwe były dzięki absolutnie absolutnej władzy. Ceausescu był jednocześnie: szefem partii, szefem Rady Państwa, prezydentem kraju, przewodniczącym Rady Obronnej, głównodowodzącym sił zbrojnych, szefem wywiadu i kontrwywiadu, prezydentem Naczelnej Rady do Spraw Ekonomicznych, prezydentem Frontu Socjalistycznej Jedności, przewodniczącym partyjnej Komisji Ideologicznej oraz honorowym przewodniczącym Akademii Nauk. Reszta ważniejszych stanowisk w państwie i partii rozdzielona była wśród członków rodziny Ceausescu: od żony, synów i żon synów, po braci, bratowych, szwagrow, siostrzeńców i siostrzenice. Kult, jakim kazał otaczać się *Conducator*, przekraczał wszelkie granice nie tylko dobrego smaku. *Gigant nowoczesnej ery, Światło, które przymiewa słońce, Geniusz epoki, Odkupiciel ziemi, Skarbniąca wiedzy, Pierwszy myśliciel ziemi* – to kilka przykładów bezpośrednich zwrotów kierowanych przez poddanych pod adresem dyktatora. Nad stabilnością jego rządów nieustannie czuwał ogromny aparat tajnej policji – *Sekuritate*, która w tak potworny sposób udowadniała swoją wierność *Conducatorowi* podczas rewolucji grudniowej. Funkcjonariuszy było od 50 do 70 tysięcy, na kilkudziesięciu obywateli Rumunii przypadał jeden szpicel. Wszystkie telefony bez wyjątku zaopatrzone były w podsłuch, każda maszyna do pisania była zarejestrowana, otwarty mógł zostać każdy list, panowała totalna cenzura.

Wyposażony w tak absolutne uprawnienia dyktator czynił wszystko, by pozostawić dla potomnych jak najwięcej śladów własnej świetności. Kombinaty, rafinerie, gigantyczne huty już stały. Niezliczone tomy przemówień i przemysłów *Geniusza epoki* zapełniały biblioteczne półki. Ostatnim pomysłem *Światła przyciemniającego słońce* była budowa Bulwaru Zwycięstwa Socjalizmu w centrum Bukaresztu. Aby Bulwar miał odpowiednią perspektywę, od początku lat 80-tych zrównano z ziemią ponad 10 tysięcy starych domów (w tym również zabytkowych kościołów) i przesiedlono na obrzeża miasta około 40 tysięcy ludzi. Centralnym punktem Bulwaru jest siedemnastopiętrowy Dom Ludu w stylu późnego socrealizmu. Dom Ludu jak sama nazwa wskazuje był siedzibą *Conducatora*, w której (według uciekinierów z otoczenia tronu) odbywały się orgie obżarstwa w zachodnim luksusie (seksualne wybryki były specjalnością syna *Skarbnicy Wiedzy*).

Pomimo wzrastającego zainteresowania wybrykami karpackiego Stalina nie nie wskazywało na to, by Zachód miał zamiar uczynić cokolwiek (choćby to, co zrobił w przypadku Chile czy RPA), aby powstrzymać zbrodnie popełniane przez *Conducatora*. Kilka tygodni przed śmiercią, Ceausescu zgodził się na przyjęcie nowego kredytu w zachodniej walucie... na budowę elektrowni jądrowej nad Morzem Czarnym. Atom od dawna fascynował *Pierwszego myśliciela ziemi*. Przed rokiem Ceausescu podpisał z Libią i Pakistanem umowę o współpracy przy konstrukcji bomby atomowej. Niezbędne do tego składniki uzyskać można z elektrowni jądrowej. Kaddafi i Ceausescu wspólnie odbijają przy bombie atomowej zrobionej za zachodnie kredyty. I kto tu był wariatem?

Spółczesność rumuńskie oskarżane było niejednokrotnie – najczęściej przez wschodnioeuropejskich braci – o bierność i polityczne tchórzostwo. Nie sprawiedliwość i krzywdzący charakter tego twierdzenia dostrzegają innymi *Gazeta Wyborcza* pisząc w grudniu 1989 pod adresem Rumunów: *Dokonałście rzeczy nieprawdopodobnej, której nikt przed wami jeszcze nie zrobił*. O psychicznym terrorze wszechobecnym agentów i współpracowników *Securitate* napisano już bardzo dużo, poza tym każdy właściwie mieszkaniec Europy Wschodniej zna to z własnego doświad-



Bulwar Zwycięstwa Socjalizmu

czenia, bądź z opowieści starszych. Atmosferę bardzo szczególnego terroru, nawet jak na warunki wschodnioeuropejskie, panującą w poprzednich miesiącach i latach w Rumunii znakomicie oddają na przykład wspomnienia emigranta rumuńskiego niemieckiego pochodzenia, Paula Schustera. Autor należał w maju 1968 roku do członków delegacji, którzy towarzyszyli *Conducatorowi* w tzw. "wizycie roboczej" na prowincji. Wizyta w każdej wsi przebiegała tak samo: przyjazd, powitanie chlebem i solą, chór dzieci, przemówienie Ceausescu, poczęstunek przygotowany przez gospodarzy, odjazd. "Wizyta" trwała od godziny szóstej do dwudziestej drugiej. Program był zapięty na ostatni guzik – zabrakło w nim jednego: przerwy na toaletę dla delegatów. Po powrocie do hotelu wszyscy delegaci, pisarze, poeci, dziennikarze rzucili się do pisuarów, by opróżnić pęcherze. Drogę zagroziła im obstawa *Conducatora* – ON będzie sikał pierwszy. Podskakujący z nadmiernego ciśnienia tłum przegoniono do głównej hali. Po jakimś czasie ogłoszono, iż ON zrezygnował jednak z hotelowych pisuarów i załatwił potrzebę gdzie indziej. Nikt nie odważył się jednak wejść do toalety bez pozwolenia. Wiedziano, że w takim przypadku obstawa zacznie po prostu strzelać.

Również Kościoły w Rumunii pełniły inne funkcje i posiadały inne znaczenie, niż w takich krajach jak Polska, Węgry czy Czechosłowacja. Od wspierania społeczeństwa w jego niedoli ważniejszą była akceptacja *Conducatora* dla kościelnych poczyniń. Przedstawiciele władz różnych wyznań – od protestantów po muzułmanów – jeszcze jesienią ubiegłego roku stali telegramy do *bohatera nad bohaterami i szanownego i ukochanego Pana Prezydenta* dziękując mu za wprowadzenie *pokoju i sprawiedliwości* w Rumunii oraz *najwyższego stopnia cywilizacji*. Władze wszystkich Kościo-

łów rumuńskich zawsze zdecydowanie przeciwstawiały się formułowaniu oskarżeń przeciwko reżimowi w Bukareszcie przez międzynarodowe organizacje kościelne. Na przykład reprezentanci kościoła ewangelickiego z Rumunii stoperdowali latem 1989 roku rezolucję Ekumenicznej Rady Kościołów na temat przestępstw popełnianych przez Ceausescu. Wobec groźby wystąpienia rumuńskich protestantów ze Światowej Rady Kościołów, sekretarz generalny tej organizacji (z siedzibą w Genewie) Emilio Castro (też warto zapamiętać), zastopował tę rezolucję. W samej Rumunii natomiast przedstawiciele wszystkich kościołów do ostatnich dni przed rewolucją prześcigali się w formułowaniu hokłów pod adresem *Conducatora* (czynił to w równej mierze luterania biskup Albert Klein jak i najwyższy rabin żydowskiej gminy Moses Rosen).

W trakcie powstania narodowego Rumunów w drugiej połowie grudnia 1989 roku zginęło podobno około 60 tysięcy ludzi. Powstanie trwało 10 dni. Wypada 6 tysięcy trupów na dobę. Zaczęło się w Timisoarze od protestów przeciwko przymusowemu przeniesieniu do innego rejonu księdza węgierskiego pochodzenia László Tökésa. Duchowny ten odważnie występował przeciwko łamaniu praw człowieka i ograniczaniu swobody religijnej w Rumunii. W powszechnym (bardzo energicznie wspieranym przez nowe władze w Bukareszcie) mniemaniu, powstanie zakończono egzekucją Eleny i Nicolae Ceausescu pod murem nieznanym do dzisiaj koszar wojskowych.

Powstanie to było najkrwawszym, jakie od ponad 40 lat oglądała Europa. Było to również największe ludobójstwo w powojennej historii tego kontynentu. Okrucieństwa dokonywane na ludności cywilnej przez *Securitate* na trwałe weszły do (i tak jednej z najkrwawszych) historii Europy. W pamięci pozostaną na du-

go obrazu rozstrzelanych studentów, zmarłych w trakcie tortur kobiet i dzieci, bojowych helikopterów strzelających do bezbronnego tłumu z ciężkich karabinów maszynowych. Do najstraszliwszych obrazów należą odkryte groby z ofiarami bestialstwa rumuńskich ubeków. Cały świat obiegło zdjęcie trupa młodej kobiety ze śladami straszliwych tortur. Na jej zwłokach leżało nie narodzone dziecko wyprute bagnetem z brzucha matki.

Jednak rewolucja ta nie dobiegła jeszcze końca. Jak żadna zresztą w byłym (?) obozie socjalistycznym. Wśród ludności Rumunii rośnie niezadowolone i rodzi się podejrzliwość pod adresem nowych władz kraju. Najdobitniej sformułowali to bukareszteńscy studenci: *stary funkcjonariusze partyni z nowymi hasłami na ustach*. Nowy prezydent kraju Ion Iliescu jest byłym sekretarzem Komitetu Centralnego. Nowy minister obrony generał Nicolae Militaru jest byłym generałem armii Ceausescu i wysokim funkcjonariuszem partii komunistycznej. Prawie cały rząd składa się obecnie z byłych przedstawicieli byłego rządu. Jedynie premier Petre Roman nie należał do wierchuszki partyjnej. Nowe władze przejęły cały dotychczasowy aparat administracji partyjnej, państwowej i wojskowo-policyjnej. Aresztowano jedynie członków rumuńskiego politbiura. Wszystkie niższe szczeble nowe władze próbują (z powodzeniem rzecz jasna) wpręgnąć w nowe — wyznaczone przez siebie — koleiny państwowej i politycznej działalności.

Niezadowolone powstające opozycji — od partii chłopskiej, studentów, po partie liberalne — wzrosło jeszcze, gdy francuska prasa i telewizja coraz głośniej lansować zaczęły tezę o spiskowym charakterze całego procesu obalenia Ceausescu. Według francuskich źródeł (najlepiej poinformowanych ze względu na kulturową bliskość obu nacji) sprawujący obecnie władzę *Front Ocalenia Narodu* powstał kilka miesięcy wcześniej i działał jako tajna organizacja poszukująca sojuszników wśród odrzuconych przez *Conducatora* funkcjonariuszy i wysokich oficerów wojska. Tym też tłumaczy się obecny skład *Frontu*. Działacze tymczasowego rządu bardzo głośnie zdementowali te doniesienia określając je jako: *od początku do końca wymyślone historie, nieprawdziwy materiał oraz publicystyczne śmieci*. Powód tej gwałtownej reakcji jest zrozumiały. Pozostający obecnie przy władzy komunisty prezentują siebie jako oddolną organizację "powstałą na fali rewolucyjnych przemian". Spiskowy charakter całego przedsięwzięcia zdewaluowałby rewolu-

cyjny i spontaniczny charakter utworzonych nowych władz i odebrał im jedyną w takiej sytuacji legitymację do sprawowania (tymczasowych, jak głośnie zapewniali członkowie *Frontu*) rządów. Poza tym pozycja *awangardy rewolucji* zawsze stanowiła marzenie każdego wyznawcy marksizmu. Szczególnie, gdy w perspektywie pojawiają się w miarę wolne wybory. Skrytykowano również zbyt pośpieszną, według sporej części działaczy opozycji, egzekucję Ceausescu. Pomimo zapewnień *Frontu Ocalenia Narodu*, iż uczyniono to z konieczności politycznej (uspokojenie społeczeństwa) i strategicznej (odebranie motywacji do walki członkom *Sekuritate*) pojawiło się podejrzenie, iż tak szybka egzekucja zapobiec miała również procesowi sądowemu, podczas którego musiałyby wyjść na jaw szczegóły dotyczące działalności nie tylko elity partyjnej, ale również niższych szczebli w administracji państwowej i wojskowej.

Formująca się rumuńska opozycja zażądała natomiast przesunięcia zapowiedzianych na kwiecień tego roku wyborów oraz dostępu do środków masowego przekazu. Nowo powstające partie nie posiadają dosłownie niczego: obok doświadczenia organizacyjnego brakuje im również kopierek, papieru, gazet, maszyn do pisania. *Front* zgodził się ostatnio na udostępnienie innym ugrupowaniom politycznym czasu na antenie telewizyjnej, co w niewielkim tylko stopniu zmienia sytuację. Według doniesień ze stolicy Rumunii gazety, radio, telewizja wracają do poprzedniego stanu z ery Ceausescu. Zmieniły się tylko nazwy: na przykład oficjalna agencja prasowa nazywa się obecnie *Rompres* (dawniej: *Agerpres*). Ci sami funkcjonariusze dziennikarscy, którzy jeszcze na początku grudnia ubiegłego roku karmili zagranicznych dziennikarzy papką propagandową o sukcesach i dobrodziejstwach rządów *Conducatora*, dzisiaj mówią o *kryminaliście Ceausescu* i poplują na dowództwo *Sekuritate*.

Ten stereotyp, w jakim lądują wszystkie dotychczasowe rewolucje (czy też "rewolucje") wschodnioeuropejskie, stereotyp polegający na nieustannej "czystości" i "tymczasowości" wprowadzanych zmian politycznych (nadal wszechobecni i nadal niebezpieczni komuniści) potwierdza się również i w Rumunii. Jednak kraj ten, jeden z ostatnich w kolejce do wolności, posiada większą siłę, większą nadzieję i większe możliwości, które mogą mu ułatwić i przyspieszyć dotarcie do celu. Siłą tą jest cena jaką społeczeństwo Rumunii zapłaciło za odsunięcie poprzedniej ekipy od władzy.

Myszę, iż Rumuni nie dopuszczą, by to morze wylanej krwi posłużyło jedynie za alibi do zmiany komunistycznego szyldu. Ta rewolucja jest *bardziej* niedokończona niż polska, węgierska czy czechosłowacka.

Wiktor Grotowicz

nowości wydawnicze:

Janusz Zalewski.
Jak emigrować do Kanady?

Edmont, Alberta, T5J2C3
PO BOX 1916

POLNISCHE BUCHHANDLUNG KSIĘGARNIA POLSKA

Zofia Reinbacher
1070 WIEN, Burggasse 22
Tel. 0222/9387222

katalogi wysyłamy na życzenie

UWAGA!

Osoby wpłacające na prenumeratę naszego miesięcznika prosimy o **prawidłowe i czytelne** wypełnianie przekazów. Nie jesteśmy bowiem w stanie na podstawie li tylko stempla pocztowego czy bankowego ustalić nazwisko i adres abonenta!

Osoby, które mimo opłacenia prenumeraty nie otrzymują "Poglądu" prosimy o przysłanie na adres redakcji kopii dowodu wpłaty.

red.

DRUKARNIA POLSKA KONTRAST

Breitensteinstrasse 33
D - 8209 Schlossberg-Rosenheim
☎ 08031 7777

wykonuje:

książki, broszury, czasopisma, katalogi, prospekty, odezwy, ulotki, blankiety, karty święteczne i wizytowe oraz wszelkie inne prywatne, społeczne, naukowe i przemysłowe druki.

Skład elektroniczny we wszystkich językach europejskich, głównie w polskim i rosyjskim.

Selids wykonanie — ceny umiarkowane!
Dla P.T. Autorów aktualny niezmiennie długoterminowy kredyt.

»Nadzieja, że będzie gorzej...«

z prof. Andrzejem Zawiślakiem, przew. sejmowej komisji d/s systemowych przekształceń gospodarki rozmawia Witold Gadomski

— Jak Pan ocenia ogłoszony przez rząd program gospodarczy?

— Trudno się do niego ustosunkować, ponieważ znajduje się on dopiero w początkowej fazie operacjonalizacji. Znacznie ważniejsza, a jednocześnie trudniejsza jest faza realizacji. I tu jestem niestety nie najlepszej myśli. Rząd działa pod ogromną presją społeczną. Presja ta sprowadza się do jednego żądania: żeby było lepiej. Ja, jako poseł również tę presję odczuwam, ale nie tak jak premier czy minister odpowiedzialny za gospodarkę. Rząd składa się z ludzi o jak najlepszej woli, intelektualnie przygotowanych do swoich zadań, jednakże społeczna materia, w której działa, może okazać się zbyt oporna. W tym widzę największe niebezpieczeństwo.

— Mimo wszystko chciałbym, żeby odniósł się Pan do kilku spraw, związanych z rządowym programem. Co Pan sądzi o programie równoważenia gospodarki?

— Można wyróżnić dwie strategie równowagi. Pierwsza, to liberalizacja wszystkich cen, stóp procentowych i kursów dewizowych, przeprowadzona jednorazowo. Druga, to równoważenie gospodarki przez stopniowe wycofywanie dotacji i uwalnianie cen. Proces taki byłby rozciągnięty w czasie. Z programu rządowego nie bardzo się można zorientować, która strategia będzie realizowana.

— A za którą Pan się opowiada?

— Jeżeli udałoby się wstępnie przygotować właściwy system zabezpieczeń społecznych, to za pierwszą, to znaczy za jednorazową operacją polegającą na likwidacji pustego pieniądza, obcięciu dotacji, uwolnieniu cen i zrównoważeniu budżetu państwa. Musi tu być spełniony jeszcze jeden warunek: wsparcie ze strony Zachodu, niezbędnego dlatego, by ten szok, jaki przeżyje społeczeństwo, zaowocował szybkim wzrostem podaży. Byłem niedawno wraz z kilkoma innymi posłami i senatorami z wizytą w RFN. Podczas rozmowy z wicekanclerzem Genscherem zadano nam pytanie, na czym polega nasza koncepcja wyjścia z kryzysu? Powiedzia-

łem, że nie ma na to żadnego polskiego sposobu, są natomiast ogólnie znane metody, na przykład ta, zastosowana w 1948 roku w Niemczech przez ministra Erharda. Społeczeństwu brutalnie powiedziano: zabieramy wam wszystkie pieniądze, ponieważ sytuacja gospodarcza jest nienormalna i w nienormalny sposób te pieniądze zarobiliście. Niemcy to wytrzymali, ponieważ byli przytłoczeni klęską i w dodatku mieli u siebie wojska okupacyjne.

— Czy społeczeństwo polskie nie wytrzymałoby takiej próby?

— Jestem przeciwny eksperymentowaniu na społeczeństwie, co nie znaczy, iż uważam, że ma ono zawsze rację. Opowiadam się raczej za działaniami katalizującymi naturalne procesy. Natomiast wracając do problemu równoważenia gospodarki, największą słabość rządowego programu widzę w tym, że mówi on niemal wyłącznie o jednej stronie równowagi, to znaczy o popycie. Ograniczenie popytu jest zawsze operacją bolesną dla społeczeństwa i możemy się jedynie zastanawiać, w jakich dawkach ten ból dozować. Tymczasem nie się nie mówi o stronie podażowej.

— A czy w ogóle jest możliwe sty mulowanie podaży w tak krótkim czasie, jaki obejmuje program?

— Oczywiście, że tak. Potrzebne jest tylko właściwe działanie rządu. Jestem liberałem i uważam, że rynek w dłuższym okresie najlepiej reguluje gospodarkę. Ale w tej nadzwyczajnej sytuacji, w jakiej się teraz znajdujemy, bierność niektórych urzędników państwowych graniczy z sabotażem. Komu potrzebne było morze alkoholu, które się wlało do Polski w ostatnich miesiącach? Przecież ileś tam milionów dolarów w najgłupszy z możliwych sposobów wypłynęło z kraju. Inny przykład, to przestój w RFN polskich chłodziń z EWG-owskiem mięsem, spowodowany tym, że jacyś urzędnicy nie dostarczyli właściwych dokumentów. Państwo pozostaje w dziwnej bierności wychodząc z założenia, że nic nie można zrobić. W efekcie spada produkcja, co może być najbardziej niebezpieczne. To masochi-

styczne powtarzanie, że nie się nie da zrobić, ponieważ jest kryzys, zauważam i w środowisku władzy, i w społeczeństwie.

— Jaka jest zatem Pana recepta na zerwanie z tym masochizmem?

— Sądzę, że istota sprawy kryje się w postawach społecznych. Nie można ich zmienić z dnia na dzień, ale można stopniowo oddziaływać na świadomość Polaków po to, by wyrwać ich z bierności. Bierność wynika z tego, że przeżywamy dramaty, polegający na skumulowaniu najgorszych cech obu systemów: mamy socjalistyczną efektywność oraz inflację typową dla chorych gospodarek rynkowych. Ta dramatyczna sytuacja zniechęca do wysiłku, do produkcji, inwestowania, myślenia o przyszłości. Oddziaływać więc trzeba na świadomość i skłonić ludzi do ekonomicznego usamodzielnienia się przez prywatyzację gospodarki.

— Ale prywatyzacja to działanie długookresowe, a my rozważamy problemy występujące dziś.

— Nie zgadzam się z tym, że prywatyzacja jest procesem mogącym przynieść efekty dopiero w bliżej nieokreślonej przyszłości. W rozwiniętym kapitalizmie zostały wynalezione procedury pozwalające znacznie przyspieszyć prywatyzację. Jedną z nich jest ESOP — plan własności pracowniczych, wspomaganych kredytem bankowym.

— Czy jednak procedura ta nadaje się do polskiej gospodarki, w której duża część przedsiębiorstw może okazać się nierentowna?

— Właśnie w Polsce ESOP miałyby wielkie zastosowanie. Procedura ta czyni pracownika przedsiębiorcą w sposób bezbolesny, ponieważ sprzedaż akcji jest kredytowana. Jest oczywiście prawdopodobne, że niektóre przedsiębiorstwa okazały się nierentowne. Ale ich właściciele, a zarazem pracownicy nie mają się do kogo odwołać, znikąd nie mogą otrzymać subwencji. Zdani są na siebie. W ten sposób przedsiębiorstwo znajduje się w warunkach twardego finansowania, które zmusza do odpowiedzialnego traktowania procesów gospo-

darczych. Jeżeli pracownicy chcą się utrzymać na powierzchni, muszą zgodzić się na pewne wyrzeczenia: muszą zwiększyć wydajność, być może wydłużyć czas pracy, ograniczyć płace. Procesy te odbywają się w skali zakładu, ale frustracja nie jest skierowana w stronę rządu, lecz przybiera postać konstruktywną.

— Czy proces ten może zmienić mentalność społeczeństwa?

— Byłoby to jednym z elementów kształtowania świadomości. Należałoby tu podjąć umiejętną kampanię. Można

tu apelować do patriotyzmu, uczyć narodowych Polaków. Tworzenie w kraju stosunków kapitalistycznych wiąże się ściśle z wybijaniem Polski na niepodległość. Wolnorynkowa gospodarka jest zwykle skorelowana z wolnościami obywatelskimi. A przede wszystkim trzeba ludziom uświadomić, że w tak złej sytuacji gospodarczej, w jakiej znajduje się Polska, społeczeństwu żyje się całkiem dobrze. Jak można mówić o tym, że jesteśmy biednym społeczeństwem, jeżeli nie można znaleźć pracowników do wykonywania lekkich prac nie wy-

magających kwalifikacji. Naprawde biedne społeczeństwa, takie jak Japończycy, czy Szwedzi w XIX wieku, znajdowały się na krawędzi śmierci głodowej. Ten stan skrajnej nędzy zmusił je do nadzwyczajnych wysiłków, których efektem jest dzisiejszy dobrobyt. A więc, aby zakończyć paradoksem, można powiedzieć, że w pogarszaniu się sytuacji materialnej społeczeństwa może istnieć szansa na sprężenie się do działalności produkcyjnej i konkurowania na światowych rynkach.

* PRZEGLĄD PRASY * PRZEGLĄD PRASY * PRZEGLĄD PRASY * PRZEGLĄD PRASY *

OSTATNIE CHWILE PZPR?

"Komuniści w Polsce i na Węgrzech nie zgadzają się na to, aby się pokonać i umrzeć. Odsunięci od władzy po tak długim jej sprawowaniu, poszukują obecnie nowych sposobów, aby zdobyć przyjaciół i wywierać wpływy. Nie jest to łatwe, bowiem do czasu zwanego na styczeń zjazdu, ortodoksyjni i «liberalni» komuniści będą się nawzajem przekrzykiwać. Według niektórych członków partii, Rakowskiego mógłby zastąpić «liberal» Aleksander Kwaśniewski, który jest znacznie młodszy i ostatnimi czasy szybko «szedł w górę»."

"BETONIARZE" MNIEJSZOŚCIA

Austriacki dziennik DIE PRESSE zamieszcza rozmowę z głównym ideologiem PZPR, Sławomirem Wiatrem. S. Wiatr stwierdza na wstępie, iż "teza, jakoby Polska Zjednoczona Partia Robotnicza miała się znajdować w stanie agonii jest nazbyt pośpieszna".

Wiatr tak ocenia stosunki wewnątrz partii: "Mniejszość członków (od 15 do 25%) chce utrzymania tradycyjnej formy partii." Są to byli "betoniarze", którzy rządili przez całe dziesięciolecie. Około 2/3 członków wypowiedziało się jednak w wewnątrzpartijnej ankiecie jasno za "nowym, nowoczesnym i demokratycznym programem" oraz za nową nazwą partii. "Musimy być gotowi do złożenia w ofierze milionów niezaangażowanych członków na rzecz paruset, czy paru tysięcy gotowych do działania aktywistów." (DIE PRESSE, 15.11)

GDY RUNAŁ MUR

"Dopiero teraz Polacy zdali sobie sprawę z tego, jak zbawienne uspokajające wpływy na ich samopoczucie wywarło istnienie stalinowskiej NRD. Dzięki temu zainteresowanie Zachodu przez całe dziesięciolecie w pierwszym rzędzie koncentrowało się na Polsce. Polacy mogli wyżyć się poczucia ucisku — wrażenia, że jest się wiloczynem między dwa bloki złożone z 80 milionów Niemców i 280

milionów Rosjan." (BASLER ZEITUNG, 14.11)

ZJEDNOCZENIE JEST NIEUNIKNIONE

THE NEW YORK TIMES powołuje się na wypowiedź Henry Kissingera: "Zjednoczenie Niemiec jest sprawą nieuniknioną". Wprawdzie Kissinger zastrzegł się, że perspektywy dotyczące jedności Niemiec nie są dla niego czymś radosnym, niemniej "zmiany w Niemczech Wschodnich uwalniły siły polityczne i ekonomiczne, których nie można zatrzymać". Zdaniem Kissingera, w ciągu następnych 3-4 lat będziemy świadkami praktycznego zjednoczenia Niemiec, przy zachowaniu pozorów oddzielnych struktur politycznych. Kissinger ostrzegł, że Stany Zjednoczone nie mogą dopuścić do tego, aby Niemcy Zachodnie dostrzegły w nich przeciwników zjednoczenia. (THE NEW YORK TIMES, 16.11)

NA ZACHODZIE WIELE ZMIAN

Hamburski tygodnik DIE ZEIT zamieścił komentarz Helgi Hirsch pt. "Na Zachodzie wiele zmian". Autorka pisze m.in.: "NRD stała się nieoczekiwanym sprzymierzeńcem w demokratyzacji Europy. Zaakceptowanie tego, także w sensie emocjonalnym, wymaga jednak od Polaków przezwyciężenia się. W obywatelach NRD widzieli przecież, bardziej niż w Niemczech zachodnich, dziedziców pruskiej tradycji: owładniętych pychą, myślących kategoriami państwa zwierzchniego, hipokrytów pozabawionych odwagi cywilnej. Czy wszystko to ma teraz należeć do przeszłości? Postawa Polaków jest dwójaka. Radość z powodu kresu podziału Europy przeplata się z troską z powodu nowych zagrożeń. Czy pojednanie między obu państwami niemieckimi — takie pytanie postawił jeden z polskich posłów do Sejmu kanclerzowi federalnemu Kohlowi — nie niesie z sobą także niebezpieczeństw dla polskiej granicy zachodniej? Rząd polski, z góry zajmując pozycję obronną, polecił oświadczyć, że ewentualne ponowne zjednoczenie Niemiec wymaga także zgody daw-

nych zwycięskich mocarstw oraz sąsiadów." (DIE ZEIT, 23.11)

ZB. BRZEZIŃSKI O EUROPEJSKIM DOMU

"Wspólny dom europejski będzie nim tylko wówczas, gdy zostanie zbudowany w oparciu o zasadę uniwersalności swobody wyboru" — podkreślił Zbigniew Brzeziński i wystąpił na rzecz tworzenia trwałych ekonomicznych powiązań między członkami Europy. Zdaniem Brzezińskiego wspólny dom europejski nie jest możliwy do zbudowania, gdy Niemcy będą podzielone. "Jeśli zamierzamy stworzyć wspólny dom europejski na zasadzie wolności wyboru, potrzebne będzie nowe porozumienie w sprawie Niemiec, np. konfederacji, w taki sposób, aby nie wywołać obaw wśród sąsiadów".

Brzeziński uważa, że wspólny dom europejski wymaga poważnych instytucjonalnych zmian w ZSSR. (THE NEW YORK TIMES, 15.11)

PRZESTĘPCY WOJENNI PRZEP. BRITYJSKĄ TEMIDĄ

Choć od II wojny światowej minęło 45 lat, to dopiero teraz przestępcy wojenni, którzy mieszkają w Wlk. Brytanii będą mogli być pociągnięci do odpowiedzialności karnej przed brytyjskimi sądami: nieoczekiwaną większością głosów (348 przeciw 123) brytyjska Izba Gmin przyjęła odpowiednią ustawę. Odłożony do akt krótko po wojnie temat odzyskał przed trzema laty, gdy Centrum Simona Wiesenthala (znanego żydowskiego badacza zbrodni hitlerowskich — przyp. red. "Poglądu") w Los Angeles przedstawiło listę mieszkańców Wlk. Brytanii podejrzanych o przestępstwa wojenne.

Większość podejrzanych pochodzi z krajów nadbałtyckich. Nie pociągnięto ich do odpowiedzialności wcześniej, bowiem nie posiadali obywatelstwa brytyjskiego, pozostając tym samym poza zasięgiem prawa brytyjskiego. (TAGESSPIEGEL, 15.12.89)



W cyklu prezentującym polskie ugrupowania polityczne przedstawiliśmy najliczniejszą i najdłużej działającą partię opozycyjną w PRL — Konfederację Polski Niepodległej («Pogład», wrzesień 1989) oraz Gdańskie Towarzystwo Społeczno-Gospodarcze «Kongres Liberalów» («Pogład», listopad 1989). Poniżej obraz kolejnej organizacji:

»SOLIDARNOŚĆ WALCZĄCA«

Bezpośrednią przyczyną powstania "Solidarności Walczącej" była różnica poglądów, jaka zaistniała wśród członków dolnośląskiego Regionalnego Komitetu Strajkowego w ocenie sytuacji politycznej w Polsce i w wyborze taktyki walki przeciwko stanowi wojennemu.

Po opublikowaniu na łamach prasy oficjalnej w kwietniu 1982 roku też Rady Prymasowskiej, rysujących możliwość rozwiązania konfliktu między władzą a związkiem zawodowym, kierownictwo podziemnej "Solidarności" rozważyło kilka wariantów reakcji na postawione propozycje. We Wrocławiu poddano dyskusji dwa stanowiska: pierwsze — Władysława Frasyniuka, aby za polityczną płaszczyznę kompromisu przyjąć tzw. tezy kwietniowe, tj. przy zmobilizowaniu sił związku oraz pod groźbą strajku generalnego wymusić na władzy większe ustępstwa. I drugie — Kornela Morawieckiego, odnoszące się krytycznie do tej propozycji.

"Morawiecki twierdził — mówi Wojciech Myślecki, jawny działacz wrocławskiej SW — że komuniści nie po to wprowadzili stan wojenny, aby szybko, po niewielkich modyfikacjach, ten stan odwołać i przywrócić »Solidarność« do legalnego działania, ale po to, by »Solidarność« rozbić". Należy przypomnieć, że tezy kwietniowe zawierały między innymi warunki zmodyfikowania składu personalnego władz krajowych związku oraz zmiany jego programu i zasad działania, co oczywiście prowadziłyby do utraty idei solidarności.

W maju 1982 roku w niektórych dużych miastach odbyły się wielotysięczne demonstracje. Wrocławski RKS nie wydał apelu wzywającego mieszkańców regionu do zorganizowania niezależnych manifestacji. Przyjęta koncepcja przewodniczącego dolnośląskiej "Solidarności" Wł. Frasyniuka zakładała strategię nierozpraszania sił w związku z

przygotowaniami do strajku generalnego.

Przed zapowiadaną na 13 czerwca ogólnopolską akcją protestacyjną, Kornel Morawiecki zażądał od RKS-u zajęcia jednoznacznego stanowiska wobec propozycji zorganizowania ulicznej demonstracji. Rozbieżność poglądów na temat skuteczności metod prowadzenia walki oraz brak wzajemnego zrozumienia stron doprowadziły do rozłamu we wrocławskim podziemiu.

"Solidarność Walcząca" powstała początkowo jako Porozumienie Prasowe SW, gdyż trzon jej stanowili drukarze i kolporterzy skupieni wokół Morawieckiego jeszcze przez Sierpień '80 r. W. Myślecki: "Od początku powstania SW przyjęła mało znaną koncepcję organizacji nie jako partii politycznej, nie jako związku zawodowego, czy organizacji społecznej, lecz organizacji społeczno-politycznej, która ma służyć społeczeństwu i narodowi polskiemu w wychodzeniu z komunizmu. SW nigdy nie kupiała się na mówieniu o sobie, na propagowaniu własnej idei. My pracowaliśmy, a

**»Wobec Boga i Ojczyzny
przysięgam
walczyć o wolną i
niepodległą Rzeczpospolitą
Solidarną, poświęcać swe
siły, czas — a jeśli zajdzie
potrzeba — swe życie
dla zbudowania takiej
Polski.**

**Przysięgam walczyć o
solidarność między
ludźmi i narodami.
Przysięgam rozwijać
idee naszego Ruchu,
nie zdradzić go i sumienie
nie spełniać powierzono
mi w nim zadania.«**

gros naszej pracy szło zresztą na konto »Solidarności«.

Trzy dokumenty określiły ramy działalności "Solidarności Walczącej": pierwszy — "Manifest Solidarności" z grudnia 1982, drugi — tzw. "Wizytówka" z września 1983 i trzeci — "Zasady ideowe i program »Solidarności Walczącej« (projekt)", ukończony w czerwcu 1987.

Zanim opublikowano "Manifest", Porozumienie SW ogłosiło kilkupunktową informację o postawionych sobie zadaniach, czyli o obaleniu komunistycznego systemu rządów w Polsce i przygotowaniu warunków do powstania Rzeczpospolitej Solidarnej; o metodach walki polegających na przyjęciu różnorodnych form działania: od udziału w pokojowych akcjach masowych, aż do indywidualnych aktów przemocy; o symbolu oraz o współpracy z konspiracyjnymi strukturami NSZZ "Solidarność". W. Myślecki: "Nigdy nie działaliśmy na szkodę »Solidarności". Jeśli chodzi o »Solidarność«, to nie mieliśmy z nią konfliktu lojalności. Uznajemy Lecha Wałęsę jako przewodniczącego związku zawodowego, ale nie zgadzamy się z jego linią polityczną. Uznajemy się za spadkobierców i kontynuatorów ruchu radykalno-niepodległościowego wewnątrz »Solidarności«, a w szczególności za nosicieli idei zawartych w »Posłaniu do ludzi pracy Europy Wschodniej« uchwalonym na I Krajowym Zjeździe Delegatów NSZZ »Solidarność«.

Podawane w prasie podziemnej informacje sygnalizowały jedynie kierunek działań SW. Zauważalny był brak spójnego programu, wyjaśniającego drogę czy metodę obalenia komunistycznego systemu rządów w Polsce. Niejasne było określenie pojęcia solidaryzmu i Rzeczpospolitej Solidarnej. Niemożliwe były do wyznaczenia granice przeprowadzania "indywidualnych aktów przemocy". Prezentowany w drugiej połowie 1982

...dawał możliwość szerokiej interpretacji, co spowodowało pojawienie się nieuzasadnionych osądzeń o prowadzenie działalności terrorystycznej.

"Odżegnujemy się od terroryzmu wszelkiej postaci – napisano pięć lat później w "Zasadach i programie działania SW" – od uderzeń na oślep, zasady zbiorowej odpowiedzialności, brania niewinnych zakładników itp. W samoobronie i obronie społeczeństwa przed prześladowaniami chcemy wzorować się na chlubnej tradycji Armii Krajowej, z uwzględnieniem zupełnie odmiennej sytuacji i warunków walki".

Opublikowany dokładnie w rok po wprowadzeniu stanu wojennego "Manifest Solidarności" podaje wykładnię działalności organizacji i precyzuje podstawowy aparat pojęciowy. Solidaryzm zdefiniowany zostaje jako ustrój, który dba o interesy jednostek i o ich wspólną z interesami ogółu realizację. Ustrój ten przyjmuje sześć pierwszorzędnych zasad: 1/ parlamentarne rządy wyłaniane w wolnych wyborach; 2/ gospodarka rynkowa oparta o samorządy pracownicze jako podstawową formę zarządzania zakładami pracy; 3/ swoboda słowa i zrzeszeń; 4/ reprezentatywne samorządy terytorialne; 5/ niezawisłe sądownictwo i 6/ niezależne związki pracownicze.

Podstawową bronią w walce o Rzeczpospolitą Solidarną staje się informacja. "Prawda nas wyzwoli – głosi "Manifest". – Chcemy wymiany argumentów, nie wymiany kul i rakiet. Chcemy przeciwników naszych przekonywać – nie zabijać (...). Mamy prawo i obowiązek wyrażania swoich myśli i dążeń. Jak to czynić? Poprzez manifestacje, poprzez strajki". Te metody – dawniej skuteczne – w 1989 roku stały się niewystarczające i przestarzałe. Stwarzają niebezpieczeństwo, że organizacja ulegnie skostnieniu. Maciej Frankiewicz – jawny działacz SW z Poznania: "W tej chwili z drukowaniem samych gazetek przestajemy być atrakcyjni. Nową formą działania może być zakładanie klubów jawnie działających, ale nigdzie nie legalizujących się, klubów głównie dla młodzieży i radykalnej części społeczeństwa. Miejsce, gdzie ta młodzież mogłaby się uczyć myśleć i działać politycznie. Już nie tylko drukować i kolportować, nie tylko organizować manifestacje, ale budować programy, uczyć się przekonywać i dyskutować, bo coraz większą rolę odgrywać np. wybory i coraz więcej będzie zależało od form, do których nie byliśmy przygotowani".

Program zawarty w "Manifestie",



CDF P-N



...nie wierzymy komunistom i Jaruzelskiemu. Pikieta protestacyjna zorganizowana w Poznaniu przez tamtejszy oddział SW fot. Aleksandra Bessert, CDF-Poznań

choć klarowny i spójny, nie ustrzegł się zbędnych, wzniosłych haseł: "jutrzienka solidarności wstaje nad światem" czy "runą czerwone i złote trony". W. Myślecki: "Program ten był formułowany pod silną presją tamtych czasów (wielka »Solidarność«, która została rozbita i zamordowana stanem wojennym) i miał emocjonalny wydźwięk bez rozwiniętych refleksji politycznych. Były tam takie sformułowania, które raziły emocjonalno-romantycznym stylem, ale wyrażały ducha czasu".

Dokumentem dużej wagi stała się tak zwana "Wizytówka", czyli bezpłatny egzemplarz numeru specjalnego pisma organizacji "Solidarność Walcząca" wy-

dany we wrześniu 1983 roku w kilkudziesięcioletnim nakładzie. Oprócz "Manifestu Solidarności", który stanowi zasadniczą część "Wizytówki", podane zostały w niej, między innymi, cele organizacji i przedstawione metody pracy ujęte w ośmiopunktowym programie, na który złożyła się: 1/ działalność informacyjna i wydawnicza; 2/ współpraca i porozumienie z niezależnymi ruchami demokratycznymi; 3/ pomoc i popieranie masowych protestów; 4/ pomoc osobom represjonowanym; 5/ wspieranie niezależnych ruchów w krajach komunistycznych; 6/ przenikanie w strukturę wojska, milicji, SB i służby więziennej; 7/ rozbudowa i doskonalenie struktur



1989. Poznań, Obchody Czerwca '56. Pierwszy z prawej: Maciej Frankiewicz — „nie tylko organizować manifestacje, ale budować programy, uczyć się przekonywać i dyskutować...”
 fot. Aleksandra Bessert, CDF-Poznań

tak, by mogły chronić społeczeństwo w sytuacjach ekstremalnych.

"Wizytówka" nie dezaktualizowała się, stanowiąc przez długi czas jedyny dokument programowy SW. Jej najważniejszą zaletą była prosta forma, jasna treść i oszczędność słów; całość mieściła się na jednej kartce formatu A5.

Rozkwit niezależnej myśli politycznej w Polsce, zmieniająca się sytuacja społeczno-ekonomiczna, coraz wyraźniej postrzegane bankructwo linii wyznaczonej przez komunistyczną władzę 13 grudnia 1981 roku postawiło przed "Solidarnością Walcząca" nowe zadania. Rozbudowanie i uzupełnienie całego programu w taki sposób, by zawierał wszechstronną analizę gospodarczą i polityczną kraju oraz schematyczny projekt zbudowania nowego ładu społecznego, dopracowanie warstwy metodologicznej i ustalenie granic elastyczności programowej.

M. Frankiewicz: "Musimy się mieścić w określonych ramach. Te ramy to walka z komunizmem, niewchodzenie w układy z komunistami, unikanie działań, które ten system, nawet w sposób pośredni, mogłyby uwiarygodniać".

Opracowanie projektu "Zasad ideowych i programu Solidarności Walczącej" zakończono w czerwcu 1987 roku. Powstał dokument drażniący być może biblijno-starożywieckim stylem, ale dojrzały i zgodny z wymaganiami określonymi nową sytuacją polityczną w kraju i za granicą. Przedstawione i zdefiniowane wartości, stanowiące fundament myśli społecznej, politycznej i ekonomicznej, precyzyjnie umiejscowiły "Solidarność Walcząca" w spektrum niezależnych grup politycznych działających w Polsce. Zaprezentowany program gospodarczy, zgodny z koncepcją liberalną, posiada zabarwienie syndykalistyczne, a wizja nowego ładu społecznego opiera się na dwóch podstawowych war-

tościach: wolności i solidarności. Ustrój polityczny — zwany solidaryzmem — jest modyfikacją demokratycznego kapitalizmu w kierunku wzmocnienia więzi międzyludzkich i przedkładania współdziałania nad konsumpcją. Uznawanie dla demokracji, tolerancji, poszanowania praw i opinii

mniejszości znajduje swe odbicie w samej strukturze organizacji, która krzepnie i dopasowuje się do osobowego i terytorialnego rozwoju. Celowo nie precyzuje się uprawnień władz organizacji (Przewodniczącego, Rady i Komitetu Wykonawczego), gwarantując zachowanie autonomii i samodzielności poszczególnych grup i oddziałów. Przyjęto jedynie, że do Rady należy wytyczanie strategii politycznej, do Komitetu Wykonawczego bieżąca koordynacja i opracowywanie taktyki, zaś Przewodniczący zatwierdza istotne decyzje i reprezentuje organizację na zewnątrz. Członków SW zobowiązuje w pierwszym rzędzie rola przysięgi: "Wobec Boga i Ojczyzny przysięgam walczyć o wolną i niepodległą Rzeczpospolitą Solidarną, poświęcać swe siły, czas — a jeśli zajdzie potrzeba — swe życie dla zbudowania takiej Polski. Przysięgam walczyć o solidarność między ludźmi i narodami.



Przysięgam rozwijać idee naszego Ruchu, nie zdradzić go i sumiennie spełniać powierzone mi w nim zadania".

"Organizacja nasza — powiedział działacz SW z Górnego Śląska — nie chce zdobyć władzy. Nie zależy jej na rozgłosie. Stara się uniknąć wszelkich salonowych gier politycznych, nie wchodzi w jakies podejrzanе sojusze, nie zawiera żadnych kompromisów, po prostu cały czas głosi, że chce obalić komunizm".

W "Zasadach" opublikowano systematyczny program wyswabodzenia się z komunizmu. Pierwsza faza A — to wymuszanie reform, w której cele wyznaczać będzie zmaganie się z kryzysem i która powinna doprowadzić do wyłonienia, jeszcze w ramach systemu, rządu otwartego na demokratyzację. Faza B zakłada współdziałanie w rządzeniu krajem niezależnych, zorganizowanych sił społecznych. Czynnikiem dominującym w tej fazie będą procesy upodmiotowienia społeczeństwa i rozdziału władzy politycznej od sfery ekonomicznej. W fazie C powinno dojść do pluralizmu politycznego w Polsce i przejścia do partnerskich, równoprawnych stosunków między państwami obozu.

W. Myślecki: "Wysunięto program daleko wychodzący poza zakres działalności związku zawodowego. Jeden element przebił się i przebiega w myśli politycznej »Solidarności Walczącej« — solidaryzm społeczny i międzynarodowy".

Obecnie zarzuca się radykalnej opozycji brak realistycznego programu i podważa się zasadność pozostawania "Solidarności Walczącej" w podziemiu. Na pierwszy zarzut odpowiedziami może być fragment artykułu zamieszczonego w piśmie SW Poznań z dnia 27.07.1989 r.: "Nasza działalność to nie tylko negacja. Wiele budujemy. Mamy nierzadko znaczący udział w organizowaniu akcji protestacyjnych, ale także w zakładaniu i wspieraniu organizacji zakładowych i w ruchu wydawniczym. A że nie wierzymy komunistom i Jaruzelskiemu? Zgoda, ten zarzut przyjmujemy. W tym wypadku jesteśmy niereformowalni".

Decyzja o pozostaniu kierownictwa organizacji w podziemiu i o nieujawnianiu swych struktur wynika z przyjętej przez "Solidarność Walcząca" opcji. "Bardzo prawdopodobny jest nawrót dyktatury w Polsce. Historyczna rola SW jest jeszcze przed nią".

Anita Gargas
 Maciej Wojciechowski

»Wolni i solidarni«

z *Kornelem Morawieckim, przewodniczącym »Solidarności Walczącej« rozmawia E. Lama*

— Zdarzyło mi się spotkać ludzi — zwłaszcza na Zachodzie — którzy słyszeli o "Solidarności Walczącej", a nie słyszeli o jej przewodniczącym. Czy nie uważasz, że koszty polityczne twojego pozostawiania w podziemiu są dla organizacji zbyt duże? Dlaczego się nie ujawniasz?

— Powodów jest kilka. Jeden z najważniejszych — to konieczność zamianfestowania, że Polska, pomimo "normalizacji", nie jest normalnym krajem, że to nie jest taka Polska, jakiej bym chciał ja i moja organizacja. Jestem przekonany, że w naszym kraju — jest to tylko kwestia czasu — dojdzie do poważnej konfrontacji między władzą a społeczeństwem. Trudno dziś przewidzieć, po której stronie będzie inicjatywa, ale należy się liczyć z wypróbowanym już scenariuszem prowokacji uprzedzającej społeczny wybuch. Wtedy, rzecz jasna, lepiej działać w podziemiu, niż dać się wyłapać na powierzchni.

— Wymieniając różne motywy, które złożyły się na Twoją decyzję o pozostaniu w podziemiu, zupełnie pominięły sprawę osobistych dyspozycji. Czy nie odegrały one żadnej roli? Być może jesteś skrajnym indywidualistą, który nie zmieściłby się w żadnym systemie społecznym, bo musi robić co innego, niż wszyscy...

— Każdy Polak jest w jakimś stopniu indywidualistą, ale ja na pewno nie jestem skrajnym. Przeciwnie, martwi mnie ostatnio szerzenie się w naszym społeczeństwie, zwłaszcza wśród młodzieży, tendencji i postaw jednostronnie indywidualistycznych.

— Byłeś — jak niemal wszyscy w latach 1980-81 — członkiem "Solidarności". Stawałeś w szranki wyborcze i zostajesz wybrany delegatem na I Krajowy Zjazd. Tam walnie przyczyniłeś się do uchwalenia "Postania do ludzi pracy Europy Wschodniej". Czy dzisiaj, gdy sprawa wyborów do władz "Solidarności" znów staje na porządku dziennym, masz również ambitne plany?

— Oczywiście nadal czuję się członkiem "Solidarności", a jej sprawy bardzo mnie obchodzą. Z troską i niepokojem

przyglądam się jej "ponownym narodzinom". Może wybory są rzeczywiście ostatnią szansą na to, by "Solidarność" była znowu "Solidarnością"? Trudno jednak mówić o kandydowaniu do władz Związku, jeżeli się pozostaje w podziemiu. Jeżeli chodzi o "Posłanie" — uważam, że "Solidarność" wciąż za mało tę sprawę nagłośniła. Właśnie teraz jest na to bardzo dobry czas, jest szansa na odzew. Coś analogicznego do "Solidarności" rodzi się na Węgrzech, istnieją Fronty Ludowe w krajach bałtyckich i "Sajudis" na Litwie, w Mołdawii, na Ukrainie też jest wielkie ożywienie społeczne. Te ruchy będą się radykalizować, stawać się w coraz większym stopniu ruchem oporu przeciwko komunizmowi. Żle, że nie wykorzystuje się tej koniunktury.

— To są kłopoty "Solidarności", nie jedynie zresztą. A Wasze?

— Borykamy się obecnie z "rozprężeniem konspiracyjnym", wynikającym z ogólnego stanu świadomości. Dla wielu osób potrzeba zachowania konspiracji przestaje być zrozumiałą, gdy nie działamy w warunkach stałego zagrożenia. Nie wszyscy zdają sobie spr-



Kornel Morawiecki — zdjęcie wykonane podczas pobytu za granicą (7.5.88): ...Polska pomimo "normalizacji" nie jest normalnym krajem. (fot. Piotr Zakuski)

wę, że konspiracja jest formą walki z systemem, który skutecznie sprawuje władzę, między innymi przez to, że "wszystko wie" i może tę wiedzę wykorzystywać przeciwko społeczeństwu. Inny problem, to brak dostępu do szeroko rozumianych elit społecznych, które w dużej części opowiadają się dziś za kierunkiem reprezentowanym przez Wałęsę. To nie znaczy, że w ogóle nie jesteśmy obecni w tych środowiskach, ale na pewno za mało. Poza tym nasza "Solidarność Walcząca" to "dzieciak systemu": cierpi na niedostatek wszystkiego — ludzi, pieniędzy, sprzętu, szwankuje przez brak solidności, punktualności...

— Czy pewne przeideologizowanie i związany z nim kult organizacji, a zwłaszcza włączenie dyspozycyjności w jego ethos (zaprzysięganie członków), nie należy również do tego kłopotliwego "dzieciactwa"?

— Przesadzasz z tą dyspozycyjnością. Zostawiamy bardzo dużą inicjatywę ludziom, promujemy "własną twórczość", pomysłowość, operatywność. Poszczególne oddziały mają naprawdę sporą autonomię i wynikający z niej własny, charakterystyczny sposób pracy, własny profil. Na przykład, takie dwa oddziały, jak Gdańsk i Poznań — oba bardzo mocne, prężne —

KORNEL MORAWIECKI, lat 48, doktor fizyki, żonaty, ojciec czworga dzieci. Od 1979 r. wraz z Janem Waszkiewiczem redagował "Biuletyn Dolnośląski". Delegat na I Krajowy Zjazd Delegatów NSZZ "Solidarność". 13 grudnia 1981 uniknął aresztowania i natychmiast wyczył się do działalności Regionalnego Komitetu Strajkowego na Dolnym Śląsku. W 1982 r. powołuje do życia "Solidarność Walcząca". Jest najbliższym ukrywającym się działaczem podziemia firmującym swoją działalność własnym nazwiskiem. W dn. 9 listopada 1987 r. zostaje aresztowany i oskarżony m.in o "prze-mył materiałów i urządzeń o charakterze terrorystycznym". Dn. 30 kwietnia 1988 r. na skutek interwencji Kościoła, zostaje zwolniony — z Andrzejem Kołodziejem — z więzienia i udaje się — przy gwarancji możliwości powrotu do kraju — na leczenie do Rzymu. 3 maja podejmuje pierwszą nieudaną próbę powrotu do kraju: samolotem LOT-u z Rzymu do Krakowa. 4 maja samolotem Lufthansy wylądował na Okęciu w Warszawie, aresztowany, po kilku godzinach pod eskortą SB zostaje wyekspediowany do Wiednia. Wiosną 1989 roku przez zieloną granicę przedostaje się do kraju. Do dnia dzisiejszego działa w podziemiu.

różni się zupełnie pod względem stylu. Gdańsk jest bardzo radykalny, nastawiony negatywnie do "Solidarności" w obecnym wydaniu ("Neosolidarność"), do Wałęsy, rządu Mazowieckiego itd.; Poznań – znacznie bardziej liberalny, bardziej "ekumeniczny".

"Dziedziczyścią" trąci też pewna skłonność do politycznego wizjonerstwa, opartego na myśleniu życzeniowym, zwłaszcza w kwestiach międzynarodowych. Mam na myśli przede wszystkim dwie kwestie: pierwsza, to stanowisko organizacji odnośnie granic między państwami przyszłej, wyzwolonej od komunizmu Europy – w którym postuluje się utrzymanie aktualnego podziału administracyjnego. Druga, to wyrażane nadzieje, że elity społeczne w Związku Sowieckim, na skutek wzrostu świadomości, z własnej inicjatywy będą działać, a w każdym razie nie będą przeciwdziałać, rozpadowi sowieckiego imperium. Obie sprawy były już przedmiotem krytyki na łamach prasy emigracyjnej.

Nie odrzucam całkowicie tej krytyki, ale – jak dotąd – życie jej nie potwierdza. W krajach Związku Sowieckiego (kraje bałtyckie, Białoruś, Ukraina) mamy do czynienia z gwałtownym wzrostem świadomości już nie tylko elit, ale całych społeczeństw. Jest sprawą palącą, żeby pomiędzy tymi rodzajami się do życia organizmami narodowymi, zmierzającymi ku własnej państwowości, nie dochodziło do spięć, żeby zminimalizować płaszczyznę tarć. Honorowanie istniejącego podziału jest tu jakimś "salomonowym" wyjściem.

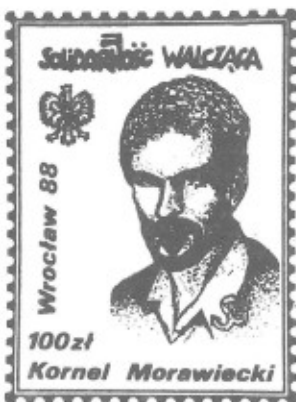
Nie znaczy to, że utożsamiamy się z parcelacją Europy, zarządzaną przez Stalina, a zatwierdzoną w Jaltce, że uchylamy się od moralnego potępienia tego aktu. Było to wręcz zbrodnicze: przesiedlanie takich olbrzymich rzesz ludności odbywało się na granicy ludobójstwa. Ale są to sprawy dziś nieodwracalne, rewidowanie ich byłoby dodawaniem krzywdy do krzywdy. Byłoby dzisiaj zupełnie bez sensu – pobić się z Litwinami o Wilno, a z Ukraincami o Lwów.

— Co sądzisz o koncepcji "Między-morza", ostatnio znowu zyskującej popularność?

— Jakoś nie mam do tego przekonania. Moja koncepcja – to Europa. Nie bardzo wierzę w taki konglomerat małych narodów, z pominięciem Rosji. To jest jakieś sztuczne.

— Rosję zaliczasz więc do Europy?

— Oczywiście. Geograficznie nie ulega wątpliwości, a cywilizacyjnie... Uważam za błędne twierdzenie o nieprzygotowaniu Rosji do "nowego". Zapomina się, że w tym narodzie tkwi



olbrzymi potencjał. Nie dostrzega się, że zbudował on jednak – mimo obecnego systemu, który jest równie zbrodniczy, co nieefektywny – wielką potęgę, choćby tylko militarną. Myślę, że odrzucenie komunizmu – co będzie aktem zarówno oczyszczającym, jak i wyzwalamym wielką energię – uczyni z Rosji rzeczywistego partnera i konkurenta państw zachodnich, chociaż na pewno to, co tam powstanie, nie będzie żadną repliką zachodniego systemu. Cywilizacyjne granice Europy sięgają zresztą znacznie dalej – w jakimś sensie i do Ameryki, i do Japonii. To jest jakby cywilizacyjna "baza", w oparciu o którą będzie dopiero zachodzić dalsze różnicowanie. Do tej "bazy" należy zarówno pojęcie praw człowieka, jak i wolnego rynku, a także nowoczesne pojęcie narodu. Zauważ, że wszystkie te pojęcia stanowią jakąś syntezę pierwiastka indywidualistycznego i wspólnotowego. Tę syntezę wyraża również nasza dewiza – "Wolni i solidarni".

»Nie chcemy komunizmu«

rozmowa z Ewą Kubasiewicz, szefem struktur zagranicznych »Solidarności Walczącej«

— Rozmawiamy 17 grudnia podczas krótkiego, zaledwie dwudniowego pobytu Pani w Berlinie, gdzie zatrzymała się Pani wracając z wizyty w Polsce, obecnie tak bogatej w opcje polityczne i programowe, w "konstruktywną" opozycję. Nie widać jednak "Solidarności Walczącej". Czyżby zabrakło dla niej miejsca?

— "Solidarność Walcząca" jest organizacją, która pozostawała i nadal pozostaje w konspiracji. Budzi to kontrowersje, wywołuje głosy sprzeciwu podające w wątpliwość sens takiego działania. Niektórzy mówią, że będąc w ukryciu wiążemy sobie ręce, ograniczamy sobie szanse skutecznego dotarcia z naszym programem do ludzi. To fakt. Na pewno jako organizacja konspiracyjna nie mamy tak swobodnego dostępu do społeczeństwa jak grupy i organizacje działające jawnie. Spójrzmy jednak na nasz brak jawności z innej perspektywy. Społeczeństwo musi zrozumieć, dlaczego istnieje ruch oporu, jakie są racje, dla których ukrywamy się.

Poprzez trwanie w podziemiu po-



foto Aleksandra Bessert. CDF-Poznań

kazujemy, że nie mamy zaufania do nowych układów politycznych w kraju, do wszystkich tych przemian. Po prostu nie wierzymy w ich trwałość.

Ponadto sytuacja ekonomiczna w kraju jest tak katastrofalna, że liczymy się z możliwością spontanicznego wybuchu społecznego. W takim wypadku organizacja, która wspomaga z podziemia, byłaby bardzo pożyteczna.

Kolejną, niesłychanie ważną, wyróżniającą nas sprawą jest to, że niezmienne trwamy na stanowisku, iż z komunistami nie można i nie należy współpracować. Wolę taką wyraziło polskie społeczeństwo w ostatnich wyborach, gdy pokazało, że z komunistami nie chce mieć nic wspólnego.

Nie wierzymy w to, że system istniejący można zreformować. Dlatego należy go zlikwidować. Naszym celem są wolne wybory i wolna Polska. Pragniemy, aby społeczeństwo samo zdecydowało o swoim losie i wyłoniło swoich rzeczywistych przedstawicieli. Uważamy za karygodne, że ludzie, którzy powinni byli stanąć przed sądem za zbrodnie przeciwko państwu i społeczeństwu, nadal sprawują faktyczną władzę.

— *Odrzucenie systemu ustrojowego PRL, zbudowanie demokratycznej, wolnej Polski to cel, do jakiego dążą także inne ugrupowania niepodległościowe w kraju. Czy są to działania spójne?*

— "Solidarność Walcząca" jest gotowa do współpracy ze wszystkimi organizacjami, które zmierzają do zlikwidowania systemu komunistycznego w kraju i na świecie. W maju 1989 roku w Wiedniu odbyła się I Konferencja Organizacji i Działaczy Niepodległościowych. Oprócz Solidarności Walczącej uczestniczyli w niej przedstawiciele PPN, Liberalno-Demokratycznej Partii "Niepodległość", Grupa Polityczna "Samostanowienie", Organizacja Liberalnych Demokratów "Niepodległość", Unia Demokratów "Baza", Federacja WSN — "Wyzwolenie" oraz przedstawiciele młodej i starej demokracji politycznej, w tym reprezentanci Rządu Londyńskiego z obecnym Prezydentem RP p. Stefanem Kaczorowskim. Celem tej konferencji było znalezienie wspólnej płaszczyzny działania opozycji niepodległościowej.

Warto tu przytoczyć jeden z przyjętych na wiedeńskiej konferencji dokumentów. W odczynie "Do Polaków w kraju" czytamy: "Tylko w wolnej Polsce mogą się odbyć wolne wybory do Sejmu i Senatu.

Walczymy o Niepodległą Polskę.

Pełna demokracja jest możliwa tylko w kraju niepodległym.

Każdy Polak ma niezbywalne prawo do niepodległej Ojczyzny.

Nie bójmy się o tym myśleć, nie bójmy się tego domagać, nie bójmy się o tę niepodległość walczyć. Tylko w ten sposób możemy żyć godnie i uczciwie. Tylko w ten sposób możemy zrealizować nasze aspiracje i stać się pełnoprawnymi obywatelami Europy — do czego predysponuje nas nasza kultura i historia pionierów demokracji.

O taką Polskę walczymy."

— *Zachód uznał, że opozycja walczyła już demokratyczną Polskę.*

— Uważam, że trzeba koniecznie uzmysłowić Zachodowi, że istnieją organizacje, które reprezentują inne poglądy na polską rzeczywistość, niż tzw. konstruktywne opozycja. Ta w mojej ocenie nie jest opozycją! Usiłuje ona znaleźć miejsce we władzach, czyli wejść do nowej nomenklatury.

Zadanie dla rzeczywistej opozycji polega na tym, aby trzymać rękę na pulsie, by swoją zdecydowaną i jasną postawą zmuszać tę nową nomenklaturę do wyraźnego opowiedzenia się, czy jest ona z komunistami, czy przeciw nim.

— *A jest z komunistami?*

— Jest, ale nie wszyscy to sobie uzmysławiają. I dlatego, kiedy stworzy się sytuacje, w których jasno trzeba się będzie opowiedzieć za lub przeciw, na pewno znajdą się w tej nowej nomenklaturze ludzie, którzy się z niej wycofają.

Współpraca między organizacjami rzeczywistości niezależnymi powinna więc polegać również na tym, że stworzymy wspólny front zmuszający tę nową nomenklaturę bądź do obrony rzeczywistych interesów społecznych, bądź do pokazania, że broni ona wyłącznie interesów komunistów, dzięki którym część tzw. konstruktywnej opozycji znalazła się w uprzywilejowanej warstwie społecznej. Słowem, zdecydowana postawa rzeczywistej opozycji zmusi "konstruktywne" do jednoznacznego zajęcia stanowiska.

— *"Konstruktywni" zdali się zająć już jak najbardziej jednoznaczne stanowisko.*

— Zarówno komuniści jak i nowa nomenklatura są wzajemnie od siebie uzależnieni, bo wem komuniści potrzebowali pomocy neosolidarności (Wałęsy i jego ludzi), aby utrzymać fak-



Ewa Kubasiewicz

foto: Sophie Liedot

tyczną władzę, neosolidarność natomiast nigdy nie otrzymałaby stanowisk, które posiada w tej chwili, gdyby to komunistom nie było potrzebne.

— *Powiedziała Pani, że SW gotowa jest do współpracy ze wszystkimi organizacjami, które zmierzają do zlikwidowania komunizmu w kraju i na świecie. Na świecie, to na przykład gdzie?*

— SW od początku swego istnienia starało się nawiązać kontakt i współpracę z organizacjami i osobami walczącymi o niepodległość swoich krajów. Dotyczy to szczególnie Litwy, Łotwy, Estonii, Ukrainy, Białorusi. Redagowaliśmy i publikowaliśmy pisma i ulotki w językach tych krajów, gdzie były szeroko kolportowane. Akcje te były przedmiotem "szczególnej troski" KGB. Uważaliśmy

EWA KUBASIEWICZ, lat 49, mgr filologii polskiej, bibliotekarz dyplomowany, dokumentalista. Przed sierpniem 1980 roku związana z Wolnymi Związkami Zawodowymi w Gdańsku. Po Sierpniu członek Zarządu Regionu Gdańskiego NSZZ "Solidarność", wiceprzewodnicząca komisji zakładowej "Solidarności" w Wyższej Szkole Morskiej w Gdyni.

20.12.1981 roku zostaje aresztowana i wyrokiem Sądu Marynarki Wojennej w Gdyni skazana na 10 lat więzienia i 5 lat pozbawienia praw publicznych. (W tym samym procesie syn Ewy Kubasiewicz — Marek Czachor, obecnie jeden z czterech jawnych przedstawicieli "Solidarności Walczącej" w kraju, skazany został na 3 lata więzienia i dwa lata pozbawienia praw publicznych).

Na początku stycznia 1983 roku, przebywając w więzieniu w Fordonie Ewa Kubasiewicz pisze list otwarty skierowany do Henryka Jablińskiego, ówczesnego Przewodniczącego Rady Państwa, w którym protestuje przeciwko proponowanemu jej aktowi łaski.

Jej postawa, jak i bezprecedensowy wyrok sprawiają, że sprawa staje się głośna również poza granicami kraju.

Zwolniona z więzienia w maju 1983 roku, wiąże się z "Solidarnością Walcząca", jest członkiem Komitetu Wykonawczego i szefem Struktury Zagranicznych SW. Od stycznia 1988 roku przebywa w Paryżu.

za bardzo ważne szerzenie naszych idei wśród narodów ciemiężonych przez komunę. Zależało nam, żeby stworzyć wspólny front walki z komunizmem. W tekstach tych podkreślaliśmy, że SW uznaje dzisiejsze granice i stoi na stanowisku zaniechania wszelkich sporów w tym względzie. Nawiązaliśmy również kontakt z Węgrami i kolportowaliśmy ulotki w ich języku.

— *Przyjęła Pani na siebie funkcję szefa Struktur Zagranicznych SW. Na czym polega Pani praca?*

— Najistotniejsze jest zorganizowanie pomocy, która pozwoliłaby na rozwinięcie działalności naszej organizacji. Szukam kontaktów z ludźmi, którzy chcą i mogą nam pomóc pod względem finansowym, w zdobywaniu sprzętu i popularyzowaniu naszych idei. Pragnę tu zaznaczyć, że pomoc z Zachodu, wokół której zrobiono tyle szumu propagandowego, nie jest tą, na którą może liczyć opozycja. Jest to pomoc przeznaczona wyłącznie dla "programu" Własy.

Zajmuję się również koordynowaniem działalności naszych przedstawicieli w wielu krajach zachodnich, m.in. w Stanach Zjednoczonych, Kanadzie, Australii, RFN, Anglii, Norwegii, Szwecji, Grecji, Szwajcarii i we Włoszech. Starają się oni skupić wokół siebie sympatyków naszej organizacji.

Wraz z Rafałem Ganem-Ganowiczem (patrz str. 28) założyliśmy w Paryżu Stowarzyszenie Przyjaciół Solidarności Walczącej (Association des Amis de Solidarite Combattante 20, rue Legendre, 75-017 Paris), poprzez które organizujemy pomoc finansową dla kraju. Utrzymujemy również stałą łączność telefoniczną z krajem i zajmuję się przekazywaniem bieżących informacji do prasy i radia zarówno francuskiego jak i rozgłośni polsko-języcznych.

Bardzo dobrze układa się współpraca z paryską "Kulturą", na



31.08.89. Poznań. Demonstracja SW pod komendą SB przy ul. Kofanowskiego

którą SW zawsze może liczyć. Spotykamy się również z pomocą Instytutu na Rzecz Demokracji w Europie Wschodniej z siedzibą w Nowym Jorku.

Spśród organizacji krajowych mających swe przedstawicielstwa na Zachodzie współdziałamy z "Niepodległością". Mam też uzasadnione nadzieje na jeszcze ściślejszą, niż dotąd współpracę z PPN.

Kiedy wyjeżdżałam dwa lata temu z kraju, wyjeżdżałam z założeniem, że zasięg mojej pracy powinien objąć wszystkich tych, których łączy działanie i sympatia dla "Solidarności Walczącej", że powinienem zgrać nasze poczynania na rzecz tego, co jest naszym wspólnym celem — wolna Polska, w której władza będzie wybierana rzeczywiście przez społeczeństwo. I o to walczę.

Rozmawiała: Elżbieta Stasiak



NRD: W LIPSKU ŻĄDAJĄ NIEMIEC Z 1937 ROKU

Strach przychodzi z dwu stron. Ze strony Republikanów i ze strony przesiedleńców z NRD, o których już wcześniej wiedziano, że są nastawieni bardzo nacjonalistycznie. Jeżeli jednak jeszcze przed miesiącem powiedziałby mi ktoś, że na demonstracji w Lipsku pojawi się transparent z mapą Niemiec w granicach z '37 roku — nie uwierzyłabym — powiedziała gdańska publicystka — Ewa Maria Ślaska (od 1983 r. na emigracji w Berlinie Zach. — przyp. red. "Poglądu") w dyskusji zorganizowanej przez TAZ na temat doświadczeń obcokrajowców w Berlinie Zachodnim po 9 listopada (data otwarcia muru berlińskiego). (TAZ, 23.12.89)

WIELKO-SOWIECKO-ROSYJSKI KONSERWATYZM

Zachodniobermalski lewicowy dziennik TAZ zwrócił uwagę na ogłoszony w gazecie SOWIETSKAJA ROSSJA manifest "Klubu Rosyjskich Posiłków Frontu Jedności Robotników" oraz "Stowarzyszenia malarzy", w których autorzy odznaczają się od wychowania młodzieży w duchu zachodnim uważając, że "patriotyczne wychowanie młodzieży musi stać się integralną częścią zdrowego narodowego wychowania..."

Aby wyjść z kryzysu, zwalczyć przestępczość oraz utrzymać niezależność i potęgę sowieckiej Rosji, potrzeba nowoczesnej armii ludowej oraz mocnych sił porządkowych. Armia, milicja i służby bezpieczeństwa KGB nie mogą stać się kozłami ofiarnymi odpowiedzialnymi za rozbięcie polityki zagranicznej i bankructwo gospodarki w Rosji. (TAZ, 3.01.90.)

RFN: PRZESIEDLENCZE APETYTY

Przesiedleńcy z Polski wpadają w kolosalne zadłużenia niemal natychmiast po przyjeździe do RFN — powiedział minister gospodarki Nadrenii Północnej Westfalii, Jochimsen, omawiając wyniki ankiety przeprowadzonej przez poradnię konsumencką. Powodem są wygórowane wymagania konsumencie przybywców z Polski. Przesiedleńcy z Rosji mają bardzo minimalne zyczenia, natomiast przesiedleńcy z NRD, choć integrują się łatwiej niż przybyśce z Polski, określani są jako bardzo pewni siebie i agresywni wobec biurokracji. (TAZ, 22.12.89)

czytaj **Pogląd**

Witold Pronobis

»SW« wobec zmian zachodzących w Polsce po »okrągłym stole«

Organizacja "Solidarność Walcząca" jest najsilniejszą polską organizacją konspiracyjną, występującą z krytyką tzw. "konstruktywnej opozycji" i linii politycznej realizowanej przez Lecha Wałęsę.

"Solidarność Walcząca" od momentu swego powstania w czerwcu 1982 r. pozostaje organizacją konspiracyjną. Struktury są utajnione, a przywódcy organizacji ukrywają się. Głównym ośrodkiem działalności "SW" jest Wrocław. W kilkunastu miastach Polski działają ak-

Z drugiej strony odrzucają również obalenie komunizmu siłą, z bronią w ręku. Za jedyną naprawdę skuteczną metodę uważają oni stały nacisk na władze i nasowe zrywy społeczeństwa. W przededniu rozpoczęcia obrad "okrągłego stołu", w lutym 1989 roku Kornel Morawiecki pisał:

Mnie bliżsi są ci, którzy otwarcie negują prawomocność tej władzy, którzy chcą komunizm obalić. Ciągłe jeszcze powszechną, zwłaszcza wśród działaczy "Solidarności" i inteligencji, zdaje się być orientacja na porozumienie z władzą. Orientacja pozornie racjonalna, realna – bo geopolityka i uwarunkowania historyczne, bo władza ma propagandę i siłę, więc szkoda marzyć i szkoda substancji narodowej, może dojść do anarchii, rozlewu krwi, wojny domowej, destabilizacji w Europie. A tak pomalutku, krok za krokiem, dobijemy swego. Jak się polapią, już będzie za późno. My ich niby uznamy, pomożemy opanować kryzys, oni zliberalizują ustawy, wprowadzą naszych do sejmu i razem... Jak Polak z Polakiem (...) Pociągające lecz jakże naiwne. Sztuczka takiego wynegocjonowania, wypuralizowania demokracji od komunistów, żeby oni się nie spostrzegli, nawet Lechowi się nie uda (...) A czas i świat uciekają. Ubywa polskiego ducha i materii. Upada etos pracy i uczciwości. Szerzy się bieda i skażenie kraju. Już dzieci marzą o emigracji (...) Ewolucja systemu – zgoda. Ale zmierzająca do jego likwidacji, a nie sanacji i utrwalenia (...) Komunizm nie ustąpi ot tak, sam z siebie. Wstrząs przyjdą niezaletnie, czy się system zasklepi, czy będzie się otwierał. W pierwszym wypadku będą to bunty tlu-

mionej rozpacz, w drugim – wybuchu rozbudzonej nadziei.

Taki punkt widzenia znalazł swoje odbicie w apelach i komentarzach "SW" wobec "okrągłego stołu" i dalszych konsekwencji tego wydarzenia. Z jednej strony artykułowano w nich własne stanowisko, z drugiej krytkowano linię polityczną Wałęsy. Należy jednak podkreślić, że krytyka ta nie zawierała akcentów obraźliwych. Charakterystyczna jest tu wypowiedź K. Morawieckiego, zawarta w dokumencie "Po obradach okrągłego stołu", w którym wypunktowano obawy wobec zawartego kompromisu. W zakończeniu tego dokumentu czytamy:

Ufamy, że tym razem tak wyraża różnica stanowisk między "Solidarnością Walcząca" a kierownictwem "Solidarności" i bliską mu opozycją nie oznaczy rozczarowania się naszych dążeń i ideałów. Wiele dróg prowadzi do demokracji i niepodległości. Idziemy różnymi, ale do tej samej wymarzonej wolnej Polski.

Za najbardziej krytykowane ustępstwo tzw. "strony solidarnościowo-opozycyjnej", "SW" uważała zgodę na częściowo wolne wybory. Podkreślano naruszenie zasady suwerenności narodu przez zgodę na takie wybory. Zdaniem "SW" "opozycja staje się w ten sposób częścią dotychczasowego porządku politycznego w Polsce".

Zdecydowane protesty liderów "SW" budził też nowy kształt, odzyskanej w wyniku "okrągłego stołu" i ponownie zalegalizowanej "Solidarności", jako związku zawodowego. Wałęsie zarzucano brak szacunku dla statutu "Solidarności", m.in. przez permanentną odmowę zwołania Komisji Krajowej (najwyższa władza NSZZ "Solidarność" wg statutu z 1981 r.) i równoczesnym powoływaniu do życia nowych ciał, których głównym źródłem legalizmu był fakt powoływania ich przez niego samego.

Zalecenie bojkotu wyborów do Sejmu i Senatu przez "SW" wzbudziło wiele kontrowersji. W różnych kręgach opozycji uważano, że o ile "Solidarność", słusznie czy niesłusznie, zaangażowała się w te wybory, ich bojkot jest tylko na



...odrzucają obalenie komunizmu siłą, z bronią w ręku. Jedyną skuteczną metodą: stały nacisk na władze!
fot. Aleksandra Bessert, CDF-Poznań

tywnie oddziały terytorialne organizacji. Pod szyldem "SW" ukazuje się w kraju około 30 tytułów pism. Organizacja dysponuje też kilkoma wydawnictwami, własną bazą poligraficzną, posiada swoje przedstawicielstwa zagraniczne. Przewodniczący "SW" Kornel Morawiecki zaczął w 1987 r. jej liczebność na 3 tysiące członków oraz kilkadziesiąt tysięcy współpracowników i sympatyków. W chwili obecnej "SW" jest niewątpliwie najsilniejszą organizacją niepodległościową występującą z krytyką linii politycznej Lecha Wałęsy, zakładającej "dogadanie się" z komunistami i powolną ewolucją dotychczasowego systemu polityczno-gospodarczego PRL w kierunku pełnej demokracji i pluralizmu.

Działacze "SW" odrzucają pryncypialnie dialog z komunistami jako metodę realizacji postawionych sobie celów.



...objęcie urzędu prezydenckiego przez gen. Jaruzelskiego byłoby niemożliwe bez poparcia... części posłów i senatorów Obywatelskiego Klubu Parlamentarnego fot. Krzysztof Miller

rękę komunistom. Znany publicysta, Stefan Bratkowski stwierdził nawet w jednym z artykułów, iż "SW" zamienia się w "Solidarność" walczącą z "Solidarnością". Przywódcy organizacji bronili się następującymi argumentami:

— *bojkot jest koniecznością, wynikającą z konsekwentnego przestrzegania zasad, jakimi kieruje się "SW", tj. uznaniem suwerenności narodu za wartość najwyższą, ponadpolityczną;*

— *znacznie ważniejsza dla zrealizowania idei niepodległej Polski jest odbudowa związku, niż ograniczona narzuconym limitem liczba posłów w komunistycznym parlamencie;*

— *reaktywowanie NSZZ "Solidarność" w jej kształcie z 1980/1981 r. było i jest nadal pierwszym punktem programu "SW"*

W maju 1989 r. K. Morawiecki wystosował apel do społeczeństwa, opublikowany w prasie "SW", w którym powołując się na swoją własną, wieloletnią walkę z komunizmem, napisał m.in.:

Komunizm to społeczne zło — jestem jego wrogiem. Walczę o niepodległą, demokratyczną Polskę. Słowem, postawą, czynem. Moją dewizę: "wolni i solidarni". Uważam, że uczestnictwo w narzuconych, pozornych wyborach utwierdza panowanie PZPR. Jeśli mnie popierasz — zbojkotuj te wybory.

Z drugiej jednak strony zwywano tych, którzy kierując się innymi racjami moralnymi zdecydowali się na udział w wyborach, o skreślanie kandydatów partyjnych i pozostawianie "solidarnościowych".

Wynik wyborów 4 czerwca 1989 r. "SW" odczytała jako swój sukces poli-

tyczny. Ilość osób, które nie wzięły udziału w wyborach była większa niż w 1985 roku, gdy do bojkotu ówczesnych wyborów agitowało całe podziemie z "Solidarnością" włącznie. Przeszli też niemal wszyscy kandydaci solidarnościowi. Zdaniem "SW" ten wspaniały wynik został w dużej mierze zaprzeczony przez kierownictwo NSZZ "S". Politycznym skandalem określono transmitowane przez telewizję wezwanie Wałęsy, w przededniu wyborów, do nieskreślenia tzw. "listy krajowej", zawierającej wyłącznie kandydatów z klucza PZPR. K. Morawiecki pisał po wyborach:

Ile jeszcze podobnych niespodzianek czeka społeczeństwo? Kularowe ustalenia z komunistami, pomoc w ich wypłataniu się z własnych niezborynych ustaw, przełożono ponad poszanowanie zbiorowej woli wyborców. Zmiana ordynacji w trakcie wyborów — to niestychane lekceważenie praw i obywateli. I takie podchody mają być ewolucyjną drogą wyścia! Toż to kręcenie się w kółko w pętlę komunizmu. Gorycz i złość.

Wezwanie do bojkotu wyborów 4 czerwca nie miało w propagandzie "SW" charakteru jednoznacznie pryncypialnego. Wyrażano raczej własne stanowisko, które starano się uzasadnić, bez presji jednak na tych, którzy zdecydowali się wziąć w nich udział.

Zdecydowanie natomiast negatywne i stanowcze było stanowisko organizacji w sprawie prezydenckiej kandydatury gen. Jaruzelskiego. Członkowie "SW" wraz z innymi grupami, m.in. NZZ, WiP, Federacji Młodzieży Walczącej, organizowali wiece uliczne z żądaniem usunięcia Jaruzelskiego ze sceny politycznej. Niesiono transparenty i wznoszono hasła: "Jaruzelski musi odejść!". Komitet Wykonawczy "SW" wydał już 30 maja 1989 r. oświadczenie, w którym stwierdzono:

Gen. Jaruzelski, odpowiedzialny za stan wojenny, za ludzkie tragedie i zmarnowane szanse całego narodu, kandyduje na prezydenta. Kandydatura ta obraża sumienia Polaków. Protestujemy i wzywamy wszystkich do protestów. General musi odejść!

W komentarzach prasy "SW" przypomniano życiorys generała i jego odpowiedzialność m.in. za antysemickie czy-



...Protestujemy i wzywamy wszystkich do protestów: General musi odejść! fot. Aleksandra Bossert, CDF-Poznań

stki w wojsku w 1968 r., za udział LWP w agresji na Czechosłowację w sierpniu 1968 r., za użycie wojska do masakry strajkujących robotników Wyrzeża w grudniu 1970 r. W jednym z komentarzy stwierdzono wprost:

Każda organizacja, partia polityczna i każdy człowiek z osobną przykładającą rękę do wyboru Jaruzelskiego na prezydenta PRL znieważa społeczeństwo i naród polski oraz przeciwstawia się woli tegoż społeczeństwa wyrażonej w ostatnich wyborach.

Nie dziwnego, że reakcje po ostatecznym objęciu tej funkcji przez gen. W. Jaruzelskiego były tak stanowcze. Już w dzień po wyborze, 20 lipca 1989 r. Komitet Wykonawczy "SW" wydał oświadczenie, w którym potępił ten wybór. Stwierdzono również, że objęcie urzędu prezydenckiego przez gen. Jaruzelskiego byłoby niemożliwe bez poparcia udzielonego mu przez część posłów i senatorów Obywatelskiego Klubu Parlamentarnego:

Aktem tym strony uczestniczące w umowie "okrągłego stołu" sprzeniewierzyły się woli narodu, wyrażonej bojkotem w czerwcowych wyborach i powszechnym skreśleniu komunistów. Wynik głosowania w Zgromadzeniu Narodowym świadczy o tym, że Obywatelski Klub Parlamentarny mógł z powodzeniem zgłosić i preferować wybór własnego kandydata. Nie czyniąc tego oddalił możliwość pokojowego przejścia do niepodległości i demokracji. Nie uznajemy takiego prezydenta. Uważamy, że odsunięcie gen. Jaruzelskiego pozostaje ważnym moralnym i politycznym zadaniem polskiego społeczeństwa.

Nie bez zastrzeżeń, choć pozytywnie, jako kolejna szansa przybliżająca Polskę do pełnej niepodległości i demokracji, przyjęte zostało przez "SW" objęcie urzędu premiera przez Tadeusza Mazowieckiego. W oświadczeniach podkreślano, iż nominacja ta nie oznacza jesz-

cze oddania władzy w ręce społeczeństwa. Zdaniem "SW" komuniści, godząc się pod presją na utworzenie nowego rządu przez przedstawiciela "Solidarności", zastrzeżli sobie kluczowe stanowiska ministrów MON i MSW: "... ludzie ci zapewnią będą niezmiennie zasad ustrojowych". W związku z tym nadzieje jakie pokłada w rządzie Mazowieckiego "SW" muszą być ograniczone. W oświadczeniu z 20 sierpnia 1989 r. Komitet Wykonawczy "Solidarności Walczącej" stwierdza:

Dotychczasowe doświadczenia, chwytliwa i wzajemnie sprzeczna polityka liderów OKP, pragnących równocześnie zadowolić i społeczeństwo i partię, nie napawa optymizmem. Obawiamy się, że także w przyszłości rząd wzbrania się będzie przez radykalnymi rozstrzygnięciami (...) Życząc przyszłemu rządowi jak najlepiej, oświadczamy, że popierać będziemy jedynie te działania, które przybliżą będą wyrwanie Polski z komunizmu. Za najpilniejsze uważamy przeprowadzenie w pełni wolnych, pięcioprymiotnikowych wyborów.

Do premiera Mazowieckiego w stosował też list otwarty przewodniczący "SW", K. Morawiecki, pisząc m.in.:

Mam nadzieję, że dobrze zdaje Pan sobie sprawę z moralnych i politycznych zagrożeń, jakie stanowi koalicja z komunistami i ich poplecznikami. Daje im rodzaj uprawomocnienia w oczach Zachodu i części polskiego społeczeństwa.

Oraz daje im czas na przetrwanie, na dociągnięcie do wielce prawdopodobnego zaostreżenia kursu w Związku Sowieckim. Życzę Panu, żeby za Pańskiej kadencji rozkład komunizmu następował szybciej niż jego dopasowywanie się do nowej sytuacji. Życzę żeby zdecydowanie rozszerzyła się przestrzeń wolności. Pod tym kątem nasza organizacja, pozostając w stałym sprzeciwie wobec systemu i w opozycji wobec rządu, będzie obserwować i publicznie oceniać Pańskie prace na stanowisku premiera.

"Solidarność Walcząca" wraz ze swoim bezkompromisowym stanowiskiem w sprawie jakichkolwiek kontaktów z PZPR jest częścią, choć oczywiście krytycznie, zauważaną w prasie partyjnej niż oficjalnie "solidarnościowej". Ignoruje ją sam Wałęsa, a za jego przykładem cała tzw. konstruktywna opozycja. Wpływ "SW" na polską opinię publiczną jest więc, mimo sporych nakładów własnych periodyków podziemnych, zapewne dość ograniczony. Rzecz w tym, że podobną retorykę przejęło wiele innych grup i organizacji politycznych a także odłamy "Solidarności", przede wszystkim uczestnicy związanego w sierpniu '89 w Szczecinie Porozumienia na Rzecz Przeprowadzenia Demokratycznych Wyborów w NSZZ "Solidarność". W jednym z ostatnio opublikowanych wywiadów K. Morawiecki na pytanie, czy nie lęka się, iż reprezentowany przez niego program przestanie być atrakcyjny, jeśli powiodą się, choćby częściowo, planowane obecnie reformy, odpowiedział:

Jeśli Polska odzyska wolność i niepodległość na ewolucyjnej drodze, to będzie oznaczało, że dziś się mylę. I tak może byłoby najlepiej. Ale nie wierzę, że komunizm podda się dobrowolnie.

listopad, 1989 r.

Witold Pronobis

(Od Red.: Dr Witold Pronobis jest członkiem zespołu RWE; Monachium, kieruje działem badań prasy niezależnej).

POMOC DLA SEJMU Z USA

Walter Mondale i Howard Baker, którzy niedawno uczestniczyli w konferencji parlamentarnej w Warszawie stwierdzają m.in., że Stany Zjednoczone muszą uczynić dla Polski coś więcej poza krzewieniem wartości demokratycznych czy rezygnowaniem z długów. USA muszą podzielić się czymś, co pomoże zwiększyć efektywność polskiego systemu demokratycznego. Senator Pete Domenici, republikanin z Nowego Meksyku, po powrocie z konferencji do Waszyngtonu złożył w Senacie rezolucję w sprawie wysłania do Polski czolowych przedstawicieli Kongresu, aby zorientowali się w potrzebach polskiego parlamentu. USA mogą pomóc w takich sprawach jak przeszkolenie techniczne, podstawowe wyposażenie i odpowiednie wskazówki organizacyjne. Ale musi to nastąpić szybko." (CHRISTIAN SCIENCE MONITOR, 17.11.)

TRZECI ŚWIAT POTRZEBUJE POMOCY, A NIE EUROPA WSCHODNIA

Na łamach nowego brytyjskiego tygodnika SUNDAY CORRESPONDENT z dn. 19.11. ukazał się artykuł pt. "Na paryskim obiedzie - mentalność biedakuchni". Jego autor, David Blake, stwierdza, iż w istocie nie ma żadnego powodu, dla którego Europa Zachodnia miała by przyznawać pokazne dotacje krajom Europy Wschodniej. Problemy tych krajów są bowiem małe w porównaniu z Trzecim Światem, zaś polityka gospodarcza, jaką muszą one przyjąć, wymaga praktycznych zmian na miejscu, nie zaś dańków z zewnątrz.

MALY PLAN MARSHALLA Z AUSTRII

Prasa austriacka nadała duży rozgłos inicjatywie burmistrza Wiednia, Helmuta Zilka dotyczącego uruchomienia "planu Marshalla dla Europy Wschodniej" przy wykorzystaniu nagromadzonych w Austrii środków finansowych z funduszy ERP (European Recovery Programm, tak brzmiała oryginalna nazwa planu Marshalla). Środkami tymi administruje w Austrii federalne ministerstwo komunikacji. Znajdują się one w ciągłym obrocie, stanowiąc źródło taniego kredytu inwestycyjnego dla gospodarki austriackiej. Wolumen tych środków wzrósł do 24 mld szylingów. Zilk zaproponował, aby środki te udostępnić także tym firmom austriackim, które chciałyby inwestować w krajach RWPG. Porównał on sytuację w Europie Zach. po II wojnie światowej z sytuacją krajów Europy Środkowej i Wschodniej: "Teraz, tak samo jak wówczas, należy umocnić młode, jeszcze nieokrzepłe demokracje i ustabilizować je gospodarczo. Dotyczy to zwłaszcza Polski i Węgier." (DIE PRESSE, 23.11.)



aut. Anita Gargas

Polska w Europie

19 lipca 1989 r. stanęło w płomieniach mieszkanie Mirosława Chojeckiego, twórcy i wydawcy paryskiego "Kontaktu", człowieka będącego od lat — z racji swej antykomunistycznej działalności — sobą w oku reżimowych władz PRL. Kto i po co "zabawił się" w podpalacza? — pytała w korespondencji z Paryża Maria de Hernandez-Paluch ("W cieniu obchodów 200-lecia francuskiej rewolucji"; "Pogład", listopad 1989). Po kilku miesiącach, jakie minęły od zadania pytania sprawa pozostaje otwarta. Tak jak i wiele problemów poruszanych w rozmowie z Mirosławem Chojeckim przeprowadzonej przez Jerzego Czejmnicza.



M. Chojecki: szef "Kontaktu" fot. arch.

— *Więc jak było z tym podpaleniem Pańskiego mieszkania?*

— Nie wiem. Policja skłaniała się początkowo do uznania politycznego motywu, tym bardziej, że tydzień wcześniej próbowano włamać się do siedziby "Kontaktu". Mam tu zamontowany alarm. Policja przyjechała natychmiast — tyle, że na sygnale. No i zastali już tylko, jak mi powiedzieli, zamek, który ktoś próbował sforsować, ale nikogo ponadto... No a tydzień później, w dniu wyboru Jaruzelskiego na prezydenta, spłonęło moje mieszkanie. Nieznani sprawcy wybili okno w dziecięcym pokoju, dostali się do środka, w pięciu miejscach była rozlana jakaś ciecz, prawdopodobnie benzyna, podpalili... Tyle zdołano ustalić.

— *Ta barbarzyńska forma uczczenia wyboru władcy nasuwałaby pewną hipotezę. Nie spotkał się Pan z jakimiś próbami zastraszania?*

— W zasadzie nie, jeśli nie liczyć paru telefonów, ale w porównaniu z tym, co działo się w kraju, to przysłowiowe małe piwo. Raz tylko, jeszcze w 82 roku, w swoim własnym mieszkaniu, w swojej maszynie do pisania znalazłem wkręconą kartkę z ostrzeżeniem, że jeżeli nie przestanę się zajmować tym, czym się

zajmuję, to się źle skończy. Ale poza tym nie.

— *A jak skończyła się afera z podpaleniem Pańskiego mieszkania?*

— Bardzo szybko. Śledztwo z dnia na dzień zmieniło kierunek z politycznego na bardziej neutralny politycznie: że może osobisty wróg, może zazdrosny mąż...

— *To przypomina scenariusze, w które usiłowano wmontować zabójstwo księdza Popiełuszki. O istnieniu takich scenariuszy mówił któryś z oskarżonych oficerów MO. No, ale to było u nas, a nie tutaj... Czy zaangażowanie "Kontaktu" w wybory, i w ogóle w politykę polską, rzeczywiście było tak poważne?*

— No, dużo... Staraliśmy się podstać trochę sprzętu, pochlebiamy sobie, że bardziej nowoczesnego, niż ten, którym dysponowali komuniści. Poza tym drukowaliśmy ulotki i plakaty dla Komitetu Obywatelskiego przy przewodniczącym Wałęsie, na takich samoprzylepnych papierkach. W tej chwili nie mogę tego dokładniej policzyć, ale grubo ponad 100 tysięcy. No i organizowaliśmy Polonię, żeby się ruszyło do wyborów, żeby przypadkiem nie wygrał Jerzy Urban. Nie tylko tutejszą Polonię, ale także tę za oceanem. Wiedzieliśmy, że pracownicy ambasad mają przykazane, by głosować, że działają różnymi metodami. Treba więc było wpływ ambasad, ściślej, ambasad, jakoś zrównoważyć. Ruszyło się kilka tysięcy osób, Urban nie dostał u nas nawet 1% głosów. Z listy krajowej też nikt nie wszedł. Najwięcej głosów otrzymał Kozakiewicz. Ale to dlatego, że wyborcom się pomieszało, myśleli, że to ten od "gestu Kozakiewicza".

— *A poważniej, jak Pan ocenia wybory?*

— Była to ogromna manifestacja poparcia dla "Solidarności", a z

drugiej strony — ogromna manifestacja tych, którzy nie wzięli udziału w wyborach.

— *Czym Pan to tłumaczy? Czy może wpływem radykałów z "Solidarności" i spoza związku, którzy wzywali do bojkotu? Skreślenie listy krajowej można też odczytać jako pewną niesubordynację. Przecież tuż przed wyborami Wałęsa sugerował, żeby ją poprzeć, mówił, że on sam, na przykład, skreśli tylko jednego kandydata. Poza tym nie przypadkiem w "Gazecie Wyborczej" ukazał się bardzo pozytywny wywiad Michnika z Rakowskim. To też była wskazówka.*

— Ja myślę, że nie, że to był nasz zwykły bałagan. Najpierw przekonywano, żeby skreślać listę krajową, potem Wałęsa w ostatniej chwili ją poparł. Trudno się było przestawić. Choć z drugiej strony, na pewno część opozycji przeraziła się, że ośrodki władzy znajdują się poza oficjalnymi strukturami, skoro nie wszedł ani premier Rakowski, ani ministrowie Kiszczyk i Siwicki. Próbowano ich więc wprowadzić choćby bocznymi drzwiami.

— *To, że władza byłaby poza Sejmem, nie było niczym nowym. Zmusiłoby to tylko komunistów do rezygnacji z pozorów. Oczywiście ostateczny wynik*



M. Chojecki: pierwszy szef NOW-aj

fot. Jarosław Michałak

ma ten plus, że czerwoni nie uciekli z boiska, tylko próbują na nim grać i nie wędzają czołgam. Ale ośobiście nie przeceniałbym roli Sejmu, przynajmniej jeszcze nie teraz. Zwłaszcza, że duża część opozycji została poza parlamentem.

— Też uważam, że dobrze się stało, że jest Sejm, nawet taki 35-procentowy, że są sprawozdania telewizyjne, co jest jeszcze ważniejsze. Nawet Biuro Polityczne PZPR nie jest już tym, czym było, bo było taką czarną skrzynką, w którą coś wlatuje, coś wylatuje i nie wiadomo, co w środku; teraz już tak nie jest, życie polityczne stało się bardziej autentyczne. Te wszystkie zmiany mnie cieszą. Trochę napawa mnie tylko forma wyboru kandydatów Komitetów Obywatelskich.

— Spore niezadowolone wywoływało u nas narzeczenie tzw. „spadochroniarzy”, to, że np. Michnik został zrzucony na teren, gdzie działał Światoń, który na Śląsku zakładał wolne związki jeszcze przed Wałęsą. Ludzie usłuchali „Solidarności”, ugięli się przed autorytetem Wałęsy, ale boją się, że to ostatni raz.

— To, że Michnik był „spadochroniarzem” na Śląsku, to mnie akurat nie przeszkadza. Tu, na Zachodzie, każdy obywatel ma prawo kandydować w każdym okręgu. Bo potem będzie mówić o sprawach ogólnych, a nie — że w Kielcach nie zbudowano drogi, albo nie zasiano trawnika. Co innego, gdyby „spadochroniarzy” rzucono w wyborach do rad narodowych, ale do Sejmu jest to dopuszczalne. Uważam natomiast, że popełniono błąd, że nie powstał wspólny blok opozycyjny. Opozycja byłaby mocniejsza, gdyby był i Kuroń, i Siles-Nowicki. Ale słyszałem, że część opozycji sama się nie godziła.

— Zgadza się, że powinien być wspólny blok, ale — czy można go jeszcze odbudować?

— Myślę, że nie ma ani możliwości, ani potrzeby. „Solidarność” była czymś więcej niż związkiem i kryła w sobie różne nurty, różne partie w załączku. Teraz chłopcy idą swoją drogą, odbudowują PSL, nawet powstał już klub parlamentarny, w którym jest także kilku ZSL-owców; są chadecy, jest KPN, Stronnictwo Demokratyczne chce się przemianować na Polską Partię Demokratyczną. „Drużyna Wałęsy” już się rozpadła, dowodzi tego rozkład „Tygodnika Solidar-

ności”. Przecież, jeszcze w wyborach, ta drużyna grała jak chciał trener, teraz gra, jak chcą trybuny. Myślę, że jest to naturalna droga.

— Nie boi się Pan,

że przy takim rozdrob-

nieniu opozycji PZPR może jednak wygrać wybory i to całkiem demokratycznie? Jest liczna, zwarta, gotowa.

— Była. PZPR też już się rozpadła, jest jedną z najsłabszych partii. Nie jest spójna ideologicznie, zresztą, ostatnio już w ogóle nie była. A dowodem rozpadu jest to, że nawet jej poskowie wyłamują się z dyscypliny partyjnej. Oczywiście trzeba pamiętać, że PZPR ma wciąż instrumenty władzy, wojsko, milicję, ale to już nie jest ta partia. Ma instrumenty, ale nie może ich użyć. Nie może przeprowadzić żadnej istotnej sprawy w Sejmie, bo jej członkowie wyłamują się. Dlatego nie boję się rozpadu „Solidarności”. Ona musiała być monolitem, gdy druga strona była monolitem. Teraz tej drugiej strony nie ma.

— Czy „Kontakt” ustosunkowuje się do tego podziału, czy opowiada się po stronie np. lewicy laickiej czy prawicy?

— To byłoby sprzeczne z samą istotą „Kontaktu”. My nie musimy brać udziału w rozgrywkach polskich, nie my będziemy w Sejmie. „Kontakt” ma inne cele.

— Czym więc jest „Kontakt”?

— Formalnie jest stowarzyszeniem wyższej użyteczności publicznej, to znaczy, nie przynosi dochodu, nadmiar przeznaczana na wspomaganie kultury w kraju, zwłaszcza na uzbrojenie jej w sprzęt.

— Czy jesteście w stanie przynieść dochód?

— Oczywiście. „Kontakt” to nie tylko miesięcznik. Ten rzeczywiście nie przynosi dochodu, może gdybyśmy nie musieli go przerzucić do kraju, co pociąga dodatkowe koszty... Ale mamy tam 2 tysiące odbiorców i to zobowiązuje. Dochód przynosi nam video. Zrobiliśmy już ponad 20 magazynów na video, współpracujemy z telewizją. Praktycznie nie ma programu we francuskiej telewizji, w którym byśmy nie uczestniczyli; współpracujemy też z telewizją szwajcarską, belgijską. Robiliśmy m.in. programy o Armenii, o Węgrzech, nawet dla Węgrów. Teraz myślimy o telewizji polskiej, chcielibyśmy, żeby dziennikarze francuscy zademonstrowali polskim fachowcom. W Polsce trzeba się wiele uczyć od nowa.

— Wydajemy też „Biuletyn afgański” — kwartalnik w języku polskim i czeskim

— Przecież, jeszcze w wyborach, ta drużyna grała jak chciał trener, teraz gra, jak chcą trybuny. Myślę, że jest to naturalna droga.

— Nie boi się Pan,

że przy takim rozdrob-

nieniu opozycji PZPR może jednak wygrać wybory i to całkiem demokratycznie? Jest liczna, zwarta, gotowa.

— Była. PZPR też już się rozpadła, jest jedną z najsłabszych partii. Nie jest spójna ideologicznie, zresztą, ostatnio już w ogóle nie była. A dowodem rozpadu jest to, że nawet jej poskowie wyłamują się z dyscypliny partyjnej. Oczywiście trzeba pamiętać, że PZPR ma wciąż instrumenty władzy, wojsko, milicję, ale to już nie jest ta partia. Ma instrumenty, ale nie może ich użyć. Nie może przeprowadzić żadnej istotnej sprawy w Sejmie, bo jej członkowie wyłamują się. Dlatego nie boję się rozpadu „Solidarności”. Ona musiała być monolitem, gdy druga strona była monolitem. Teraz tej drugiej strony nie ma.

— Czy „Kontakt” ustosunkowuje się do tego podziału, czy opowiada się po stronie np. lewicy laickiej czy prawicy?

— To byłoby sprzeczne z samą istotą „Kontaktu”. My nie musimy brać udziału w rozgrywkach polskich, nie my będziemy w Sejmie. „Kontakt” ma inne cele.

— Czym więc jest „Kontakt”?

— Formalnie jest stowarzyszeniem wyższej użyteczności publicznej, to znaczy, nie przynosi dochodu, nadmiar przeznaczana na wspomaganie kultury w kraju, zwłaszcza na uzbrojenie jej w sprzęt.

— Czy jesteście w stanie przynieść dochód?

— Oczywiście. „Kontakt” to nie tylko miesięcznik. Ten rzeczywiście nie przynosi dochodu, może gdybyśmy nie musieli go przerzucić do kraju, co pociąga dodatkowe koszty... Ale mamy tam 2 tysiące odbiorców i to zobowiązuje. Dochód przynosi nam video. Zrobiliśmy już ponad 20 magazynów na video, współpracujemy z telewizją. Praktycznie nie ma programu we francuskiej telewizji, w którym byśmy nie uczestniczyli; współpracujemy też z telewizją szwajcarską, belgijską. Robiliśmy m.in. programy o Armenii, o Węgrzech, nawet dla Węgrów. Teraz myślimy o telewizji polskiej, chcielibyśmy, żeby dziennikarze francuscy zademonstrowali polskim fachowcom. W Polsce trzeba się wiele uczyć od nowa.

— Wydajemy też „Biuletyn afgański” — kwartalnik w języku polskim i czeskim

— Wspomniał Pan, że miesięcznik „Kontakt” nie jest dochodowy, inaczej mówiąc, pochłania część pieniędzy, które można inaczej spożytkować. Czy jest w ogóle potrzebny, jeśli w kraju można pisać praktycznie wszystko? Jeśli tutaj są pisma tak różne, jak „Kultura”, „Zeszyty Literackie”?

— Ale nie ma pisma takiego jak „Kontakt”. I myślę, że w kraju też nie powstanie. Przecież nawet „Solidarność” nie ma porządnego działu zagranicznego. A tu nie chodzi o zwykłe informacje, chodzi o pogłębione analizy. Mniej zajmujemy się tym, co dzieje się w Polsce, pokazujemy jak rozwija się świat i dopiero na tym tle przedstawiamy sprawy polski. Ani w „Turkurze”, ani w „Zeszytach Literackich” nie przeczyta Pan o Tybecie, Chinach — my poświęciliśmy tym sprawom numer specjalny. Z perspektywy kraju świat wygląda inaczej, jakby zamyka się w trójkącie Moskwa — Waszyngton — Warszawa... No, może jeszcze Watykan. Tymczasem Polska jest tylko drobnym punktem i to wcale nie w takim trójkącie, układy te dawno się zmieniły. Sprawy Wschód-Zachód zostały już załatwione, ważniejsze są Północ-Połud-

Polish Agriculture

ECONOMIC QUARTERLY



nie, w tym kierunku rozwija się teraz historia. Tego się nie da tak łatwo wyrównać, bo tu powstaje przepaść.

Południe przeżywa boom demograficzny, walczy z głodem, a Północ rozwija nowe technologie. Rodzą się konflikty, nienawiści. Dla ZSRR ważniejsze będą od Zachodu Chiny i Indie, dla Stanów Zjednoczonych już dziś ważniejsza od Polski jest Ameryka Łacińska. Polacy myślą, że są pepkiem świata, dziwią się, że pomoc USA jest "mikro", nie wyciągają wniosków z tego, że USA pomaga przede wszystkim różnym siłom w Nikaragui czy Hondurasie.

— A jak z perspektywy "Kontaktu" wygląda Polska na tle Europy? Na tle jednoczącej się Europy?

— Dla Europy Polska nie jest atrakcją. Tu sentymenty nie grają roli. Polska widzi siebie jako kraj zachodni, łaciński — Zachód widzi Polskę jako kraj zacołany, słowiański, wschodni. I nikt tu poważnie nie myśli o wciąganiu Polski do Europy. Europa już od 1992 roku będzie zjednoczona — mówi się o zniesieniu granic celnych, ujednoczeniu podatków, nawet walut, o swobodnym wyborze miejsca zamieszkania. Polski w tej Europie 1992 roku nie widzę. No, ale ważne, by Europa się zjednoczyła, nim Niemcy się połączą. Będziemy bezpieczniejsi. Najtrudniejszą barierą chyba już przezwyciężono — myślę o napięciach francusko-niemieckich. Z perspektywy Polski tego nie widać, często się zapomina, że Francja prowadziła z Niemcami więcej wojen niż my, że były one bardziej krwawe. Teraz Francja i Niemcy posiadają wspólne siły szybkiego reagowania, były wspólne manewry — choć Francja nie jest w NATO, a Niemcy są.

— Jeśli nie widzi Pan Polski na Zachodzie, to może chociaż w środku Europy, może jakaś federacja analogiczna do Europy Zachodniej?

— Nie widzę kandydatów do tej federacji. Tylko Polska do niej dąży, ale mniejsze kraje boją się sfederowania; Czechy,



Podziemna drukarnia NOW-ej

foto Tomasz Michalak

Węgry wyraźnie ciągną ku Zachodowi, ostatecznie to dawne Austro-Węgry. Może, gdyby Ukraina była w tej federacji, to jakoś równoważylaby Polskę, to już budziłoby jakieś zaufanie. Ale na razie Ukraina jest gdzie indziej, a Polacy popełniają błędy. Np. na Litwie, domagając się autonomii. Co gorsza, zwracają się o mediację do Rosjan, a to już szaleństwo polityczne. Ale błędy popełniają i w kraju, popierając autonomię Polaków na Litwie. Zadaniem opozycji, także zadaniem "Kontaktu", jest wythumaczyć to Polakom. Musimy popierać Litwinów i Łotyszów; tak jak nam pomagał Zachód, tak my musimy im pomóc. To nie tylko kwestia moralna, to także sprawa polityki; wszystko, co osłabia Rosjan, jest dla nas korzystne.

Paryż, jesień 1989

rozmawiał: Jerzy Czejmnicki

MIROSLAW CHOJECKI, Rocznik 1949. Po raz pierwszy siedział w kryminale w marcu 1968 r. za udział w rozruchach studenckich. Musiał wtedy zrezygnować ze studiowania chemii na Politechnice Warszawskiej; studia chemiczne kontynuował potem na Uniwersytecie Warszawskim; tam także zaczął działalność wydawniczo-opozycyjną, występuje 3 numery "Wyrotowca". Po studiach pracuje w Instytucie Badań Jądrowych w Świerku. W 1976 roku uczestniczył w organizowaniu pomocy robotnikom Radomia — co powoduje kolejne aresztowanie. Z IBJ zwolniony za "opuszczenie dnia pracy" — właśnie tego, który przesiedział. Od tego czasu działał w KORze, związał się też z lubelskimi "Spotkaniami" i Nieocenzurowaną Oficyną Wydawniczą, która stała się pierwowzorem uruchomionej potem w Warszawie NOWej (Niezależnej Oficyny Wydawniczej). Przywrócony do pracy w 1981 roku, bierze urlop bezpłatny na działalność polityczną. Stan wojenny zastał go w Kanadzie, dokąd pojechał załatwić papier dla "Tygodnika Solidarność". Od marca 1982 r. przebywa w Paryżu. W kwietniu '82 wyebodził pierwszy numer "Kontaktu". (Nazwę wymyśliła rosyjska dziennikarka, Natalia Gorbaniewska, która pomagała "Kontaktowi" przy pracy nad pierwszymi numerami).

* * PRZEGLĄD PRASY * *

POLSKA: NADAL BRAK SAMODZIELNOŚCI

"Jak szybko czterdziestoletni dziś Polak może nauczyć się brać swój los w swe ręce, jeżeli całe jego dotychczasowe życie było odgórnie sterowane?"

Skąd wziąć ma odwagę do podejmowania samodzielnych decyzji, jeżeli nie został przyzwyczajony do indywidualnej działalności?

I czy atrakcyjniejsza wydać się mu może wolność w samotności, niż ciepłe bezpieczeństwo skromnego ale równego, samowystarczalnego kolektywu?" — zastanawia się nad przyszłością polskiego indywidualizmu korespondentka lewicowo-zielonego dziennika z Berlina Zachodniego DIE TAGESZEITUNG. (TAZ, 2.01.90)

OSADNICY Z RFN?

Podsycając niepokój gdańskich właścicieli mieszkań obawiających się wykupu ich dóbr przez obywateli zachodniemieckich, byłych obywateli Wolnego Miasta Gdańska, nazwała gazeta FRANKFURTER ALLGEMEINE ZEITUNG artykuły TRYBUNY LUDU na temat inwestycji mieszkaniowych dokonywanych przez Niemców w Gdańsku. (FAZ, 20.01.90)

STALINOWSKI FAN-KLUB

Jak doniosły MOSKOWSKIE NOWOSTI delegaci 75 miejsckich regionów utworzyli w mieście Gori, wiośnicki urodzenia Josifa Dzugaszwilli "Towarzystwo Stalin". Celem towarzystwa — powiedział jego przewodniczący gen. Irakli Dżordżadze (jednocześnie przewodniczący sowieckiego związku weteranów) — jest zachowanie pamięci wielkiego sowieckiego przywódcy. (SUÜDDEUTSCHE ZEITUNG, 21.01.90)

Nigdzie nie napisano, że siły militarne w podzielonej Europie muszą pozostać w takim stanie, w jakim znajdują się przez cztery dziesięciolecia — stwierdził gen. Powell, szef sztabu generalnego USA deklarując, że amerykańskie oddziały zostaną w Europie tak długo, jak długo rządy krajów alianckich uznają to za potrzebne. (DER TAGESSPIEGEL, 17.1.90).

JESZCZE TUTAJ? — pytanie to stało się typową formą pozdrawiania w NRD, pisze FRANKFURTER ALLGEMEINE ZEITUNG, z dn. 20.01.90.

Rafał Gan-Ganowicz: »Walczę z nimi — gdzie mogę i jak mogę«

— Dlaczego nienawidzi Pan komunistów?

— Jestem człowiekiem, który ma ku temu aż dwa powody: ogólny — popełniają oni zbrodnicę na ludzkość, deprawują całe społeczeństwa, nie tylko mordują, ale przedtem chcą upodlić, unurzają w błocie. A drugi powód — prywatny, już jako członek takiego upodlonego społeczeństwa biorąc odwet, to moja prywatna wojna. Mój ojciec był w AK, zginął w Powstaniu Warszawskim, Niemcy go zabili, więc powinienem nienawidzić tylko ich, zwłaszcza, że wcześniej, we wrześniu 1939 r., zginęła w Warszawie moja matka, rażona odłamkiem pocisku. Gdy ojciec zginął, miałem 12 lat, uwielbiałem go, był dla mnie bohaterem. Ale komuniści kazali wierzyć, że to "zapłaty karzeł reakcji".

— Więc powody etyczne?

— Głębiej: kulturowe. Nie tylko obcość, ale i wstręt. Zetknięcie z komunizmem było dla mnie szokiem, jako zetknięciem z czymś obcym i wstrętnym. Po upadku Powstania wyczyłem się samopas dokoła Warszawy, zebrałem. I wtedy po raz pierwszy na nich trafiłem, zupełnie przypadkowo. Duże obozowisko sowieckie, na polanie. Zawołali mnie, dali mi kawałek amerykańskiej czekolady, jakiejś gorącej herbaty. Siedzieli przy ognisku, śpiewali, znał Pan te ich pieśni — sentymentalne, duszeczypatielnyje... I w trakcie — dwóch Sowietów przywlokło jakiegoś cywila, Niemca. Wykręcili mu ręce. Na szyi miał jakąś blaszkę, może z Wehrmachtu, nie wiem, coś im tłumaczył. I wtedy oficer, taki młodziutki, wstał od ogniska, w jednej ręce miał szklankę z wódką, w drugiej pistolet. Tamci trzymali tego człowieka — dla mnie to był człowiek, a nie Niemiec — a ten oficer podszedł i z uśmiechem wypalił mu prosto w twarz. I usiadł, i dalej pił wódkę, ten trup jeszcze wierzył, a ten jakby nic... Wstrząsem było nie to, że zabił — na trupy napatrzyłem się w Powstaniu — wstrząsem było to rutynowe podejście do sprawy, jakby spłynęła, to nie był dla niego człowiek. Wrócił do rozmowy, a koło niego ten trup wciąż jeszcze dogorywa, wierzga nogami, płynie krew... Tego nie zapomnę.



Rafał Gan-Ganowicz

foto arch.

— No, ale to byli Rosjanie, warunki frontowe, a Pan nienawidzi totalnie komunizmu...

— Ta zaraza się rozszerzała. Nasi, kiedy zostawali komunistami, zachowywali się już nie jak Polacy. Po tak zwanym wyzwoleniu wróciłem do Warszawy, przygarnęli mnie starsi państwo, którzy stracili w Powstaniu swoje dzieci. Ranka-

mi pracowałem jako goniec w Biurze Odbudowy Stolicy, jeździłem na rowerze po Warszawie, a raczej pośród tych gruzów, po południu chodziłem do szkoły. Miałem kolegę, był w Powstaniu łącznikiem, trochę starszy ode mnie, miał 14 czy 15 lat, walczył, dostał Virtuti Militari. Miał przestżelone kolano i uschniętą dolną część nogi, chodził o kulach. Też chciał się uczyć. Nowe władze zaczęły, że sieroty wojenne mają prawo do stypendiów, a to, jakby nie było, młody bohater. Więc zgłosił się do nich, wdrapał się o tych kulach na któreś piętro — oni go odszukali na jakiejś liście, wyzwalali od skurwysynów i faszystów, i zrzucili ze schodów, tak, że sobie złamał drugą nogę. Chyba właśnie ten fakt spowodował nienawiść — nie do Rosjan, do komunizmu. Bo potem przyszły te stada młodych, w czerwonych krawatach i z pistolecikami za pasem. Oni biegali od mieszkania do mieszkania, wyrzucali na ulice starych ludzi, bili, ciągnęli do więzień. Proszę Pana, niech mi dziś nie kłamią ludzie, że nie wiedzieli, że tego nie było widać. Niech nikt nie mówi, że nie wiedział. Ryki bitych na Rakowieckiej było słychać aż na ulicy, ulica wiedziała, myśmy wiedzieli w szkole — tu zabrali nauczyciela, tam wyweleki sąsiada, kogoś rozstrzelali. Ja, gówniarz o tym wiedziałem, choć nie miałem żadnych powiązań, ani z AK, ani tym bardziej z władzami. Wszyscy wiedzieli.

— Duża część przecież świadomości poparta, uwierzyli w utopię...

— Może młode pokolenie, może gdzieś daleko od Warszawy, od aresztów, ale aresztów było coraz więcej. Nie wiem, czym oni przyciągnęli koła intelektualne, to jakaś fascynacja rewolucją i siłą. Ale to nie byli ci najbardziej ideowi komuniści, tych wybił Stalin. Dlatego mówię, że Andrzejewski kłamie. On rozgrzeszał zbrodnicę pięknymi słówkami, dorabiał ideologię do tej podłości i do fascynacji siłą. Ale po ukazaniu się "Popiołu i diamentu" zbrodniarze czuli się już rozgrzeszeni. Po "Popiele i diamencie" nie było już hańbą współpracować.

— Przecież nie tylko zbrodniarze, przecież nawet Sartre...

— Sartre mógł się pomylić, bo nie

RAFAŁ GAN-GANOWICZ, ur. w 1932 r. w Warszawie, po wojnie uczestnik Młodzieżowego Ruchu Oporu przeciw komunistom. Ucieczka do Berlina Zach. w 1950 r. W 1953 r. we Francji w polskich oddziałach wartowniczych przy armii amerykańskiej, przechodził szkolenie komandosów. W 1961 r. otrzymał dyplom oficerski z rąk gen. Andersa. W 1965 r. w Kongo jako najemnik Czombego broni Stanleyville, następnie przez dwa i pół roku (1967-70) walczył przeciwko sowieckim i arabskim komunistom w Jemenie. W latach 70-tych znów w Paryżu, próbuje różnych zawodów. W latach 80-tych współpracuje jako korespondent z RWE. od '83 r. jest przedstawicielem "Solidarności Waleczącej" we Francji. Autor książki "Kondotierzy", wydanej przez PFK. Londyn 1989, która ukazała się równocześnie w Polsce w wydawnictwie SW. ("Jeszcze żyje" — jak sam stwierdził o sobie wobec "Poglądu").

zetknął się z rzeczywistością komunistyczną, ale nasi intelektualści, poeci, Tuwim, Stonimski, bohaterowie "zniewolonego umysłu". Jednym uderzało do głowy, że mieszkają po willach i pałacach, inni mieli stracha. Chodziło o zalamanie psychiczne. Zachód nas zdradził, zdradzili nas ze wszystkich stron, znikąd nie było nadziei...

— Co wpłynęło na to, że Pan się nie załamał, tylko zaczął walczyć? Powiązania z Powstaniem?...?

— Nie, powiązań nie mieliśmy. Nienawidziłem tego, co się dzieje, tego co z nami robia. Więc kiedy mi koledzy ze szkoły zaproponowali, że będziemy walczyć, że powstała organizacja — oczywiście zgodziłem się. To była najpierw taka harcerska walka: ulotki, napisy na murach. Czasami rzucaliśmy chorągiewki, wie pan: sznurek, kamień i, na przykład, amerykańska chorągiewka — to się rzucało na druty tramwajowe i potem mieliśmy ubaw, musiały wozy motorowe przyjeżdżać, bo to, cholera, pod wysokim napięciem, i w iluś tam ściągali jedną chorągiewkę — czy AK, czy amerykańskiego sojusznika. Ale potem oni zaczęli do nas strzelać — my z kredą czy pędzłem — nawet nie próbowali łapać, tylko strzelali jak do psów. To nawet nie była policja czy ucieka, tylko właśnie chłopcy z czerwonymi krawatami. Wtedy postanowiliśmy się zorganizować w sa-

moobronę, zaczęliśmy kraść broń milicji.

— Jakież skoki na komisariaty?

— To mogli robić starsi, nie my. Ale zdobywanie broni było bardzo łatwe. Wsiadało się do tramwaju w czterech (my zresztą byliśmy podzieleni na czwórki, żeby za wielu nie znać w razie wyspy), no i jeździliśmy tym tramwajem tak długo, aż wsiadł milicjant. Robiło się szuteczny tłok, a tłok naturalny był wtedy wystarczająco duży — milicjanci nosili wtedy pistolety na koalicjyce, to dyndało na tyłku — wystarczyło podstawić pod pistolet teczkę, drugi przecinał żyłatką pasek i pistolet wraz z zapasowym magazynkiem wpadał do teckki szkolnej. Oczywiście kolega z teczką wyskakiwał jako pierwszy: potem szukaj wiatru w polu. Dzięki temu trochę się dobroiliśmy, zaczęliśmy się odstrzeliwać i ci chłopcy w czerwonych krawatach stracili nagłe odwagę. Odważni oni byli, kiedy strzelali do bezbronnych.

— Czy Wasza grupka była podłączona do jakiejś większej organizacji?

— Podejrzewaliśmy, że tak, że do WiN-u. Ale to była konspiracja, ja znałem tylko kolegów ze swojej czwórki, zresztą byłem najmłodszy. Ale zasięgi organizacji musiał być duży, bo na samym początku dali mi do zapamiętania adres we Wrocławiu, gdyby w Warszawie ziemia paliła się pod stopami.

— Przydał się?

— Nie, ale niewiele brakowało. Walczyliśmy dość długo, bo do 1950, nie tylko w Warszawie, ale organizacja w końcu wpadła. Ostrzeżono mnie, bym nie wracał do domu, bo tam kociot, z tym że nie rozbebeszają mieszkania, tylko czekają. Zakradłem się pod dom, gwizdnąłem na syna ciecia — taki rudy, Wojtek, 12 lat, ale swoje już wiedział, strasznie mu imponowaliśmy, pobiegł sprawdzić, a ja czekałem w krzakach. Potwierdził, że byli w mieszkaniu, ale nie robili rewizji i siedzą u sąsiadów naprzeciwko. Powiedziałem mu, co ma robić i parę minut potem przybiegł do mnie ze sporą ilością forsy i pistoletem, walter P-38. Poszedłem na dworzec, by jechać do tego Wrocławia, ale zbieg okoliczności: na jednym torze pociąg do Wrocławia, a obok do Berlina. To był moment wahania: może uciec za granicę? Wszedłem do tego berlińskiego, rozglądam się, ale żadnej skrytki, czy pod ławką, czy gdzie, ubikacje też niepewne. Wskoczyłem z drugiej strony na międzycytor i patrzę jeszcze pod wagon. Wagony pulmanowskie mają koła na takich

wózkach, a między wózkiem i wagonem jest kilkanaście centymetrów, ktoś tak szczupły, jak ja, mógł się wścisnąć. Ten wózek, niestety, nie ma podłogi — leżałem na takich żelaznych sztangach, ale jakoś wytrzymałem. Trzydzieści godzin. Kurz, pył, do tego upał, to był 25 czerwca 1950 roku.

— Bez przgód?

— Z jedną. W Poznaniu jakiś kolejarz ostukiwał wagony, zajął pod mój — ja leżę ścisnąc pistolet i czekam. On tak tylko popatrzył, popatrzył i poszedł. Nie doniósł. Potem pamiętam jeszcze postój — to była granica — łazili tacy w mundurach, po spodniach i butach sądząc, głównie Ruscy. Odbezpieczyłem pistolet i powiedziałem sobie — żywcem mnie nie wezmą, nie zawrócą. Rakowieckiej bałem się gorzej niż śmierci — który pierwszy podłezie, ten zginie. Zjrzałem pod sąsiedni wózek, słyszę kroki, ale przeszli. Miałem szczęście. Ale oni też mieli. No a potem był Berlin. Oczywiście Wschodni, ale poczułem się swojsko, bo ruiny jak w Warszawie, a ruiny to przecież mój dom. Oczywiście, musiałem się trochę umyć w jakiejś ubikacji i łaziłem po mieście. Wiadomości o Berlinie miałem przypadkowe, według słońca kierowałem się za zachód, ale wciąż tylko ulicę, żadnych szlabanów, więc nie mogłem znaleźć granicy. Tylko w pewnym momencie jakoś zrobiło się czystiej, sklepy z towarami, jakieś banany, pomarańcze, ludzie porządnie ubrani. Pomyślałem, że może to już Zachód, ale pewności nabrałem, gdy zobaczyłem napis POLIZEI i pod nim drugi, po angielsku, Sowici by po angielsku nie pisali... Idę dalej, widzę amerykańskiego jeepa. No, więc jestem na Zachodzie! Wracam do tej policji, coś im tłumaczę, oczywiście nic nie zrozumieli. Kazali opróżnić kieszenie — ja wyjmuję chusteczkę i ten pistolet, Niemiec nawet sięgnął po swój, tak się przestraszył, ale wszystko się powoli wyjaśniło. Wreszcie pokazują mi na migi, że spać. Ja im, równieź na migi, że nie spać, ale jeść. Niemiec dał mi własnego sandwicza, przynieśli jakieś piwo... A spałem w więzieniu na Moabicy, w celi. Byłem wściekły, myślałem że mnie aresztowali, że to była taka pułapka, a Berlin oczywiście — Wschodni. Rano otworzyli, ktoś gada po rosyjsku — więc chwila niepewności — mówię, że nie rozumiem. Ale wzięli mnie do lokalu i tam przyszedł oficer w amerykańskim mundurze i przemówił do mnie po polsku.

— Polak?

— Amerykanin polskiego pochodzenia, syn XIX-wiecznych emigrantów z Małopolski. Mówił taką śmieszoną a uroczyście XIX-wieczną mową... Kazał



R. Gan-Ganowicz

Kongo, listopad '65

podpisać papiery, że wszystkim o zabrakku. Ja mu, że nie podpiszę, bo zabrakło pistolet, nie dam Szwabom polskiego pistoletu. Więc on załatwił polubownie: im odebrał, ale mnie nie mógł dać, zamiast niego podarował mi, ale już później, colta-straszaka.

— *Z Berlina przyjechał Pan do Francji...*

— Nie tak od razu. Byłem w obozie dla uchodźców w Steglitz i czekałem. Sowieci blokowali Berlin, można było wyostać się tylko drogą powietrzną, kolejka czekających była długa. Zdążyłem się nawet na tyle podszkolić w niemieckim, że zostałem kimś w rodzaju tłumacza, a tłumaczyłem Niemcom, także Amerykanom, dlaczego nasi uciekają. Zdarzały się przypadki najdziwniejsze. Na przykład, w samą noc sylwestrową spili się nasi WOP-isci znad Nysy Łużyckiej, doszli do wniosku, że im życie w Polsce Ludowej zbrzydło i — tak jak stali — z psami, pepeszami i w mundurach pomaszzerowali na zachód. Ośmiu żołnierzy, z sierżantem na czele. Po drodze ostrzelali się z Niemcom, i Sowietom, w końcu z tymi psami i pepeszami, i w mundurach weszli do sektora francuskiego. Francuzi ogłosili alarm, bo myśleli, że to już trzecia wojna... Ale takie przypadki nie zdarzały się co dzień. Na co dzień było normalne życie — jeśli uznać za coś normalnego ciągłą strzelaninę, trupy w Szpewie, czy to, że wschodniemiecka bezpieka podrabiała amerykańskie papierosy i handlowała nimi w Berlinie Zachodnim. No, ale ja z tego Berlina już wybyłem. Zgłosiłem się do kompanii wartowniczych, organizowali je Amerykanie, by zastąpić swoich żołnierzy, którzy stali od Łaby po Portugalie. Ale ja i jeszcze paru młodszych, młodzi romantycy wychowani na Mickiewiczu, myśleliśmy, że pod przykrywką kompanii wartowniczych mądrzy Amerykanie szykują nowe Legiony Dąbrowskiego — a to były zgrupowania stróżów nocnych i dziennych. Pilnowaliśmy składów broni, paliwa.

— *Gdzie Pan był?*

— Prawie cały czas pod Verdun. Tak, tym słynnym Verdun. Aż do 1956 roku. W międzyczasie zrobiłem maturę pod egidą polskiego gimnazjum i liceum w Les Ageux, potem wróciłem do tej szkoły jeszcze na jakiś czas — już jako nauczyciel matematyki i fizyki. Ale nie to było najważniejsze. W czasie służby w kompaniach wartowniczych dowiedzieliśmy się, że w Londynie pułkownik Czarniecki powołał "Pogoń" — organizację, która przygotowywała polskich oficerów; taka podchorążówka, zajęcia teoretyczne, ale co jakiś czas przyjeżdżali z Anglii oficerowie, robili zajęcia z tere-

noznanawstwa, marzyliśmy o powrocie do kraju z bronią w rękę. Przygotowywali nas do wojny partyzanckiej. Potem podobne szkolenie prowadzili z nami oficerowie francuscy. To było jakoś tak podzielone w ramach NATO, że Francuzi szkolili Polaków. Głównie z łączności, organizowania partyzantki — oczywiście, w okupowanej przez Sowietów Polsce — szkolono nas na broni Paktu Warszawskiego, co potem przydało mi się w Kongo.

— *Jak Pan tam trafił?*

— No cóż, z partyzantki w Polsce znów nic nie wyszło, tak jak z marzeń o Legionach Dąbrowskiego. Przyszedł de Gaulle, wyrzucił Amerykanów, Francja wystąpiła z NATO, nasze szkolenie zostało przerwane. Wtedy doszedłem do wniosku, że nie będzie mi dane walczyć o Polskę w Polsce. Przeżywałem kryzys, nie tylko ja, także paru kolegów. Bo przecież nie uciekliśmy na Zachód, by się dorobić. Zostałem w Polsce nie skończoną walkę. Koledzy, którzy nie uciekli, stracili życie. Czuję się jak dezercer. Jeśli nie mogę walczyć z Rosją w Polsce — pomyślałem — będę z nią walczył — gdzie się da, poszukam innych frontów. Ostatecznie Legiony Dąbrowskiego też nie walczyły w Polsce, tylko we Włoszech, nawet na San Domingo. No i trafiło mi się takie San Domingo, kiedy w Kongo Lumumba rozpałt rewolucję komunistyczną i Czombe zaczął werbować żołnierzy i oficerów — zgłosiłem się do walki.

— *To znaczy, był pan najemnikiem?*

— Niezupełnie. Nie poszedłem dla pieniędzy, poszedłem walczyć z komunizmem — bo ja już wiedziałem, co to jest — broniłem wolnego świata. Dziwne, że dobrą opinię mają w Polsce "Dąbrowszczacy", którzy z rozkazu i za pieniądze Moskwy pojechali do Hiszpanii, służyli pod sowieckimi dowódcami i próbowali ujarzmić ten kraj. Oczywiście, żołd brali, jak i my, jeśli nie większy — ale o tych, co niewolili, mówi się "ochotnicy", a o nas, którzy bronili kawałka wolnej Afryki — mówi się "płatni najemnicy". Byłem dowódcą XII batalionu katangijskiego. Objąłem miejsce po innym oficerze-Polaku. Odszedł wtedy kapitan Topór-Staszak — gdy odchodził, Katangijczycy płakali. Kochali go, uważali za M'kuu, czyli szefa plemienia. Dowodził nimi, gdy "błękitne hełmy" ONZ masakrowały katangijskie wioski. Szczególnie brutalni byli Szwedzi, jakby wojna obudziła w nich Wikingów. Dag Hammar-skjöld, sekretarz generalny ONZ, był politykiem najbardziej znicznawidzonym przez Murzynów, oczywiście z wyjąt-



Jemen, wiosna '69: "Prowadzę szkolenie partyzantów".

kiem komunistów i tych, którzy brali od nich łapówki, broń, którzy byli tak zależni jak Lumumba.

— *Czyby Czombe był bohaterem bardziej pozytywnym?*

— Oczywiście. Przede wszystkim był synem wodza plemienia. Wychowany w dobrobycie — nie musiał brać łapówek i prezentów, jak większość kacyków. Poza tym był inteligentny, wykształcony, nie był czarnym rasistą, widział, co się dzieje w momencie dekolonizacji. Przecież kolonizacja była dla Afryki korzystna — nie tylko przyspieszyła rozwój, Murzyni by tego przez wieki nie dogonili, ale przede wszystkim władze kolonialne powstrzymałyby trwające od wieków rzezie międzyplemienne. A kiedy Europejczycy odeszli — rzezie zaczęły się znowu: czarni między sobą, czarni — białych. Kiedy mówi się o tamtych czasach, mówi się o "najemnikach", o "secesji Katangi", a pomija, że rząd belgijski wysłał pomoc nie tyle Czombemu, co białym masakrowanym przez komunistycznych rebeliantów. Murzyni dokonali rzezi białych w Stanleyville — spędzili ich najpierw w kilka gett, zaimprovizowanych obozów, potem pijani, odurzeni haszyszem, wywiekali ich z tych obozów i masakrowali. Spadochroniarze belgijscy ocalili dosłownie resztki. Gdy nadeszły oddziały Czombego, część z nich przeżyła epopeję, płynęli dwa tysiące kilometrów w górę Konga na barkach, poprzez dzunglę opanowaną przez rebeliantów komunistycznych, musieli wciąż się ostrzeliwać, wciąż czuwać. Ale dopłynęli i Belgowie im właśnie przekazali obronę Stanleyville, im i białym doradcom, jak ich pan na-

zwał, najemnikom. Topór-Staszak był właśnie obrońcą Stanleyville, potem ja. Byłem dowódcą jednego z trzech batalionów, które broniły Stanleyville. To były bardzo szczupłe siły, jeśli wziąć pod uwagę, że atakowały nas masy – ogłupione haszyszem, podniecone dźwiękami tamtamów. Sowietci działali chytrze poprzez szamanów. Szamani nienawidzili białych – księży, lekarzy – bo tam, gdzie weszła "biała" cywilizacja, nauka – tam kończyła się władza szamana. Więc Sowietci ich podbiechali, obdarowywali łapówkami, obiecywali stanowiska – a szamani z kolei ogłupiali Murzynów, mówiąc, że jeśli wymówią odpowiednie zaklęcie, to nasze kule, pociski białych ludzi rozplyną się jak woda. I te czarne oddziały szły do ataku na nas krzycząc "Mulele-maj, Mulele-maj". "Mulele" to było nazwisko ich generała, a "maj", to "woda". To właśnie było to zaklęcie zamieniające kule w wodę: Mulele-maj. Oszołomieni haszyszem nie widzieli nawet, że ich koledzy padają. A szamani byli gdzieś z tyłu, a doradcy sowieccy jeszcze dalej...

– *Walczył Pan z nimi osobiście?*

– Musiałem. Dowódca nie może nie walczyć, gdy giną jego żołnierze. Byliśmy osaczeni. Walczyłem nie tylko z nimi, zdarzyło się, że musiałem walczyć z autentycznymi ludożercami. To byli "ludzie-krokodyle". Okazuje się, że warstwa polityki jest bardzo cienka. Gdy Europejczycy wycofali się z Konga, wrócili nie tylko walki plemienne, wróciło ludożerstwo. Był taki przypadek, jeszcze przed moim przybyciem do Stanleyville, że do dżungli spadł samolot wiozący 12

włoskich techników. Trafił na nich kongijski batalion piechoty. Po załodze i po technikach zostały ogryzione kosteczki, ale prasa to przemilczała, by nie narazić się na pomówienie o rasizm. Ludożercy trafili także na nas, a raczej na plemię M'Wabu, które było pod naszą ochroną, odkąd czerwoni (śmiesznie tak mówić o Murzynach) porwali ich szefa. To było plemię rybackie, żyli nad dopływem Konga, w pobliżu Stanleyville. Szef uciekł wprawdzie z niewoli, błąkał się po dżungli i myśmy go odnaleźli w stanie bliskim śmierci. Za to ocalenie szef mianował mnie jakby wodzem plemienia, nazwał mnie swoim ojcem, podarował mi nawet dziewczynę... Więc czuliśmy się w obowiązku chronić tych M'Wabu. Pracowałem nad nimi, ale już bardziej dalekowzrocznie, nie o doczesność mu chodziło, lecz o zbawienie wieczne, pewien ksiądz, misjonarz belgijski. On właśnie przybiegł któregoś ranka do naszej placówki mówiąc o "ludziach-krokodylach". Nazwa wzięła się stąd, że płynęli pod wodą, w ustach – rurki bambusowe, żeby oddychać. Podpływali pod jakąś pirogę, wywlekali i topili rybaków. Wyciągali na brzeg i po wypatroszeniu, tak, trochę kulturalni już byli, więc po wypatroszeniu zjadali. Kilkadziesiąt kilo mięsa to dla plemienia gratka, a człowieka upolować łatwiej niż, dajmy na to, antylope. Akcja pacyfikacyjna przeciw ludziom-krokodylom to była jedyna taka, którą dowodziłem. Gdy zajęliśmy ich wieś, po prawej stronie rzeki Lualaba, na polanie zobaczyliśmy wygasłe ognisko, nad nim ogromny rożen na dwóch krzyżakach, nie dojezione szczątki ludzkie. W trawie znaleźliśmy obcięte głowy rybaków z plemienia M'Wabu. Zrobiliśmy im pogrzeb, cóż więcej można było zrobić...

– *Ale zaczęliśmy mówić o Czombie...*

– Tak jak mówiłem, Czombe był politykiem, który nie miał złudzeń co do postępu w rodzinnej Afryce. Wiedział, że nie dadzą sobie rady. Wszystko się rozwalało: budynki zdewastowane, łączność nie działa, drogi niszczone... Ale Czombe był patriotą, nie chciał uzależnić swojego państwa nie tylko od Sowietów, ale także od Amerykanów, bał się tych kolosów. Więc bardzo sprytnie stawiał na małe państwa: spadochroniarzy szkolił mu Izrael, telefony zakładali Francuzi, drogi budowali Włosi. Ja też miałem pomysł, właściwie powinienem był powiedzieć o tym na początku. Może uniknęlibyśmy tej gadki o najemnikach. Więc chciałem wejść w układ z Czombie, po to się z nim spiknąłem,

chciałem mu przyprowadzić ludzi, którzy nie mieliby innych zobowiązań, nie tylko podwójną pod Sowietów, ale i pod Amerykanów. Domyśla się Pan, że chciałem mu zaproponować pomoc Polaków-emigrantów, tych z niedoszłych Legionów Dąbrowskiego, tych z "Pogoni". To nie było utopią, cała kadra doradców Czombiego to było raptem 500 ludzi. Polaków – fachowców z różnych dziedzin – i wojskowych, i lekarzy, i łącznościowców mieliśmy na pewno więcej. Chcieliśmy, żeby przy każdym ministrze czy dyrektorze stanął nasz doradca, potem przysliby inni. Czombe zyskałby doradców – Polacy jakąś namiastkę wolnej od komunizmu ojczyzny... Zaproponowałem to Czombie, który się zgodził, ale na wszelki wypadek uzgodniłem to jeszcze z Andersem. To był mój obowiązek, przecież to Anders dawał mi dyplom oficerski.

Anders się zgodził, myślałem, że się uda.

– *Dlaczego więc się nie udało?*

– No cóż, nie wiedzieliśmy, że Czombe został już zdradzony przez Zachód, spisany na strzy. Nawet CIA było przeciw niemu, musiał zginąć.

– *Jak zginął?*

– Wyjechał z oficjalną wizytą do Europy i wtedy prezydent Kasawubu ogłosił go zdrajcą, a premierem mianował na miejsce Czombiego głównodowodzącego armii, generała Mobutu. Czombe zamieszkał w Hiszpanii, ale ktoś go wytopił. Zaproponowano mu kupno rezydencji na Balearach. Kiedy samolot ruszył, osobnik, który mu to proponował, czy niby pośredniczył, niejaki Bode-nau, chyba Francuz, wyjął pistolet i zmusił samolot do lądowania w Algierii. I wtedy zaczął się cyrk. Czarna Afryka żądała wydania zdrajcy-Czombiego, chcieli go postawić przed sądem, powiesić; Europa, zwłaszcza Hiszpania, naciskała Algierczyków, by go nie wydawali na śmierć. Algierczycy, tak między młotem i kowadłem, nie wiedzieli, co robić, więc znaleźli sprytnie trzecie wyjście: Czombe umarł w więzieniu na serce. I tak się skończyła moja afrykańska przygoda.

– *Potem był jeszcze Jemen – walki na pustyni, upały...*

– Tak, upały były nieliche. 100°C, w cieniu 60, i 100 km do najbliższego cienia. Tak, tam już miałem przeciw sobie Rosjan na polu bitwy i jeśli Jemen nie jest dziś komunistyczny, to jest w tym cząstka mojej zasługi, mojej i całej dwudziestki. Zdobyliśmy też wiele sowieckiego sprzętu, przedyła się dawne szkolenie. Dzień zaczynał się dla nas atakiem sowieckich Migów, polowali na nas zre-



Jemen, czerwiec '68. "Sowiecki czołg zniszczony przez moich uczniów".



Na obserwacji artyleryjskiej. Jesień '89

sztą, gdzie mogli i kiedy mogli. Pamiętam, jak nasz jeep jechał doliną Seher'zad, kiedy nadleciał Mig 21. Nie bardzo było gdzie się schować, ledwo wyskoczyliśmy z samochodu, porywając po drodze ckm, kiedy jeep stał już w ogniu. Dobrze strzelał, prowadził też mistrzowsko, od razu widać było, że sowieciarz i to wysokiej klasy. Zaczęliśmy strzelać z ckm. Obok, zza jakichś kamieni, grzali do niego Jemeńczycy ze swoich strzelb. A on odpalał rakiety, przelatywał, zawracał elegancko kładąc się niemal na plecach i znów nadlatywał. Uparł się, żeby nas wykończyć. Nie wiem, czy to nasz ckm czy któryś Jemeńczyk swoją flintą — dość, że nagle jakby podskoczył na niewidzialnym kamieniu i zaczął spadać. Podbiegliśmy do niego, pilot już nie żył. To był pułkownik Kozłow, sam szef sowieckiej "misji doradczej" przy "Ludowej" Republice Jemenu. Znaleźliśmy przy nim listę 36 podległych mu pilotów sowieckich. To była zdobycz ważniejsza niż samolot, bo Sowiecie wypierali się swej interwencji przed światem. Zgodnie ze swą taktyką krzyczeli o białych najemnikach na żądanie CIA, czyli o nas (a nas było raptem dwudziestu), a zaprzeczali, jakoby cokolwiek mieli wspólnego z komunistyczną rebelią, przedstawiali ją jako ludową rewolucję. Ta lista Kozłowa została przekazana rządowi Arabii Saudyjskiej, przez nich do ONZ, gdzie ...zrobiono już wszystko, aby sprawę wyciszyć. Zachód jest zdemoralizowany,

micki, woli udawać, że o niczym nie wie, oszukuje własne społeczeństwa. Gadają o prawach człowieka, demokracji, a nie rozumieją, że Sowietci, jako materialści, rozumieją tylko język siły. Takie gadanie to dla nich dowód słabości. Tak i w tej sprawie Zachód wolał udawać, że nie wie o roli Sowietów. Lista, którą zdobyliśmy przy Kozłowie, była niewygodna nie tylko dla Sowietów. Pamięta Pan te słowa Ujejskiego: "rękę karaj, nie ślepy miecz"... W Afryce jeszcze im się udawało, posługiwali się murzyńskim mieczem, przekupionymi, otumanionymi przez szamanów i narkotyki Murzynami. Tutaj złapałszy ich wreszcie za rękę. Przecież oni nie tylko strzelali z MIG-ów — to oni obsługiwali katusze, czołgi, dowodzili atakami. Niedługo po przybyciu widziałem takie pole bitwy, a raczej wąwóz po bitwie, którą stoczyli Jemeńczycy z czołgami. To były czołgi sowieckie T-54, z tym, że na czele naserowców (to Naser rozpuścił w Jemieniu prokomunistyczną hecę — by potem z błogosławieństwem Moskwy i pomocą doradców uderzyć na to państwo, czyli — jak to się mówi — przyjąć z internacjonalistyczną pomocą), na czele kolumny szły sowieckie czołgi, w jednych załogi egipskie, w innych sowieckie, dowódcy to oczywiście Sowietarze. A naprzeciw beduini uzbrojeni w dżambie i stare strzelby.

— *Dżambie?*

— Rodzaj sztyletu. Już mały chłopak kupuje sobie za pierwsze pieniądze pochwę, potem składa na ostrze. Pierwsza rękojeść jest drewniana, potem wymienia ją na droższą, z rogu. Potem ją zdobi kamieniami, srebrem... Ale to raczej symbol niż broń. Czasem pojedynkują się na dżambie, walczyły się tym z czołgami nie da. Wie pan, jak oni odparli jeden z ataków? Jak już wspominałem, zwiędziałem pole bitwy, raczej wąwóz. Na dnie — tak myślałem — jakieś rury między kamieniami. To były lufy ruskich T-54. Gdy czołgi wjechały w wąwóz, Jemeńczycy spowodowali lawinę, tysiące ton gładów przywaliły całą kolumnę. Potem mnie było dane walczyć z Sowietarzami. Może to zabrzmiało patetycznie, ale jestem ostatnim polskim żołnierzem,

który walczył z Armią Czerwoną. Oficjalne polskie wojsko, LWP, wkraczało w latach 60-tych do Czech u boku Sowietów — w charakterze gorszym niż najemnicy — a ja z czerwonymi walczyłem. To naprawdę jest gorsze niż zaraza — widziałem ich metody, stosowali je potem w Afganistanie a wymyślali na zimno w Moskwie. Lotnictwo atakowało każdą grupę ludzi, bo wiedzieli, że wszyscy są tu przeciwi. Napalimem podpalali zbiory, strzelali z samolotów do bydła, żeby wygłodnić kraj. Niech pan sobie wyobrazi ogromne pobojojwisko, na którym dogorywają, ryczą setki postrzelanych zwierząt.

— *To się kojarzy z wrześnie i kawalerią polską, to była także wojna ze zwierzętami.*

— Nie. We wrześnie konnica była częścią armii — tu co innego: oni masakrowali pasące się stada bydła i baranów. To się potem rozkłada, wywohuje żarzą. O to właśnie chodziło: zastraszyć, wytepić ogniem i zarazą. Określenie "czerwona zaraza" nie było w Jemenu tylko epitetem. Zaraza wywołana na zimno przez Sowietów dziesiątkowała ludność. Walczyłem z tą czerwoną zarazą nie tylko jako instruktor, walczyłem z bronią w ręku. To znowu zabrzmiało patetycznie, ale jak strzelałem do sowieckich czołgów z bazooki — oni robili rajdy głównie nocą, trzeba było zakradać się pod ich linie, robić zasadzki tuż przy drodze i nie jeden z naszych wystrzelił, ale nie zdążył potem zwać — więc jak strzelałem do sowieckich czołgów, to mówiłem sobie, że to za napad we wrześniu 1939, że następny strzał będzie za Katyń, że jeszcze następny czołg to za to, że nie pomogli w Warszawie, następny — za "zapłutego kartla reakcji", za to, co zrobili z Polską po wojnie.

Paryz, jesień 1989

Rozmawiał Jerzy Czejmnic

(Zdjęcia wykorzystano z prywatnego archiwum p. Gana-Ganowicza)

ARKADY
KSIĘGARNIA POLSKA

Alsterarkaden 10
2000 Hamburg 10
tel. 040/346047

Jedyna w północnych Niemczech polska księgarnia wysyłkowa

Katalogi wysyłamy na życzenie!

Zbigniew Żbikowski

Honor ludowego oficera

Całą dokumentację trzyma w środkowej szufladzie domowego biurka. Listy na brudno pisze w kratkowanym szkolnym zeszytach. Przepisuje je potem na maszynie i wysyła pod adresem najwyższych władz wojskowych. W tekturowej teczce gromadzi odpowiedzi. Munduru nie zakłada od siedmiu lat. Czapka z dwiema gwiazdkami na otoku leży gdzieś w domowym łamuse.

SZCZECIN 1970

Rocznik czterdziesty. Od siedemnastego roku życia w wojsku. Po maturze – szkoła oficerska i dalej, według schematu: kolejne garnizony, poligony i zadania. Po drodze jeszcze studia w Wojskowej Akademii Technicznej. W grudniu 1970 r. – Szczecin. Myślał wtedy tak, jak mu kazano: grupa leni, którym się nie chce pracować, za poduszczeniem wrogich sił zmusza innych do strajkowania. Należy przywrócić porządek! Taki był rozkaz. A żołnierz, nawet jeśli jest kapitanem, nie musi sobie zaprzętać głowy analizą sytuacji.

Zamglone, amatorskie zdjęcia w rodzinnych albumach. Kolejne belki, potem gwiazdki, potem belki i gwiazdki razem. Jesienią 1979 r. awans na podpułkownika. Wskaźnik "upartyjnienia" kadry oficerskiej dawał się wówczas porównać ze wskaźnikiem frekwencji wyborczej. On był w PZPR od czasów szkoły kadeckiej.

Pracował dla wojska, reszta go nie obchodziła. Zresztą oficerowie do spraw technicznych nie musieli zajmować się polityką. Robiły to za nich wyspecjalizowane służby, oni tylko przyjmowali narzucane im oceny. Żyli w dobrowolnym getcie. Prawdziwe życie znali z opowiadań, to znaczy nie znali go wcale. Zamiaszt faktów podawano im gotową papkę.

W 1981 r. mówiono im się o bojówkach, które terroryzują załogi fabryczne, zmuszając robotników do strajków. Kiedyś przyszło mu do głowy zobaczyć je z bliska. Podczas letniej fali strajkowej założył cywilne ubranie i przeszedł się z żoną pod bramę pobliskiego zakładu. Wrocławską Fabryka Lin i Drułu "Drumet" nie wyglądała na opanowaną przez terrorystów. Działała straż robotnicza,

nie widać było żadnego przymusu. Chociaż strajku nie akceptował, podobał mu się panujący porządek. Swoimi wątpliwościami dzielił się z najbliższymi kolegami. Stawianie takich kwestii na zebraniu nie było przez przełożonych dobrze widziane.

13 GRUDNIA

Później, w grudniu, gdy zajmowali wrocławską Chłodnię, przerzucił dokumentację Komisji Zakładowej "Solidarność". Wśród papierów znalazł pismo związkowców domagające się zwolnienia pracownika, któremu udowodniono picie wódki w pracy. "Popatrz – powiedział do kolegi, też wyższego oficera – a nam mówili, że oni bronią pijaków i obiboków". Czuł się nieswojo, gdy zaraz potem odprawił kolumnę wozów pancernych, które wyruszały do Płocka, by złamać opór Petrochemii.

13 grudnia na jego drzwiach nikt nie zrobił żadnego znaczka. Blok dla wojskowych stoi wśród innych, na zwykłym osiedlu, dostęp do niego był łatwy. Równocześnie po mieście krążyła plotka o jakiejś tajnej instrukcji dla bojówek "Solidarności", zgodnie z którą komunistów należało rozstrzelać w pobliżu szaleńców miejskich, by było pod ręką wapno do posypania zwłok. To przerażało. Funkcjonariuszom partyjnym i wojskowym ktoś nocą przebił opony w samochodach. Kiedy jednak konspiratorzy spartaczyli robotę i dali się złapać, okazało się, że to ... synowie milicjantów.

Grudzień brutalnie i nagle zetknął oficerów z rzeczywistością. Stan wojenny otworzył im oczy na prawdę o osiągnięciach socjalizmu. Z koszar przeszli do fabryk, gmin, instytucji i zważyli im się na głowę lawina codziennych problemów, o których dotąd nie mieli pojęcia. Jeden z jego znajomych, oddelegowany do gminy jako komisarz, czym prędzej załatwił sobie odwrot i więcej tego miasteczka nie oglądał. Bo nie był w stanie ani wyprowadzić tam ludzi z suteren, ani uzdrowić miejscowej władzy.

Nie podobało mu się współdziałanie wojska ze Służbą Bezpieczeństwa i



Józef Gieszka

fot. Autor

metody osiągania celów. Dzwonił np. w nocy przełożony z rozkazem: "Zorganizować demonstrację siły!" Trzeba było wyprowadzić kolumnę skotów, przeprowadzić ją z hałasem przez miasto i wrócić do koszar. Kogo mieli straszyć? A jeśli nie było realnych przeciwników, należało ich wymyślić: malować hasła, rozrzucać ulotki!

Przed drugą rocznicą Porozumień Sierpniowych przyszło polecenie, aby żołnierze ze służby czynnej przebrać za ZOMO-wców. Na głównym placu Wrocławka, 30 sierpnia 1982 r. miała się odbyć demonstracja robotnicza. Trzeba było dać jej właściwy odpór. Gdyby ludzie nie przyszli, należało ich ściągnąć. Podpułkownikowi wyznaczono rolę obserwatora. Miał stać z boku i zwracać uwagę, czy żołnierze udający ZOMO-wców zachowują się zgodnie z poleceniem, to znaczy, czy włączają się do akcji. Włączyli się. Nie dla wszystkich z nich zresztą wystarczyło mundurów. W tłumie nikt nieczego nie poznał. Podpuszczony tłum atakował, ZOMO odparował, kamery video wszystko notowały. Wieczorem poszedł do sztabu meldunek o poskromieniu niepokojów. Wojsko tego dnia "pozostało w koszarach". Honor wojska na tym nie ucierpiał.

Po tej akcji napisał dwa prywatne listy. Jeden do brata, drugi do kolegi, z którym na Śląsku chodził do szkoły. Nazwał w nich rząd stanu wojennego "rządem długiej pały", a Mieczysława Rakowskiego — intelektualistą stanu wojennego. Określił ustroj PRL jako totalitarny, a stan wojenny jako okazję dla rządzących, aby mogli przedłużyć sobie korzystanie z przywilejów i nie dopuścić do pełnej demokracji. Oskarżył władzę o powodowanie "bałaganu" kartkowego, nieudolność w przeprowadzaniu reformy gospodarczej, spadek produkcji, wysokie ceny i głodowe zarobki. Wyrzcił przekonanie, że stan wojenny musi się w Polsce skończyć — "jak skończył się kiedyś Dżyngis-chan, Hitler, czy Stalin". Napisał, że stojąc po stronie "mas pracujących", nie wie już, czy jest na lewicy, czy na prawicy.

Oba listy przechwyliła cenzura.

FERALNE LISTY

Zgodnie z pragmatyką, cenzorzy, po zakwestionowaniu listów, powinni byli z ich treścią zapoznać prokuratora wojskowego, a ten, uznawszy, że popełniono przestępstwo, winien powiadomić bezpośredniego przełożonego nadawcy. Prokurator żadnego dochodzenia nie wszczął a tymczasem pismo do brata w wielu kserokopiach, nie wyłączając fragmentów osobistych, poczęło krążyć w dowództwie Pomorskiego Okręgu Wojskowego, w komitecie partyjnym, wśród pracowników bezpieczeństwa.

Najpierw zareagowała partia. Gdzieś zdecydowano wyrzucić go z PZPR. Ale organizacja partyjna w jego macierzystej jednostce nie przychyliła się do wniosku. Widocznie wielu oficerów myślało już tak jak on. Wobec tego do sprawy włączyła się komisja kontroli partyjnej przy POW. Podpułkownikowi postawiono szereg zarzutów, wśród nich i ten, że "snuł rozważania na temat pełnej demokracji-

zacji w PRL i możliwości jej zwycięstwa w krajach sąsiedzkich". Komitet partyjny przy sztabie okręgu wojskowego uznał, że treść pisanych listów naruszyła nie tylko zasady programowe i statutowe PZPR oraz jedność szeregów, ale także honor i godność oficera Ludowego Wojska Polskiego. Na tej



Grudzień '70. Szczecin. "grupa leni, którym się nie chce pracować... zmusza innych do strajkowania. Należy przywrócić porządek!"

podstawie usunięto go z partii i wkrótce wezwano przed oblicze Sądu Honorowego dla oficerów starszych.

Członków sądów honorowych wybierają oficerowie, a z tego grona ustala się skład rozpatrujący konkretną sprawę. Ten skład zatwierdził dowódca POW, gen. dyw. Józef Uzycki. Obrońcę wybiera obwiniony. W sztabie nie znalazł chętnych. Dopiero kolega z jednostki zgodził się. Obrona była jednak zbyt słaba, bo rozprawa była pokazowa i kara musiała być przykładna.

Przewodniczącą składu odczytał dowodowy list do brata, nie pomijając żadnego fragmentu. Następnie inni dorzucili dalsze okoliczności obciążające. Obciążało go m.in. to, że jeden z jego braci pozostał na stałe w RFN, a żona rzuciła legitymację partyjną. Sąd nie chciał wysłuchać świadków, ani nie interesowały go okoliczności łagodzące, jak choćby minimalna "szkodliwość społeczna" czynu. Obrońca zdążył rzec tylko, że oceny za-



13 grudnia '81. "Grudzień brutalnie i nagle zetknął oficerów z rzeczywistością. Ponownie wyszli z koszar..."

warte w listach były prostymi wnioskami z obserwacji otaczającej rzeczywistości. Nic tym nie wskórał. Trzech z obecnych na sali oficerów, choć oskarżonego o brak honoru nie znalazł, oświadczyło, że nie chce mieć go w swoim gronie. Sąd udał się na naradę i po przerwie oznajmiono mu, że zostanie pozbawiony stopnia oficerskiego. Nigdy nie dowiedział się, na czyj wniosek wszczęto całe to postępowanie.

WYKLUCZENIE

Nim minister obrony narodowej rozpatrzył orzeczenie honorowego sądu, podpułkownik próbował interweniować w Głównym Zarządzie Politycznym Wojska Polskiego. Bezskutecznie. Jego wyjaśnienia wyprzedził telefon z Bydgoszczy. W styczniu 1983 r., gen. armii Florian Siwicki podpisał dokument pozbawiający go stopnia podpułkownika. Nie mógł już pracować w wojsku. Posłano go jeszcze do lekarza. Badanie wykazało rozstrój nerwowy. Przeniesiony został do rezerwy. "Będziesz jeść tynek" — postraszył go lekarz na pożegnanie.

Rozliczenie z wojskiem nastąpiło błyskawicznie. Z protokołem zdawczym przyszli do domu. Zdając wysokie stanowisko w jednostce podpisał się: "szer. rez. Józef Gaszka". Nie podobało im się to, ale taki był stan faktyczny. Był już tylko szeregowcem. Na pracę we Włocławku nie mógł liczyć. Znalazł ją w małym miasteczku, kilkadziesiąt kilometrów od domu.

Sądził, że stan wojenny potrwa znacznie dłużej, a powrót do demokracji nie nastąpi szybciej, jak na początku przyszłego wieku. Wszystko jednak potoczyło się inaczej. Zmieniły się warunki i oceny. Ośmielony, zaczął wykazywać bezprawność postępowania Wojewódzkiego Urzędu Cenzury i Sądu Honorowego. Pragnie odzyskać stopień wojskowy, zakwestionować listy i oficerski honor, którego mu odmówiono. Nie pragnie tylko wrócić w szeregi partii. Ten rozdział uważa za zamknięty. Prowadzi korespondencję. Wojewódzki Urząd Spraw Wewnętrznych odpowiada, że listy zostały zniszczone po likwidacji Wojewódzkiego Urzędu Cenzury, a Ministerstwo Obrony Narodowej, że zostały włączone do akt sprawy i nie podlegają zwrotowi. Pisma krążą dalej.

W obwodzie zamkniętym, do którego uprzednio należał, kandydaci na posłów i senatorów strony partyjnej doznali w czerwcowych wyborach dotkliwej porażki. W innych obwodach wojskowych było podobnie. Oficerowie polityczni coraz gorzej wypełniają swoją rolę. Wojsko upolitycznia się na własną rękę.

Zbigniew Żbikowski

Romuald Szeremietiew

PRL czy Rzeczpospolita Polska?

Z wielu stron słyszymy opinie o wyjątkowości zmian zachodzących w Polsce. Jesteśmy przekonani, iż oto pojawiła się realna szansa zmiany ustroju i wprowadzenia systemu demokratycznych rządów, tj. usunięcie komunistów, a pewnie też przebudowę PRL, satelity sowieckiego, w niepodległą i suwerenną Rzeczpospolitą Polskę.

Nie przeczę, iż szansa odzyskania niepodległości Polski jest realna. Uważam, że pierwszy raz od wielu lat Polacy naprawdę mogą odzyskać wolność. Mogą, ale to wcale nie oznacza, że muszą ją odzyskać bez względu na to, co uczynią. Bez względu na to, w jaki sposób będą dążyć do wolności.

Drogą osławianą PRL-u i partii komunistycznej, do czego nawiązują nasi ugodowcy, *finlandyzując* Polskę, co zaleca w *Gazecie Wyborczej* Jan Nowak, były dyrektor Sekcji Polskiej Radia Wolna Europa, a obecny rzecznik polityki porozumień z komunistami w Kongresie Polonii Amerykańskiej; czy wręcz popierając *reformującą się* PZPR, która wyciągnie wnioski ze swych błędów i poprawi się.

— Te ostatnią drogę wybrał Lech Wałęsa mówiąc: "Tylko PZPR ma odpowiednie kadry do rządzenia państwem. Komuniści są więc zdolni po odrzuceniu dotychczasowych błędów, stworzyć atrakcyjny program, który uzyska poparcie społeczeństwa." (*Dziennik Telewizyjny*, dn. 21.09.89 r.). Kiedy to nastąpi i Wałęsa będzie "zmuszony" poprzeć PZPR. Nie było to przejęzyczenie skoro, na posiedzeniu OKP (16.08.89 r.) Wałęsa zapewniał, że "PZPR będzie w tym kraju, i będzie jeszcze świetna i będzie jeszcze kierować..."

A może odzyskać niepodległość inną drogą? Odrzucając system PRL i oferowaną przez komunistów pola *współpracy* z PZPR w dziele ratowania *społecznej ojczyzny*? Tworząc programy i struktury antykomunistyczne, organizując społeczeństwo do nieuchronnego usunięcia reżimu komunistycznego. Wybierając kierunek wskazywany przez Polską Partię Niepodległościową, tę część "Solidarności", która nie chce

przehandlować oczekiwań ludzi za fotele ministerialne u *prezydenta* Jaruzelskiego, oraz inne ośrodki i ugrupowania niezależne określane jako "radykalne".

Jest rzeczą więcej niż dziwną, że osoby uważane za polityków, za znawców komunizmu, ba, za przeciwników rządów PZPR w Polsce, tak łatwo zapominają o doświadczeniach z przeszłości. Starożytni powiedali: *Historia est magistra vitae*. Ta słuszna zasada nie znajduje uznania u wielu polskich opozycjonistów. Uważają oni, że tym razem komuniści naprawdę ustępują i byle tylko postępować rozważnie, gwarantując im bezpieczeństwo materialne, nie drażnić ZSSR, to wówczas cały plan przebudowy (*pięciostrojki*?) PRL powiedzie się.

— Aleksander Hall, minister w rządzie Mazowieckiego do kontaktów z opozycją, apelował o umiar i niedrażnienie Sowietów podczas demonstracji 17 września 1989 r., w rocznicę agresji sowieckiej na Polskę w 1939 r. Demonstracje miały umiarkowany charakter, a mimo to rzecznik rządu sowieckiego "potępił" je jako "kontrewolucyjne". Rzecznik rządu PRL, p. Niezabitowska, relacjonując sprawę stosunków z Sowietami, posługuje się językiem swego poprzednika, Jerzego Urbana. Twierdziła, że próby usunięcia pomnika Lenina w Nowej Hucie są "provokacją antyrządową", tak jakby postawienie tego pomnika nie było prowokacją wobec Polaków.

Najpierw musimy sobie odpowiedzieć na pytanie, czy komuniści naprawdę uznali się za pokonanych a ich jedynym pragnieniem jest oddanie władzy za cenę uniknięcia odpowiedzialności za popełnione zbrodnie i zrujnowanie Polski. Innymi słowy, czy oświadczenie Władysława Gomułki, iż raz zdobytej władzy komuniści nigdy nie oddadzą, straciło swą aktualność dla jego politycznych spadkobierców? Oczywiście że nie! Komuniści nadal starają się odzyskać utracone pozycje. Obecne ustępstwa traktują jako niezbędne dla uniknięcia buntu, ale są to ustępstwa przejściowe.



Romuald Szeremietiew

foto. Poglą

W programie telewizyjnym "Czas" (16.09.89 r.) pokazano dyskusję aktywistów PZPR nt. przyszłości partii komunistycznej. Po skonstatowaniu, iż poparcie dla komunistów — na podstawie badań rządowego ośrodka CBOS — w ciągu roku spadło z 27% do 7%, zebrani uznali, że ich partia ma szansę odzyskania wpływów, jeżeli w rezultacie rządów "opozycji konstruktywnej" nastąpi powszechne rozczarowanie polityką grupy Wałęsy a społeczeństwo powróci do "idełów socjalistycznych". W dyskusji brał udział Sławomir Wasir, zaliczany obok Millera, Kwaśniewskiego, Króla i Świątcickiego do młodej części kierownictwa PZPR.

Powstaje jednak następne pytanie: czemu komuniści zalegalizowali część opozycji i nawet usadzili ją na ministerialnych fotelach? Jaki też mają interes w tym, by Jacka Kuronia, niedawnego pensjonariusza aresztów i więzień wprowadzić do gabinetu premiera PRL w charakterze ministra?

— Jest zresztą coś paradoksalnego w tym, że Kuroń i jego liczni koledzy zsiadający dziś w sejmie, senacie i rządzie PRL, skazywani niedawno ciągle "prawomocnymi" wyrokami przez sądy PRL, nie

nie zostali chociażby tylko przeproszeni za tamte represje. Obie strony, represjonowani i ich prześladowcy, nie widzą niczego niernormalnego w takiej sytuacji. Małgorzata Szajnert, występująca w dzienniku TV "Panorama Dnia" (4 grudnia 89 r.), zastanawiała się nad zasadnością postulatu ścigania zbrodniarzy komunistycznych. Sugerowała, że jedynie co można zrobić, to zbadanie przez historyków tych zbrodni. Nie może być mowy o odpowiedzialności karnej, skoro niektórzy ze zbrodniarzy stalinowskich są od dawna członkami opozycji i dać także im "zawdzięczamy obecne reformy" – powiedziała p. Szajnert. Jacek Kuroń w swoich wtorkowych wystąpieniach telewizyjnych powiedział, że musimy uznać równoprawność obu stron walczących w "wojnie domowej" po 1944 r. A więc takie same prawa kombatanckie powinny mieć żołnierze Polski Podziemnej, ścigani, więzieni i torturowani oraz jego prześladowca z KBW i innych formacji zbrojnych, powołanych przez okupanta sowieckiego dla unicestwienia polskiego oporu.

Aby dostrzec, o co chodzi i jakie są zamiary komunistów, wystarczy dokładnie wsłuchać się w to, co mówią. W 8 lat po wprowadzeniu stanu wojennego zarządcy PRL spostrzegli, iż nie mogą rządzić opierając się wyłącznie na bagnatach. Nawet i im jest potrzebne jakieś poparcie społeczne. Ideałem byłoby powtórzenie sytuacji z 1956 roku, gdy tłumy skandowały: "Wiesław, Wiesław". A Gomułka mógł na to odpowiedzieć: "Dość wiewiania, wracać do roboty". Ale tamta sytuacja jest nie do powtórzenia. W Polsce ukształtowała się opozycja odrzucająca system PRL i reprezentująca, lepiej lub gorzej, interes narodowy. Komuniści stracili na wiarygodności. Coraz więcej ludzi zaczęło ich uznawać za władzę nielegalną, co było wiadomo od dawna, ale o czym głównie w Polsce nie mówiono. Należało więc ponownie odzyskać znamiona legalności dla komunistycznego PRL. To udało się komunistom uzyskać w rezultacie operacji "Okragły Stoł".

Oceniam rozmowy "Okragłego Stołu" jako manewr polityczny komunistów pozwalający im przetrwać okres zagrożenia.

– W początkach 1988 roku pojawiły się przecieki informacyjne o planowanym wprowadzeniu przez reżim stanu wyjątkowego. Wówczas wydawało się to nieuchronne wobec rosnącego napięcia społecznego. Komuniści bali się takiego rozwoju wydarzeń – siły represyjne były (są?) zdolne zaplanować nad buntami, o ile nie

przekroczyłyby obszar 13 województw. Wszystkie wskazywało, że fida buntu obejmie cały kraj, a to oznaczało zniszczenie rządów PZPR w Polsce.

Pomyliłem się sądząc, że lewica opozycyjna nie będzie chciała zawierać sojuszu z Jaruzelskim i de facto ratować system PRL od upadku. Ludzie uznawani za reprezentantów narodu (głównie Lech Wałęsa) wzięli udział w niedemokratycznych wyborach i uznali zbrodniarzy stanu wojennego za równych sobie partnerów, wiarygodną stronę układu mającego "zreformować" PRL. W ten sposób PRL i rządzący komuniści odzyskali dla PRL miano państwa polskiego w oczach światowej opinii publicznej. Zamiar wmontowania "Solidarności" w system PRL, o co Jaruzelski zabiegał przed 13 grudnia 1981 roku, teraz się powiódł.

Dni 4 grudnia 1989 roku Jaruzelski składał kwiaty w kopalni "Wujek" w miejscu upamiętniającym górników zamordowanych w stanie wojennym. Zbrodnia ta jak wiadomo obciąża Jaruzelskiego. Obecni pod kopalnią ludzie, także członkowie KPN, PPN i SW, protestowali przeciwko składaniu kwiatów przez zbrodniarza – jak go określano – na grobie swoich ofiar. Miejsce "Solidarność" przeprosiła generała za ten afront.

Następnym krokiem stało się wciągnięcie "Solidarności" do rządu PRL, w ramach tzw. wielkiej koalicji. Początkowo usiłowano to zrobić pod kierownictwem premiera Kiszczaka, lecz wkrótce Jaruzelski mianował na to stanowisko Mazowieckiego, a Kiszczak zadowolony się urzędem wicepremiera i szefostwem MSW. Komuniści oddali "Solidarność" wszystkie te resorty, w których trzeba podejmować niepopularne decyzje. Dla siebie zachowali gwarantując im powrót do *status quo ante* np. za pomocą stanu wyjątkowego, gdyby sprawy zaszły zbyt daleko.

– W obecnym rządzie PRL, nazywanym często "niekomunistycznym" komuniści objęli teki ministrów obrony, spraw wewnętrznych, komunikacji i łączności, handlu zagranicznego i na dodatek kierowanie Narodowym Bankiem Polskim. W resortach spraw wewnętrznych wiceministrem jest gen. Lucjan Czubński, poprzednio Prokurator Generalny PRL, odpowiedzialny za prześladowania opozycji, autor oślawionego dokumentu zalecającego prokuratorom stosowanie bezprawnych represji, ujawnionego w 1981 r. w związku ze sprawą Jana Narodzińskiego.

Złowieszcze wyjaśnienie polityki komunistów znajdujemy dość nieoczekiwanie w wywiadzie z Jadwigą Staniszkis (*Tygodnik Solidarność* nr 21 z 27 października 1989 r.). Dowiadujemy się z niego, że w dwa lata po inwazji na Czechosłowację w 1968 r. Sowieci utworzyli ośrodek do *administrowania kryzysami w Europie Wschodniej*. Powodem było przekonanie, że interwencje zbrojne są zbyt kosztowne i niebezpieczne dla trwałości systemu. Ten ośrodek, nazywany przez Staniszkis *sztabem*, związany z KGB (!), "koordynuje transformacje zachodzące w Polsce, na Węgrzech i w Związku Radzieckim" – obecnie także w NRD! Stąd też "elity reformatorskie" – jak powiada Staniszkis – są związane z "wywiadem, bezpieczeństwem i wojskiem". Rzeczywisty ośrodek władzy to Komitet Obrony Kraju, a nie rada ministrów. Pada pytanie, czy wobec tego cały scenariusz zmian został zaplanowany? Staniszkis odpowiada twierdząco.

Od dawna twierdziłem, że gorbaczowska *piestrojka*, budząca zachwyty wyrażane przez Adama Michnika, Andrzeja Drawicza i innych *intelektualistów*, to jedynie próba ratowania walącego się imperium sowieckiego. Teraz z łamów organu prasowego Wałęsy dowiadujemy się, że reforma PRL to operacja zaplanowana i nadzorowana przez KGB.

Józef Darski, w wydanej w II obiegu książce ("Komunistyczna dezinformacja", wyd. Niepodległość, Warszawa 1989 r.) przypomina relacje zbiegłego na Zachód w 1961 r. wysokiego funkcjonariusza KGB. Odpowiadając one do kł a d n i e linii obecnej polityki Gorbaczowa. Jej efektem ma być roz-



fol. Aleksandra Bessert. CDF-Poznań

brojenie Zachodu, skłonienie socjaldemokracji do współpracy, umocnienie komunizmu i opanowanie wolnego świata przez Związek Sowiecki. Jednym z istotnych elementów tej polityki jest obecny tzw. pluralizm w PRL.

Doraźnym efektem rządów opozycyjnych ugodowców jest coraz powszechniejsze przekonanie społeczne, iż za pogarszającą się katastrofalnie sytuacją odpowiada "Solidarność". Komuniści, odpowiedzialni za ten stan schowali się za Mazowieckiego. Polityka dziko rosnących cen, zapoczątkowana przez rząd Rakowskiego, jest samobójczo kontynuowana przez ministrów *solidarnościowych*. Wprawdzie jeszcze nastroje społeczne, moderowane przez apele Kościoła dają Mazowieckiemu pewne możliwości działania, ale ten stan może ulec istotnym zmianom, jeżeli ludziom nędzą zajrzy w oczy.

Efektom rządów Mazowieckiego może być przede wszystkim przerzucenie odpowiedzialności za kryzys na opozycję i "Solidarność". Wydaje się, iż ten efekt komuniści wkrótce uzyskają. W następstwie zapewne pojawią się żądania prymitywnego egalitaryzmu — regulowane ceny i kartki na podstawowe artykuły. Takie nastroje usiłuje już dziś wywoływać reżimowy OPZZ. Będzie to podglebie, na którym swą baze społeczną będzie mogła znaleźć partia komunistyczna (najpewniej pod nową nazwą, w której nie będzie słowa: "komunistyczna").

Mazowiecki i jego koledzy usiłujący zmieniać PRL, muszą działać w ramach *pannych* tego państwa, ergo, muszą postępować zgodnie z logiką systemu. Muszą więc kontynuować politykę swych poprzedników. Potęgować zjawiska hiperinflacji, wzrost deficytu budżetowego, apelować o cierpliwość i wyrzeczenia, które były przedtem krytykowane przez Mazowieckiego, Kuroń, Halla. W konsekwencji ludzie mogą obrzydzić sobie opozycję, która po dostaniu się na fotele ministerialne robi to samo co komuniści. Co gorsza, społeczeństwo może odwrócić się od programu rzeczywistej reformy gospodarczej, jeżeli wolny rynek będzie się ludziom kojarzył z galopadą cen i niepewnością jutra.

Rząd premiera Mazowieckiego składa się z komunistów, byłych komunistów i ludzi, którzy — może tylko poza Hallem — latami współpracowali z komunistami. Jednocześnie mówi się w Warszawie, iż jest to rząd *przejściowy* i że nie ma on szans na przeprowadzenie istotnych reform. Powstaje pytanie, jaki rząd zajmie miejsce rządu Mazowiec-



fol. Kacper

kiego? Czy będzie to jeszcze rząd *nowej lewicy* konglomeratu PZPR i lewicy laickiej, np. z premierem Geremkiem, czy też rząd całkowicie komunistyczny, totalitarny?

W społeczeństwie zaznacza się obecnie chaos postaw, poglądów i opinii. Poszerzenie sfery wolności wewnętrznej przyjmowane jest dość wstrzemięźliwie. Nie ma objawów entuzjazmu i *solidarności*, tak charakterystycznych w Polsce dla dni wielkich przełomów. Ludzie podświadomie wyczuwają fałsz i kręctwa *siadomników*. Obecny rząd PRL, budzący taki zachwyt w RWE i KPA, nie ma wcale tak wielu zwolenników. Poparcia udziela mu inteligencja, zwłaszcza inteligencja twórcza, której pozycja społeczna jest uzależniona od współpracy z aparatem państwowym (dziennikarze, artyści itp.), a która nie chciała (nie mogła) współpracować z reżimem w warunkach stanu wojennego. Obecnie rząd Mazowieckiego usuwa tę przeszkodę. Podobnie rzecz się ma ze znaczną częścią działaczy związkowych i opozycyjnych, którzy zyskali szansę zamiany cel więziennych na gabinety ministrów, dyrektorów i prezesów. Wreszcie zwolennikami rządu są ludzie starsi, emeryci i renciści, obawiający się gwałtownych zmian, straszeni przez propagandę wzięją wojny domowej i rozlewem krwi. Choć postawy tej nie należy rozciągać na wszystkich ludzi starych. Przykładem głodówka protestacyjna emerytów we Wrocławiu (od 15 do 24 października 1989 roku), którzy chcieli zwrócić uwagę rządu na swe rozpaczliwe położenie. Za dwutygodniem *Solidarność Walcząca* (nr 25/220) przytoczmy zestawienie minimalnych

kosztów utrzymania 1 osoby w ciągu dnia (w cenach z połowy października br.):

śniadanie:	15 dkg sera białego	610 zł
	1/4 chleba	142 zł
	1/2 litra mleka	400 zł
	1/4 kostki masła	750 zł
	4 dkg cukru	128 zł
obiad:	jarzyny	300 zł
	ziemniaki	75 zł
	1 jajko	200 zł
kolacja:	dżem	250 zł
	1/4 chleba	142 zł
	1 jabłko	350 zł
razem dziennie:		3247 zł

Przeciętna renta wynosi 70 tys. zł, co podzielone przez 30-dni daje 2333 zł — do skromnego utrzymania dziennego zabraknie prawie 1000 zł. Nie ma mowy o kupnie mięsa, ubrania, lekarstw. Nie ma pieniędzy na czynsze, komunikację, środki higieny, prąd, gaz.

Przeciwnikami są jednak głównie ludzie młodzi, zorganizowani w Federacji Młodzieży Walczącej oraz w Liberalno-Demokratycznej Partii "Niepodległość", Polskiej Partii Niepodległościowej i "Solidarności Walczącej". Także znaczne kręgi robotnicze, zwłaszcza związane z ośrodkiem "Solidarność" kierowanym przez Mariana Jurczyka, związkowego przeciwnika linii ugody. Podobnie jest na wsi, gdzie np. apel rządu o pomoc w postaci tzw. pożyczki zbożowej został przez rolników całkowicie zignorowany.

Liczba niezadowolonych rośnie. Dobrym przykładem są wybory uzupełniające do senatu 8.10. br. w Piotrkowie Trybunalskim. Zostały one zbojkotowane przez 85,4% uprawnionych — w wyborach 4 czerwca br. odsetek bojkotujących wynosił 38%.

— Przenosząc procentowe rezultaty wyborów w Piotrkowie na cały kraj — gdyby przyjąć, że są one reprezentowane dla oceny zmian w nastrojach — stwierdzamy, iż polityczne zaplecze "okrągłego stołu" liczy obecnie nie więcej niż 5 mln — 14,6% elektoratu. W tym "Solidarność" 2,6 mln (65% z owych 14,6% uczestniczących w wyborach oddało swe głosy na "Solidarność"), reszta to ZSL, SD i część PZPR.

Chwiejna równowaga, osiągnięta dzięki uzgodnieniom w Magdalence, jest poważnie zagrożona (W Magdalence pod Warszawą, w willi gen. Kiszczaka, liderzy ugody — był wśród nich obecny premier Mazowiecki — uzgadniali z szefem MSW zasady współpracy z komunistami. Uzgodnienia te były i są nadal ukrywane przed społeczeństwem, były też ukrywane przed innymi uczestnikami obrad "okrągłego stołu". Władysław Siła-Nowicki usiłował dociec, czego dotyczą te tajemnicze uzgodnienia, na co Jacek Kuroń odpowiedział, że mecenas jako "człowiek spoza układu" nie będzie informowany na ten temat.)

Polska wchodzi w nowy rok 1990 ze straszliwym obciążeniem. Opozycja jest podzielona, a jej duża część aktywnie broni partnerów z PZPR od upadku. "Solidarność", niezależny związek zawodowy, praktycznie nie istnieje. Lech Wałęsa, uznawany powszechnie za przywódcę Polaków, popadł w swoistą schizofrenię polityczną; podaje się za związkowca, polityka-amatora, biznesmena. Rząd PRL, głównie za sprawą wicepremiera Balcerowicza, nie ma żadnego strawnego społecznie programu opanowania kryzysu w gospodarce. Sam Balcerowicz twierdzi na posiedzeniach rady ministrów, że jeżeli społeczeństwo nie wytrzyma końskiej kuracji, jaką on proponuje, to rząd będzie musiał się uciec do ogłoszenia stanu wyjątkowego w gospodarce. To oczywiście oznacza zakaz strajków i konsekwencje prawne dla osób nie respektujących tego zakazu. Sprawa "zdyscyplinowania" społeczeństwa staje się tym bardziej aktualna, że wicepremier Balcerowicz przygotowuje 6-krotny wzrost cen w 1990 r. Istota reformy polega na tym, aby Polacy otrzymywali wschodnie za-

robki (równowartości 40-60 dol.), a płacili zachodnie ceny, np. za tonę węgla — 200 tys. zł, tj. cena światowa 50 dol. — razy 4000 zł = przewidywany kurs krajowy dolara w złotych, w przyszłym roku. Senator OKP Andrzej Machalski, w październiku 1989 r. na łamach *Przebiegu Tygodniowego* oświadczył, iż skoro sytuacja w Polsce jest wyjątkowa, to należy zastosować "stan wyjątkowy".

Na zakończenie roku 1989 można powiedzieć jedno na pewno: Polska żyje w ogromnym chaosie. W chaosie politycznym i gospodarczym, w chaosie postaw, poglądów i opinii. Jeżeli jest coś optymistycznego w tej sytuacji to przekonanie, że i świat kiedyś powstał z chaosu. Czy w roku przyszłym z obecnego chaosu powstanie wolna i niepodległa Polska, to obecnie, w coraz większym stopniu, zależy tylko od nas samych.

Leszno, dnia 13 grudnia 1989 roku.

Romuald Szeremietiew

dokończenie ze str. 8

ność" powstała w 1980 roku dlatego, że nie chciała naprawiać CRZZ. Poza tym neosolidarność ma brak demokracji wpisany w swój statut. Oczywiście ludzie z neosolidarności PRL to najwspanialszy działacze, ale w tej strukturze są bezradni i jedyne pomysły, na jaki dotychczas wpadli, to nieplacenie składek.

— *Działasz, tworzysz opinie. Jak oceniasz swoje wpływy: na tysiące, w dziesiątkach tysięcy?*

— Nie mam pojęcia. Na to pytanie nie mogłem też odpowiedzieć w lipcu '80. Wtedy Wolne Związki Zawodowe to było 7 osób i około 60-100 ludzi, którzy przychodzili na spotkania. Ocenialiśmy, że grupy otaczające to jakieś 6 tys. osób. Gdy rozpoczął się strajk, przyszedłem na

bramę stoczni, powiedziałem, że jestem Andrzej Gwiazda. Odpowiedzieli: fajnie że jesteś, masz opaskę, żeby cię tam nikt nie tego. Okazało się, że ci ludzie mnie znają, a potem okazało się, że wszyscy członkowie WZZ zostali wybrani do prezydium i zakładowego komitetu strajkowego dlatego, że każdy z tych ludzi miał coś do powiedzenia. I to innym przypadło do gustu.

— *Dzisiaj sytuacja jest inna, każdy wie, kto to jest Andrzej Gwiazda. Powiedziałeś: lipiec '80. Czy sytuacja z grudnia '89 jest porównywalna?*

— Kto wie, bardzo możliwe.

Pytania stawiali:

E. Klimczak i P. Kowalczyk

Polska Księgarnia w Berlinie Zachodnim Stodieck's Buchhandlung & Galerie

Richard -Wagner-Strasse 39
1000 Berlin 10
tel. 030/341 10 40



Ruch ekologiczny

Katarzyna Zborska

Przeciwko eko-rozbojowi

— Nie mam zamiaru przyglądać się z dystansem, chcę, aby moje uczestnictwo przyczyniło się, żeby przyszłość nie była taka jak teraźniejszość, taka brudna i zadymiona, radioaktywna. Nie mam zamiaru olewać tego, co kiedyś było piękne, a teraz niszczy. A niszczy naszą kulturę, otoczenie, przyrodę.

Tym listem Robert spod Gorzowa Wielkopolskiego zgłaszał swoją chęć przystąpienia do ruchu. Namawiał jeszcze innych do włączenia się w akcje ekologiczne. Udało mu się wciągnąć tylko dwie osoby. Reszta młodzieży z jego liceum odpowiadała: "Po co nam to? Wpisywać krechę w życiorysie? I tak się nic nie zmieni, a w szkole będziemy podejrzani o nielegalną działalność." Cała trójka nie przejęła się niechęcią innych i wyruszyła samodzielnie na pierwszomajowy pochód 1988 roku. Chłopcy stanęli na schodach prowadzących do kina. Funkcjonariusze zaraz ich zauważyli i ten nieszcześnie transparent także. Wylegitymowali, zabrali na komisariat milicji. Przesłuchano. Przywołano rodziców. Dyrektor liceum skomentował zająście: "Hasło jest przeciwko władzy, wiadomo, że władza nie może tego zrealizować". Na transparencie Robert wypisał: "Chcemy czystego jeziora". Tego poza miastem...

Członkowie ruchu ekologiczno-pokojuowego "Wolę być" to ludzie młodzi, uczniowie, studenci i już pracujący. Nieprzejednani i bezkompromisowi. Wiele osób próbowało przejąć nad nimi patronat. Jak na razie opiekuje się nimi redakcja tygodnika *Na przelaj*, choć więzy są dość luźne — jedna strona informacji o ruchu w każdym numerze. I dwóch dziennikarzy — bardziej przyjaciół, niż wychowawców. Uczestnicy dobrze wiedzą, że redakcja pozostaje w zasięgu cenzury i że naczelny jest partyjny. Inicjatywę "przejęcia patronatu" nad ruchem wykażal wiosną 1987 roku rządowy Instytut Badań Problemów Młodzieży. Próbował powołać Młodzieżowy Ruch Ekologiczny i wcielił weń "Wolę być". Bez skutku. Młodzież nie poddała się też propozycji ze strony Komisji Ochrony Środowiska i Zasobów Naturalnych Komitetu Obywatelskiego przy Przewodniczącym NSZZ "Solidarność".

Partotysięczny już ruch bardzo dba o zachowanie autentyczności i niezależności. Jest niesformalizowany i otwarty, nie rozdaje legitymacji, nie wybiera prze-



Festiwal EKO — Krosno '88

fol. Krzysztof Wojda

wodniczącego. Nie znosi biurokracji i planowania działań (Przed Ambasadą Chińskiej Republiki Ludowej pobiegli, jak tylko usłyszeli pierwsze wiadomości radiowe o masakrze na Placu Niebiańskiego Spokoju, część brała udział w głodówce).

Ruch powstał tak samo spontanicznie, jak niektóre spektakularne akcje (np. Piotr ze Skoczowa rozpropagował osobiste umowy pokojowe przez ogłoszenie własnego mieszkania strefą bezatomową). Pięć lat temu po artykule-manifestie zamieszczonym w tygodniku *Na przelaj* nadeszła fala listów. Zespół tygodnika zaproponował rodzaj społecznej zasady równoprawnego współżycia ludzi z ludźmi i człowieka z przyrodą. Współodpowiedzialność za losy kraju, czy nawet planety entuzjaści ruchu zaczynają od siebie, w swojej okolicy znajdują nielegalne wysypiska śmieci, zanieczyszczające kotłownie i inne zakłady szkodzące ludziom i środowisku. Uczestnicy odżywiają się higienicznie, często są wegetarianami. Rozdają ulotki z receptami potraw, których produkcja sprzyja ekologii. W czasie jednego z zimowisk czujny milicjant złapał ulotkę



Obóz EKO "Wolę Być" '89. Sprzątanie plaży

fol. Krzysztof Wojda

"Zdrowa żywność", pobiegł do radiowo-
zią i do krótkofalówki nadawał: "Wzięć
pęczek pietruszki, ćwierć deka białego
sera, pietruszkę drobno posiekać..."

Kształcą się i douczają. Ułożyli już
zasady "zielonej szkoły", którą mają za-
łożyć po ukończeniu studiów. Myślą o
wspólnocie uczniów i nauczycieli, gdzie
każdy mógłby być sobą, a nie automatem
zaprogramowanym na trzy "z": zapamię-
tać, zdać, zapamiętać. Celem kształcenia
byłby rozwój osobowości – wychowanie
dla współpracy, a nie dla rywalizacji.
Szkoła miałaby rozwijać umiejętności i
nawyki "ekologicznego życia", uczyć
tworzenia i myślenia problemowego.
Dlatego przedmioty będą połączone w
bloki tematyczne (polski z historią, bio-
logia z chemią i wychowaniem fizycz-
nym). Zaś wychowanie fizyczne – to
szkoła przeżywania, zamiast zajęć z "Przy-
sposobienia obronnego".

Młodzież z ruchu "Wolę być" de-
monstruje na ulicach, w parkach, na ba-
zarach inny rodzaj "bycia". Urządzą m.in.
grupowy przejazd rowerami przez
centrum Warszawy z wypisanymi na plecach
hasłami o wyższości napędu nożnego
nad spalinowym. Grupa z Wałbrzycha
zorganizowała zlot zakończony happy-
ningiem – utworzono z zebranych śmieci
pomnik mieszkańca, a do władz woje-
wódzkich skierowano wniosek o nienu-
ruszaniu ustawy o ochronie środowiska
(z praktycznymi wskazówkami).

Młodzi dali się mocno we znaki
także władzom Trójmiasta. Pisali pety-
cje, demonstrowali, aż w końcu 1987 ro-
ku doprowadzili do zamknięcia szkoły
podstawowej w Gdyni. Zanieczyszczenie
pyłami bitumicznymi z kruszących się
podłóg 200-krotnie przekraczało normy
przemysłowe. Dzieci cierpiały na zawroty
głowy i wymiotowały.

Demonstrowali pod trującą "Celwi-
ską", pod Zakładem Przetwórstwa
Owocowego i Warzywnego w Płudach
pod Warszawą, gdzie z nieszczelnej in-
stalacji sączył się amoniak, a urządzenie
do chłodzenia wody zagzużało wszelkie
rozmowy w promieniu kilometra. Zakład
ten sąsiedował niemal płot w płot z
domem dziecka. Ścieki płynęły do lasu.
Po rozmowach z dyrekcją częściowo
usunęto niesprawne urządzenia. Ale do-
piero po ogłoszeniu bojkotu ketchupów i
dżemów z Płud. Chłopcy stali pod skle-
pami z transparentem: "PŁUDY –
BRUDY".

Ruch walczył z gdańskim "Siarko-
polem". Drobne kryształki siarki, które
wiatr rozprasa po okolicy są tak ostre,
że tną rogówkę oka jak skalpel, powodu-
ją choroby dróg oddechowych i alergicz-
ne podrażnienie skóry. Kruszenie siarki

Korzenie

Masowy ruch ekologiczny w Pol-
sce narodził się w środowisku ludzi
tworzących w 1980 roku "Solidar-
ność". W tym czasie została też znie-
siona wcześniejsza blokada informacji
o narastającym niszczeniu środowiska.
Społeczeństwo dowiedziało się, że jest
aż 27 regionów zagrożenia ekologicz-
nego. Zdano sobie sprawę, że ekologia
nie należy do zainteresowań "państwa
opiekunczego", lecz jest wspólnym
problemem.

Warto jednak przypomnieć, że
jeszcze przed rokiem osiemdziesiątym
istniały organizacje proekologiczne.
Na przykład, od 1972 roku działał
szczeciński Klub Kształtowania i
Ochrony Środowiska, zarejestrowany
w 1976 roku. Były też organizacje o
długich tradycjach, jak Liga Ochrony
Przyrody (1,5 mln członków), a od
1957 roku – Straż Ochrony Przyrody
(42 tys. członków). Wstanie ostatnie
organizacje działały głównie metodami biu-
rokratycznymi, a więc nie dość sku-
tecznie.

W ciągu 16 miesięcy legalnego
istnienia NSZZ "Solidarność" zrodziło
się wiele inicjatyw, które były rozwija-
ne nawet w stanie wojennym. W maju
1981 roku został zarejestrowany Polski
Klub Ekologiczny działający niefor-
malnie od jesieni 1980 r. W lipcu 1981
r. Krajowa Komisja Porozumiewawcza
NSZZ "Solidarność" powołała Krajo-
wą Komisję Ochrony Środowiska
Człowieka (wcześniej tymi sprawami
zajmował się Zespół Ekspertów
Ochrony Środowiska przy MKS "Ma-
łopolska"). W lutym 1983 r. z upo-
ważnienia TTK NSZZ "Solidarność"
powstał Społeczny Komitet Ochrony
Środowiska – "Solidarności" (SKOŚ),
który uważa się za kontynuatora dzia-
łań wspomnianej Komis-
ji Ochrony Środowiska
Człowieka. Dzięki niej
wydano wiele podziem-
nych piśmierek ekologicz-
nych "Solidarności". W
ten nurt włączyły się
"konkurencyjne" wy-
dawnictwa "Wolności i
Pokoju" – *Serwis Ekolo-
giczny* i *Ekolog Nieza-
leżny* tworzone przez
Franciszkańską Wspól-
notę Ekologiczną.

Z biegiem czasu o-
kazalo się jednak, że

działacze związkowi z "Solidarności"
na dłuższą metę nie są zainteresowani
ruchem ekologicznym. Ministerstwo
Ochrony Środowiska oddano lekką ręką
ZSL-owi, który w tej materii i na
tym szczęble nie wykazał się ani zarad-
nością, ani fachowością.

Sprawdziła się zasada "double
track" – podwójnej drogi: pozwolono
na oddolny ruch społeczny (nieformalne
związki i działania) oraz oficjalne
wystąpienia w parlamencie i pracę w
samorządach. Wydaje się nawet, że in-
teresy środowisk ekologicznych i do-
raźne interesy solidarnościowego rzą-
du mogą być sprzeczne. I tak oto – mi-
nister przemysłu i minister budownictwa
forsują ideę "zarcoczej ekonomii"
(w stylu XIX-wiecznego kapitalizmu),
a jednocześnie w programie rządowym
nie wspomina się o ochronie środowis-
ka. Nie są realizowane postanowienia
podstolika ekologicznego i nadal kwit-
nie lobby myśliwskie ministrów obrony
narodowej i spraw wewnętrznych po-
pierając lobby łowieckie. "Solidar-
ność", która stworzyła podstawy my-
ślenia ekologicznego w Polsce, zaczyna
zjadać własny ogon – niewiezy dotych-
czasowe sukcesy.

Gwoli uporządkowania powsta-
łych w ciągu ostatnich ośmiu lat organi-
zacji ekologicznych, wymienić należy
zaklasyfikowane do ruchu (klasyfika-
cja Piotra Glińskiego z PAN):

– 70 organizacji proekologicz-
nych (np. LOP, Polski Klub Ekologicz-
ny, Harcerski Ruch Ochrony Środo-
wiska, Niezależne Stronnictwo – Ruch
Zielonych, Polska Partia Zielonych
itp.);

– 60 organizacji uwzględniają-
cych w swej działalności problemy
ekologiczne (głównie towarzystwa spo-
łeczne, zawodowe i organizacje mło-
dzieżowe: OPZZ, ZMW itp.);

– 35 grup proekologicznych



foto. Krzysztof Wojda



fol. Krzysztof Wojda

(Ruch Ekologiczny św. Franciszka REFA, Federacja Zielonych, Pracownia Architektury Żywej itp.);

– 20 grup uwzględniających w swej działalności problemy ekologiczne (np. Stowarzyszenie Buddyjskie ZEN CZOGIE w Polsce, "Wolność i Pokój", Akademia Życia itp.).

Organizacje te i ruchy działają różnymi metodami, od manifestacji ulicznych typu happening po msze ekologiczne.

Na przykładzie powstałej w grudniu 1988 r. Polskiej Partii Zielonych przekonać się można, jak dalece kultura polityczna społeczeństwa i świadomość autentycznych zagrożeń odbiega od przeciętnej europejskiej. Otóż, już na zebraniu grupy inicjatywnej PPZ w wrześniu 1988 r. wyeliminowano jednego z głównych twórców-założycieli. Następnie odeszła grupa członków, która zarzucała pozostałym założycielom partii zbytni merkantylizm i nieetyczne manipulacje. Aż wreszcie "jednolit" PPZ na Kongresie Założycielskim wybrała trzech równoprawnych rzeczników krajowych: Sobańskiego, Konarskiego i Bryczkowskiego. Już w kilka miesięcy po oficjalnym powstaniu Partii rzecznicy jej utworzyli trzy odrębne odłamy: Sobańskiego, Bryczkowskiego i Fury (w miejsce Konarskiego). W czerwcu 1989 roku odbyły się dwa konkurencyjne kongresy PPZ. Zaplanowany na dwa dni Kongres w Warszawie zgromadził... 28 osób i trwał kilka godzin. Co ciekawe, liderowi PPZ myliła się nazwa własnej partii z PZPR. Fakty te jakby pasowały do założeń Komisji Młodzieży, Stowarzyszeń i Organizacji Społecznych KC PZPR "by wyprzedzać przejmowanie kontroli politycznej nad ruchem Zielonych w Polsce".

W tej sytuacji łącząca ok. 5 500 osób partia ma szansę niebawem się rozlecieć.

Anna Kęszycka

odbywa się bez dostatecznego zabezpieczenia.

Młodzi ludzie wydali walkę petrochemii płockiej, hucie "Siechnice", sprzeciwiają się budowie elektrowni jądrowej w Żarnowcu i Klempiczu proponując w zamian energooszczędne technologie, zmniejszenie strat ciepła w budownictwie i przy jego przesyłaniu oraz nakładają do budowy małych zapór wodnych. Podchwycili hasło Polskiego Klubu Ekologicznego – "Lepiej być aktywnym dzisiaj, niż radioaktywnym – jutro".

Stale narażają się na nieprzyjemności ze strony władz, głównie lokalnych, a w Sejmie poprzedniej kadencji traktowano ich jak intruzów. Na przykład, nie chciano przyjąć listu otwartego w sprawie parków narodowych, a szczególnie ochrony Bieszczad przed "betonowymi" pomysłami. Posłowie odsyłali grupę reprezentantów do Rady Państwa, tłumacząc się, że komisja sejmowa jest niekompetentna (!).

Batalia o parki narodowe rozpoczęła się jeszcze jesienią 1987 roku. Wiceminister rolnictwa na konferencji prasowej zapowiedział: "Wolosate będzie szwajcarską bazą turystyczną. Bieszczady zostaną zagospodarowane". Warto dodać, że wiceminister był także dyrektorem "Iglóopolu" i wpadł na pomysł, by w otulinie parku narodowego wrywać zachwaszczające krzewy ładunkami trotylu. Potem powstał telewizyjny program "Kolorowy zawrót głowy" i projekt budowy ekskluzywnego wczasowiska. Młodzież z "Wolę być" nazwała pomysł eko-rozbojem. Chcieli w tej sprawie porozmawiać z przedstawicielami Ministerstwa Rolnictwa, Leśnictwa i Gospodarki Żywnościowej. Strażnicy dopadli grupę z ruchu, wylegitymowali i pokrzykując, że "ministerstwo to nie boisko" i "tu nie miejsce do dyskusowania" brutalnie spychali ze schodów. Młodzi ludzie chcieli zadać tylko kilka pytań: Dlaczego w otulinie Bieszczadzkiego Parku Narodowego "Iglóopol" tworzy się fermy hodowlane? Dlaczego zwierzętom przeznaczanym na rzeź zadaje się zbędne cierpienia (produkcja wątróbek gęsich wysyłanych m.in. do Francji)? Dlaczego wreszcie nie egzekwuje się prawnie nakazanych norm przy wyrobie żywności?

Pytani, po co się bawią w "Wolę być" i co im daje uczestnictwo w ruchu, odpowiadają:

– Nasze protesty przeciwko lokalizacji składowiska odpadów jądrowych w Różanie nad Narwią i w Międzyrzeczu są nie tylko rodzajem profilaktyki spo-

łecznej, ale także doskonałą nas samych, nauczyliśmy się działać wspólnie – mówi Krzysztof ze Śląska.

– Kiedy wstępowałem do ruchu, najbardziej denerwowała mnie obojętność i lekceważenie przez ludzi problemów ekologicznych – odpowiada Grzegorz z Łodzi. – Trzy lata z "Wolę być" pomogło mi zrozumieć człowieka. Teraz wiem, że ludzie stworzeni są do różnorodności.

"Opanowali sztukę bycia razem – pisze Ewa Charkiewicz z redakcji *Na przelaj*. – Harcerze razem z punkami, metalowcy, komuniści, anarchiści, hip-piesi, mięsożercy i wegetarianie. Nie ważne, kto jest jak ubrany. Liczy się jakość człowieka wystawiona na próbę bytowania w trudnych warunkach..."

W 1987 roku ruch otrzymał szczerą nagrodę *Trybuny Ludu* w dziedzinie ideowo-wychowawczej. Natomiast



Festiwal EKO – Krosno '88

fol. Krzysztof Wojda

Zobniez Wolności jednoznacznie potępił wystawę zabawek militarnych zatytułowaną "Generałowie i dzieci nie bawcie się w wojnę". Młodych z "Wolę być" okrzyczano także moralnymi dewiantami i burzycielami porządku prawnego...

Ruch dąży do coraz większej niezależności od dotychczasowego "opiekuna" – redakcji, tworzą się grupy regionalne, powoli usuwa się ludzi przypadkowych, którzy nie do ruchu nie wnoszą.

Niezależnie od zmiany rządów, obstają przy swoim: Żarnowiec to Żarnów, nie warto się gryźć – szkoda zębów i "kiedy zabijecie ostatnią rybę, kiedy zginię ostatnie drzewo, przekonacie się, że pieniądze nie można zjeść". ■

Marek Toporczyk

Bitwa o polską szkołę

Wprawdzie idea założenia Społecznego Towarzystwa Oświatowego powstała w Warszawie, ale szybko podchwycili ją inne ośrodki. Te zwłaszcza, w których po 13 grudnia 1981 powstały silne enklawy oporu nauczycielskiego. Istniały one w Krakowie, Gdańsku, Poznaniu, Lublinie. Wniosek o rejestrację STO został złożony w listopadzie 1989 roku. Trudna batalia, w wyniku której zarejestrowano w końcu Towarzystwo, trwała ponad rok.

"Celem głównym działalności STO jest uzdrowienie sytuacji w szkolnictwie – mówi działacz Towarzystwa, Jerzy Gidza. Szkoła nie jest właściwie ani dla ucznia, ani dla nauczyciela. Jest miejscem jednostronnej indoktrynacji i z tym Społeczne Towarzystwo Oświatowe chciałoby radykalnie zerwać. Tu uzdrowienie sytuacji wydaje się najpilniejsze. Szkoła ma odpowiadać ambicjom społecznym i społeczeństwo musi mieć wpływ na to, co szkoła daje dzieciom i co szkoła sobą prezentuje. To ma być rzeczywiste polska szkoła..."

ZATRUTA HUMANISTYKA

Zatrutą humanistyką nazwał znany publicysta Bohdan Cywiński nauczanie dwu zasadniczych dla formowania charakteru i światopoglądu ucznia przedmiotów: języka i literatury polskiej oraz historii. Dzieje nauczania tych dwu przedmiotów wskazują, że poprzez nie odbyło się wpajanie dzieciom i młodzieży najbardziej pożądanego przez władzę ideologii.

W PRL, do 1949 r., można mówić o pewnym liberalizmie i zróżnicowaniu ideologicznym poszczególnych szkół. Powojenne polskie szkoły korzystały na początku z przedwojennych podręczników. Kadra nauczycielska – zdziśiatkowana wprawdzie przez obu okupantów znała z doświadczenia ethos przedwojennego szkolnictwa. Niedośkonalego wprawdzie, ale z pewnością różnorodnego światopoglądowo i ideowo.

Lata 1950-56 to okres wzmoczonej indoktrynacji ideologicznej. Wówczas właśnie wprowadzono nowe podręczniki będące w większości tłumaczeniami so-

wiecznych. Deformowały one prawdę historyczną w stopniu, który dziś mógłby budzić śmiech, gdyby nie przerażał. Zmienia się wówczas radykalnie atmosfera w szkole – polityczny donos staje się podstawowym narzędziem wychowawczym.

Po 1956 roku, do połowy lat sześćdziesiątych, atmosferę w szkole i wokół szkoły wyznacza pewna doza liberalizmu. Nie dotyka ona jednak przedmiotów humanistycznych, które nadal podporządkowane są sowieckiej racji stanu i ideologii socjalistycznej ojczyzny. Ta ostatnia przedstawiana jest jako wyłączny i jedynie godziwy przedmiot emocji patriotycznych.

Od połowy lat sześćdziesiątych praktycznie do czasów "Solidarności" nacisk na przedmioty i programy szkol-

ne był coraz mocniejszy. Dotyczyło to zwłaszcza ateizacji świadomości ucznia i formowania marksistowskiego poglądu na świat, społeczeństwo i człowieka.

Po sierpniu '80 w środowisku nauczycielskim tlił się bunt przeciw dotychczasowym praktykom administracji narzucającej szkole dyrekcję, programy i system wychowawczy.

Bunt ten owocował powstaniem silnej "Solidarności" nauczycielskiej, nie do końca rozbitej przez stan wojenny, skoro wiele inicjatyw nauczycielskich rozwiązanych po kraju doprowadziło do powstania Społecznego Towarzystwa Oświatowego.

WALKA O REJESTRACJĘ

Istotę i sens Towarzystwa jego twórcy zawarli w deklaracji programowej. Piszą tam m.in., że "zbiurokratyzowany, monopolistyczny system oświatowy nie może działać sprawnie, dlatego w poczuciu odpowiedzialności za wychowanie przyszłych pokoleń zamierzamy przywrócić w Polsce normalną szkołę, w pełni zgodną z podstawowymi zasadami pedagogiki. Będziemy niewątpliwie walczyć o możliwość korzystania w praktyce z należnych nam praw obywatelskich w obronie naszych dzieci, ich zdrowia, ich prawidłowego rozwoju i wykształcenia, ich prawa do radości i uśmiechu..."

Po rejestracji Towarzystwa na początku 1989 r., a w Krakowie jeszcze przed rejestracją, niezależni działacze oświatowi wystąpili do ministra edukacji narodowej o wyrażenie zgody na zakładanie społecznych szkół. Pierwszy wniosek krakowski, złożony 27 czerwca 1988 roku, spotkał się ze zdecydowaną odmową. Minister w uzasadnieniu odmowy powołał na art. 72 Konstytucji PRL, który stanowi, że nauka w szkołach jest bezpłatna.

Pretekst był oczywisty, a w istocie chodziło o zachowanie monopolu. Argumentacja, jaką w odwołaniu od decyzji odmownej przytoczono w rozprawie przed Naczelny Sąd Administracyjny, szła w kierunku wykazania, że bezpłatność nauczania dotyczy wyłącznie sfery uprawnień obywateli, a nie ich obo-

SZKOŁA:

(gr. *scholē* – spokój, spokojny czas poświęcony naukom, szkoła), termin, którego treść uległa wielowiekowej ewolucji. (...) Współcześnie termin "szkoła", używany jest w wielu różnych znaczeniach, np. instytucja oświatowo-wychowawcza, budynek, wykształcenie, system instytucji oświatowo-wychowawczych, kierunek w nauce itd. itp.

Współczesny system szkolny obejmuje zespół wszystkich typów szkół w określonym kraju; o zasadach powiązania tych szkół ze sobą, o ich uprawieniach i dostępie do nich decyduje polityka oświatowa danego państwa, która w coraz większym stopniu uwzględnia kwestię dostosowywania organizacji szkolnictwa do potrzeb kształcenia kwalifikowanych kadr do pracy w różnych dziedzinach gospodarki i kultury danego kraju. (...) Prawdziwie demokratyczny tzw. jednolity ustrój szkolny charakteryzuje: powszechność dostępu do szkół rozmaitych typów (równość startu i równość szans oświatowych), drożność między poszczególnymi typami i szczeblami szkół, prawo i możliwość – jeśli zdolności ucznia na to pozwalają – dochodzenia do najwyższych szczebli "drabiny oświatowej". Taki ustrój szkolny jest podstawą rozwijania szkolnictwa w PRL. (...)

Wielka Encyklopedia Powszechna, PWN, t.11, str. 229-230



"Lata 1950-56 to okres wzmożonej indoktrynacji ideologicznej. ...wprowadzono podręczniki będące w większości tłumaczeniami sowieckimi."

wiązków. Każdy obywatel ma prawo do tego, aby posyłać swoje dzieci do szkoły, w której nauczanie jest płatne, jeśli ta szkoła, obojętnie z jakich względów, bardziej mu odpowiada.

Powołano się przy tym na Międzynarodowy Pakt Praw Gospodarczych, Społecznych i Kulturalnych ratyfikowany przez PRL. Spór toczył się blisko osiem miesięcy i w końcu – w lutym 1989 r. – Naczelny Sąd Administracyjny uchylił decyzję ministra edukacji narodowej jako bezprawną.

Był to początek szkolnictwa społecznego w PRL.

SPÓLECZNE CZY PRYWATNE?

Latem 1989 roku rządowe Centrum Badań Opinii Społecznej przeprowadziło badania pt. "Szkoły prywatne w opinii społecznej". Zanim podam kilka interesujących szczegółów z tych badań, sprawa ogólniejsza.

Otóż poprzednie władze do końca broniły monopolu edukacyjnego. I sięgnęły w tej obronie po środki dość skuteczny w opinii publicznej, mianowicie rozpoczęły propagandę na temat "szkół prywatnych". Tymczasem Towarzystwo i cała koncepcja postulowanego przez nie szkolnictwa mówiła o "szkołach społecznych". Szkoła bowiem nie ma przynosić dochodu, a utrzymywać się wyłącznie z cennego placącego przez uczniów. Szkoły miały finansować się same. "...Szkoły zakładane przez Społeczne Towarzystwo Oświatowe – mówi Jerzy Gidza – te, któ-

re będą powstawały, mają finansować się same. Mogą oczywiście korzystać z innych form pomocy finansowej, także z dotacji Towarzystwa, o ile będzie ono dysponowało funduszami, ale generalnym założeniem jest samofinansowanie. Społeczna szkoła ma funkcjonować w oparciu o czesne płacone przez rodziców..."

Otóż cały wysiłek propagandowy szedł w kierunku negatywnego nastawienia społeczeństwa do tych szkół. Operowano argumentem "szkoły dla bogatych", a "bogactwo" miało być naganne, używano argumentów o nierównym starcie dzieci i młodzieży, tak jakby ten start – równy oczywiście – był zapewniowany przez państwo komunistyczne wcześniej.

W takiej atmosferze społecznej Centrum Badań Opinii Publicznej przeprowadziło sondaż dotyczący opinii społeczeństwa na temat szkół społecznych. Operowano oczywiście pojęciem "szkoła prywatna".

I tak 35,5% respondentów wypowiedziało się pozytywnie o idei tworzenia "szkół prywatnych" zaś 31,7% – negatywnie. Reszta nie miała zdania. Zadeklarowani entuzjaści akceptujący ideę takiej szkoły bez żadnych zastrzeżeń stanowią jednak mniejszość – 15,9%.

Co trzeci respondent (33,0%) zgłosił chęć posłania swoich dzieci do "szkół prywatnych", gdyby istniała taka możliwość, 24,3% zajęło w tej kwestii stanowisko negatywne, a 42,5% nie miało zdania.

Ci z respondentów, którzy widzieli swoje dzieci w szkołach prywatnych, podkreślali w uzasadnieniu swojego stanowiska aspekty dydaktyczne. Byli przekonani, że w szkołach prywatnych będzie wyższy poziom nauczania, ciekawszy program, lepsze metody jego realizacji. Sądzili ponadto, że szkoła prywatna będzie sprzyjać rozwijaniu zainteresowań i indywidualnych zdolności, oraz lepiej przygotowywać do startu w dorosłe życie. Skuteczność edukacji będzie większa, a więc i wykształcenie będzie solidniejsze. Te wszystkie argumenty znalazły się w 58,3% wypowiedzi tych, którzy widzą swoje dzieci w szkołach niepaństwowych.

Często podkreślano aspekty wychowawcze. Szkoły prywatne zapewnią lepszą opiekę, stworzą lepszą atmosferę, właściwy stosunek do ucznia i jego problemów, a więc będą miały dużo lepsze rezultaty w wychowaniu młodzieży niż szkoły państwowe. Tak sądzi 21,2%. Lepsza będzie kadra nauczycielska, organizacja pracy szkoły oraz warunki nauki (15,4%).

Wśród badanych niechętnych szkołom prywatnym, większość niechęć swą uzasadniała barierą ekonomiczną. "Szkoły prywatne będą dostępne tylko dla zamożnych" – twierdziło 61% niechętnych.

Pojawiła się także obawa, że w szkole prywatnej dzieci nie będą traktowane jednako, sprawiedliwie, lecz w zależności od zamożności rodziców. Tak sądziło 10,2%.

Niewiele, bo tylko 5,5% sprzeciwiających się idei szkół niepaństwowych, motywowało swój sprzeciw tym, że to przecież państwo przyjął na siebie obowiązek kształcenia społeczeństwa.

W ocenie idei szkoły społecznej zasadniczym czynnikiem jest sytuacja materialna: aż 61% tych, którzy twierdzą, że nie posłaliby swego dziecka do szkoły prywatnej uważa, że nie będzie ich na to stać. Natomiast zwolennicy szkoły społecznej oczekują od niej tego wszystkiego, czego nie dała i nie daje młodzieży szkoła państwowa: wyższego poziomu nauczania, ciekawego programu, kadry nauczycielskiej o wysokich kwalifikacjach, lepszej organizacji pracy szkoły i lepszych warunków nauki.

CO DALEJ?

Trudności, przed jakimi stoją społeczne inicjatywy powoływania szkół są ogromne. Sprawa pierwsza – programy. Będą one na razie z konieczności oparte o aktualnie obowiązujący. Z tym jednak, że dopuszczona jest obecnie możliwość jego indywidualnej interpretacji: "To bardzo ważne, z trudem wynegocjowany warunek – mówi Jerzy Gidza. – Ale i warunkiem trudny do spełnienia. Oznacza on bowiem, że wszystko zależy od nauczyciela, który może od tej chwili wybierać między treściami programowymi, że może stosować swoje metody wychowawcze."

Towarzystwo podjęło już w zespołach problemowych prace mające na celu opracowanie nowych programów edukacyjnych. Ale to nie może być robota pospieszna, powierzchowna. Zwłaszcza, że takie przedmioty, jak język polski czy historia wymagają gruntownego przepracowania, aby pozabawić je potężnego ładunku komunistycznej indoktrynacji.

Następna trudność to lokale. W wielu rejonach kraju istnieją w tej materii nieprzewidywalne wręcz trudności. I na koniec trudność największa. Według wielu działaczy Towarzystwa stawiająca na jakiś czas znak zapytania nad realizacją idei szkolnictwa społecznego. Pieniądze. Pauperyzacja społeczeństwa mówiąc elegancko, czyli po prostu bieda zataczająca coraz szersze kręgi może sprawić, że idea szkół społecznych straci dla wielu swą atrakcyjność.

Może więc przyjdzie doń powrócić za czas jakiś, kiedy rodziców stać będzie na czesne? Bo tak naprawdę, to nikt nie wie, ile powinno ono wynosić dziś, nie mówiąc już o jutrze... ■

Aureliusz M. Pędziwol

»Czas dziewiątek«

Czesi i Słowacy wierzą w magiczne liczby i dlatego też tak wiele obiecywali sobie po roku '88. Z ósemkami bowiem kojarzy się wiele w ich historii: od 1918, roku narodzin ich wspólnego państwa, poprzez 1938, rok traktatu monachijskiego, który wydał wyrok na ostatnią demokrację Europy Środkowej, poprzez 1948, kiedy odrodzona po wojnie demokracja padła pod ciosami komunistycznego zamachu, aż po rok 1968, w którego ósmym miesiącu nadzieja zdruzgotana została pod gasienicami czołgów "bratnich" państw.

Ale w roku '88 nic takiego w Czechosłowacji się nie wydarzyło...

Ale kto wtedy wiedział, że ósemki już się skończyły? Ze nadchodzi czas dziewiątek?

Za pięć dwunasta

17.11.89 nie był bynajmniej radosnym dniem dla mieszkańców Pragi. A jednak wspominać go pewnie będą — i pewnie nie tylko oni — jako jeden z najszcześniejszych dni swej historii.

Tego piątku — bo był to piątek — zdawało się jeszcze, że właściwie nic takiego niezwykłego się nie wydarzyło. To prawda, na Albertowie, przed wydziałem medycznym Uniwersytetu Karola zgromadziło się kilkadziesiąt tysięcy ludzi, ale nie była to przecież pierwsza demonstracja w ostatnich latach, choć zde-

cydowanie największa. Z drugiej strony była to jednak demonstracja legalna, na którą władze wyraziły zgodę. Jej organizatorem był czechosłowacki związek młodzieży socjalistycznej, a celem — uczczenie pamięci studenta praskiego Uniwersytetu Karola, Jana Opletala, zamordowanego przed 50 laty przez hitlerowskich okupantów. Ale demonstranci nie ograniczyli się tylko do wspomnienia wydarzeń sprzed pół wieku. W wystąpieniach działaczy opozycji, których dopuszczono do mikrofonów, i na transparentach pojawiły się hasła przeciw monopolowi partii komunistycznej i żądania wolnych wyborów.

Władcy zareagowali gniewnie. Na Albertowie jeszcze się przypatrywali, ale kiedy tłum ruszył na *Václavské náměstí*, na Plac Waclawa, spuścili psy z łańcuchów. Było to na *Národní třídě*, na ulicy Narodowej. Telewizyjne kamery zarejestrowały obrazy wyjątkowej brutalności wobec bezbronných demonstrantów. Nie pomogły kwiaty wciskane za tarcze. Gdy padł rozkaz, dziarscy młodzieńcy ruszyli do swej ostatniej (miejmy nadzieję) akcji.

W ów piątek wydawać się mogło, że długie, gumowe pałki i pleksiglasowe tarcze wystarczą, aby utrzymać *ład i porządek* nad Wełtawą. Tak zapewne myśleli panowie Kyncl (ówczesny minister spraw wewnętrznych w rządzie ČSR), Štěpán (szef praskiej organizacji partyjnej) i Jakeš (sekretarz generalny KPČS)

oraz liczni ich kompani we władzach partyjnych i rządowych. Mieli wszak doświadczenie w rozgrymianiu społecznych protestów. Nie tak dawno przecież, w styczniu, udało im się stłumić blisko tygodniowe protesty w dwudziestą rocznicę śmierci innego studenta Uniwersytetu Karola, Jana Palacha, który w proteście przeciwko agresji z '68 roku dokonał aktu samospalenia.

Następnego dnia znów tysiące prazan weszły na ulice. Tym razem zebrał się tam, gdzie ich wczoraj nie wpuszczono, na *Václavaku*. Tym razem nikogo o pozwolenie nie pytali. Przyszli, by wyrazić swe oburzenie, by żądać ukarania odpowiedzialnych za piątkową akcję, obalenia monopolu partii komunistycznej i wolnych wyborów. Znów były ich dziesiątki tysięcy.

W niedzielę to samo. I w poniedziałek. Ale w poniedziałek na Placu Waclawa było już ćwierć miliona demonstrantów.

Na ulicach Pragi stanęły zegary. Wskazówki pokazywały godzinę 11.55.

Za pięć dwunasta...

Laterna magica

Na *Národní třídě* demonstrowali przede wszystkim studenci. I przede wszystkim oni poznali ciężar policyjnych pałek. Ale nie tylko oni.

Na przykład aktorzy.



Plac Waclawa

...próżnienie przyszył, by wyrazić swo oburzenie, by zażądać ukarania odpowiedzialnych za brutalną akcję policji...



Miloš Jakeš



Karel Urbanek

Aktorzy pracują wieczorem. Spektakle zaczynają się o godzinie dziewiętnastej, dwudziestej. Tak, że na demonstrację szli oni przed, a nie po pracy.

To drobny szczegół, ale kto wie, czy nie decydujący. Albowiem, gdy pamiętnego piątku, 17 listopada dotarli do pracy, naśadowani byli przeżyciami ostatnich godzin. I zamiast grać (*Tenaz nie będziemy grać. Będziemy dyskutować*) – zaczęli mówić. Do swych kolegów, do publiczności. Nie były to przemówienia polityków, nie były to relacje reporterów – lecz słowa ludzi, których zawodem i powołaniem jest przekazywanie innym słów i uczuć.

Jako pierwsi zastrajkowali studenci. Po nich – w sobotę – do strajku przystąpiły teatry.

Teatry stały się bastionami protestu Czechów i Słowaków. A praska "stocznia" nazywa się *Laterna magica*. Tam znalazło przez pierwszy tydzień swą siedzibę utworzone w niedzielę, 19 listopada, przez przedstawicieli wszystkich niemalże odtamów opozycji ciało, które od tej pory reprezentuje społeczeństwo wobec władz: praski "MKS", *Občanské Forum*, Forum Obywatelskie.

Strajk

Forum zażądało w swym pierwszym oświadczeniu ustąpienia szeregu czołowych przywódców partii i państwa: Jakeša, Husáka, Fojtíka, Zavadila, Hoffmana i Jindry, którzy byli bezpośrednio związani z przygotowaniem interwencji wojsk Układu Warszawskiego w sierpniu '68. Ustąpić mieli także Kyncl i Štěpan, odpowiedzialni za wszystkie akcje policji przeciw pokojowym demonstracjom ostatnich miesięcy. Ponadto miałyby zostać utworzona komisja śledcza z udziałem członków Forum, której celem byłoby wyjaśnienie wydarzeń z piątku. W końcu Forum zażądało zwolnienia wszystkich więźniów politycznych. Forum wyraziło także pełne poparcie dla

proklamowanego przez studentów na poniedziałek, 27 listopada, dwugodzinnego strajku generalnego.

Tymczasem dzień w dzień prężnie zbierali się na Placu Waclawa, a potem i na *Letenské pláni*. Na te demonstracje przychodziło coraz więcej ludzi, demonstrowano również w Bratysławie, Brnie, Olomuńcu, Libercu i szeregu innych miast. W czwartek, 23 listopada, na wiecu w Bratysławie wystąpił Alexander Dubček, w piątek na cześć przywódcy praskiej wiosny wiatowała Praga. *Dubček na Hrad!* – wołali rozentuzjarmowani ludzie – to znaczy, że chcieli by go widzieć jako swego prezydenta.

Demonstracja dobiegła końca, ludzie rozeszli się do domów. I wtedy nadeszła wiadomość o ustąpieniu całego biura politycznego i sekretariatu KC. W okamgnieniu ulice znów się zapęliły. Strzelały korki szampana, kapele grały skoczne polki, a ludzie tańczyli na ulicach. Do późnej nocy, jak nie tak dawno w Berlinie.

Od pierwszej chwili było jasne, że powodzenie tego ruchu protestu będzie zależało od poparcia robotników. Z niepokojem wypatrywano na kolejnych demonstracjach przedstawicieli zakładów pracy. Z dnia na dzień było ich więcej, ale do końca nie było wiadomo, co myśli milcząca większość.

Poniedziałek, 27 listopada, godzina 12.00. W Pradze, Brnie, Bratysławie, we wszystkich miastach Czech, na Morawach i na Słowacji zaczynają bić dzwony kościołów, rozbrzmiewają klaksony. Na dwie godziny stanęły fabryki. Miliony Czechów i Słowaków przerwały pracę. Komunistyczni władcy zrozumieli: zegary ruszyły z miejsca.

Była dokładnie dwunasta.

Rząd

Od tej chwili wydarzenia zaczęły toczyć się w tempie lawiny. Spełniono kolejne żądanie społeczeństwa: zwolniono więźniów politycznych. Niektórzy z nich nie wierzyli własnym oczom – w więzieniu byli odcięci od wszelkich informacji. W środę, 29 listopada, Zgromadzenie Narodowe skreśliło z konstytucji artykuł mówiący o przewodniej roli partii komunistycznej. Od tej chwili również czeška i słowacka młodzież nie musi już być wychowywana w "marksistowsko-leninowskim duchu".

Następnego dnia kolejna sensacja: od poniedziałku obywatele CSRS będą mogli bez przeszkód wyjeżdżać na Zachód. Jednocześnie wojsko rozpoczęło likwidację zasieków na granicy. Ostatni zrzęb żelaznej kurtyny przechodzi do historii.



Alexander Dubček i Václav Havel

W piątek skruczę za inwazję roku '68 wyraziło przywództwo NRD, tego samego dnia Gorbaczow określił ją jako bezpodstawną. Wreszcie w niedzielę, nowy rząd starego premiera Adama określił inwazję jako złamanie układu i naruszenie suwerenności państwa oraz zażądał wycofania sowieckich wojsk z Czechosłowacji.

Ten nowy rząd nie spodobał się jednak narodowi. Z 21 ministrów tylko czterech nie było komunistami. Znow zapęlił się *Václavák*. Znow zapowiedziano strajk generalny: na poniedziałek, 11 grudnia.

Rząd Adama przetrwał tydzień. Kolejną próbę podjął już nie Ladislav Adamec, lecz nowa twarz: Marian Čalfa. Nowy premier jest wprawdzie komunistą, ale w jego rządzie – po raz pierwszy w dziejach ČSRS – komuniści są w mniejszości. Jednym z wicepremierów został Jan Carnogursky, bratysławski adwokat i niezależny działacz katolicki, który jeszcze trzy tygodnie wcześniej siedział w więzieniu. Drugim wicepremierem Čalfa mianował – również zgodnie z żądaniami Forum Obywatelskiego – Valtra Komarka, komunistę-reformatora. Obu wicepremierom powierzono ponadto nadzór nad resortem spraw wewnętrznych, albowiem nie udało się znaleźć kandydata na stanowisko ministra, który zadowoliliby i partię, i opozycję. Ministerstwo spraw zagranicznych przypadło zaś działaczowi Karty 77 i rzecznikowi Forum Obywatelskiego, dziennikarzowi Jiřemu Dienstbierowi, którego ostatnią profesją był zawód... palacza (nowo mianowany minister już po zaprzysiężeniu pełnił obowiązki ...palacza jeszcze przez kilka dni, z powodu braku następcy – przyp. red.).

Nowy rząd został zaprzysiężony przez Gustava Husáka, dla którego była to ostatnia czynność na stanowisku prezydenta państwa. Natychmiast potem podał się do dymisji.

Bynajmniej nie z własnej woli...

Pan Václav

I w ten sposób otworzyła się droga na Hrad. W Czechosłowacji społeczeństwo chce zatrzymać to stanowisko dla siebie. A osoba, która wydaje się być najbardziej godną objęcia przywództwa państwa, jest polityk mimo woli, działacz Karty 77, Komitetu Obrony Nieusłużnie Prześladowanych VONS, członek PEN-Clubu i oczywiście Forum Obywatelskiego, ale przede wszystkim wybitny dramaturg: Václav Havel – pan Václav, jak mówią jego przyjaciele. Jego kandydaturę wysunęło Forum Obywatelskie. Ale nie tylko on ubiega się o to stanowisko. Do walki zgłosili się bowiem już Alexander Dubček, który pragnie w ten sposób uzyskać rekompensatę za sierpień '68 oraz Čestomír Císá, w którym już w '68 młodzi ludzie chcieli widzieć swego prezydenta. Wolałi wtedy Císá na Hrad! albo Chcemy swobodę, ale z Císámi! Prezydentem został wówczas



Pan Václav prezydent Czechosłowacji

Wszakże parlamentu tego nie wybierał

jednak generał Ludvík Svoboda. I podobno również Ladislav Adamec myśli o tym stanowisku.

Václav Havel jest już od dawna czołową postacią czeskiej opozycji. Za swą postawę płacił wielokrotnie wysoką cenę, począwszy od całkowitego zakazu publikacji i wystawiania jego sztuk, aż po wieloletnie wyroki. Kiedy po raz ostatni chciano go odizolować od świata – w styczniu, po demonstracjach w rocznicę śmierci Jana Palacha – ów świat upomniał się o niego niespodziewanie donośnym głosem. Od 17 listopada jest na każdej demonstracji, na każdym ważnym zebraniu.

Czy pan Václav zostanie prezydentem? Jeśli wybierac będzie Zgromadzenie Narodowe, jak to przewiduje obecna konstytucja, może być różnie. Wskazanie tego nie wybierał

naród. Z kolei poszechnie wybory prezydenckie, jak to zaproponowała partia, oznaczałyby przesunięcie wyborów na późniejszy termin i zahamowanie niezwykle dynamicznego rozwoju sytuacji. Dlatego też Forum Obywatelskie opowiedziało się przeciw takiemu rozwiązaniu.

Co dalej?

W chwili, gdy ten numer *Poglądu* dotrze do rąk czytelników, zapewne znane już będzie nazwisko nowego prezydenta Czechosłowacji. Zapewne zdarzy się wiele rzeczy nieoczekiwanych. Nie można wykluczyć też, że partia przejdzie do kontrataku. Historia zna takie przypadki. To nieprawda, że takiego rozwoju wypadków, jak dziś w Czechosłowacji, w Polsce, na Węgrzech czy w NRD powstrzymać nie można. Historia – wcale nie tak dawna – zna liczne przykłady. I nie można uspokajać się nadzieją, że teraz już odwrotu nie ma.

Nie jest bowiem powiedziane, że czas dziewiątek, to czas tylko pozytywnych przemian. Nawet, jeśli tego wszyscy bardzo pragniemy.

W Wiedniu, 12 grudnia 1989 r.

Aureliusz M. Pędziwoł

PRÁVO LIDU číslo 4/89

ČESKOSLOVENSKÝ SOCIÁLNĚ DEMOKRATICKÝ ČTVRTLETNÍK

POGLAD OŽL

Nestává se často, že by exilové časopisy přestaly vycházet a po čase obnovily svou existenci. Nastěhlí je tomu tak u polského *Poglądu* ze západního Berlína: po devíti měsících zase vychází. Poměry se změnily natolik, že v tiráži je uvedeno Varšava Berlin. Časopis skutečně vychází v obou městech najednou (už aby mohlo i *Právo* žít v tiráži Praha Wuppertal!)

A tak si i Poláci ve vlasti mohou přečíst „Komunismus – posmrtná vzpomínka“ (s. 4), „Vznešenost a arogance Rakovského“ (článek gen. taj. partaje; s. 8), článek exulanta L. Kolakowského o marxismu (s. 14-16), vylčení dějin a činnosti KPN – nacionálně zaměřené polské opoziční strany, existující od roku 1977 přes zákaz úřadů (s. 23-28). Reportáž o Polácích, které sovětí odvíleli za války do Kazachstanu, prolomuje bariéru mlčení o tomto zločinu (s. 30-52). Časopis uverejňuje

ostrou kritiku polských pořadů Svobodné Evropy (s. 34-38). Hospodářskými mýty polských komunistů se zabývá stať „Od utopie k teroru“ (s. 40-46). Ošklivými německých nacionalistů a vysídleností se zabývá korespondence z Mnichova (s. 49-52). Z projevu polského generála na stranické schůzi v květnu 1989 jsou otištěny senzační úryvky (s. 53-57). Generál tehdy řekl: „My pořád čekáme. Bojíme se, že až se probereme, nebudeme už mít nač čekat.“ Jeho prorocká slova se za pár měsíců naplnila: teď už mlátit demonstranty nelze.

Poglad má vynikající grafickou úpravu na křídovém papíře a přináší množství fotografií. Číslo 1 (1989) ze září 1989 zahajuje novou etapu ve vydávání tohoto vynikajícího měsíčníku – prorgame mu, aby teď už vycházel bez přestávk.

A.M.

FUNDUSZ POMOCY

Los niezależnego dziennikarstwa w Polsce zależy również od Czytelników »Poglądu«. Każda, nawet najmniejsza wpłata na Fundusz Pomocy pozwoli zwiększyć nakład naszego miesięcznika w kraju.

Wpłaty prosimy kierować na konto:

»Gesellschaft Solidarność« e.V.
Sparkasse Berlin (1382)
Konto-Nr. 1220012382
BLZ 10050000

WPLATY:

- | | |
|----------------------------|-------|
| 1. Zb. Kowalski, Burgwedel | 30,- |
| 2. E. Wenzel, Berlin | 50,- |
| 3. Pam. Müller, Berlin | 200,- |
| 4. I. S., Monachium | 10,- |
| 5. Anonimowo z Wuppertal | 150,- |
| 6. R. Bergmann | 25,- |

Ofiarodawcom serdecznie dziękujemy!

Maciej Radwan Rybiński

Prywatne rozmyślenia

1.

Czasy są niełatwe. Jako tak zwany zawodowy antykomunista przez całe lata utrzymywałem się z pisania o nonsensach, zbrodniach i nadużyciach realnego socjalizmu i jego przywódców. Nie były to wcale prawdy banalne. Przynajmniej na zachód od Łaby. Ale powoli, powoli, choć nie dobrowolnie prawie wszyscy politycy i publicyści zachodniemieccy doszli do rozumu, nie wyłączając Egon Baha i hrabiny Dönhoff. Czym się teraz wyróżnić, skoro już nawet w redakcji *Die Zeit* poznali się na Honeckerze i gospodarce planowej? Właściwie ludziom o temperamencie polemicznym nie pozostaje nic innego, jak wstąpić do partii komunistycznej i zwalczając wolny rynek domagać się dyktatury proletariatu. Cóż, kiedy w Europie jest to niewykonalne – włoska partia komunistyczna zmienia program i nazwę, a zachodniemiecka po prostu się likwiduje, ponieważ człowiek, który ją finansował, póki co siedzi w zachodniobermberskim więzieniu Moabit. Sprawa Alexandra Schalck-Golodkowskiego, sekretarza stanu we wschodniobermberskim ministerstwie handlu zagranicznego napawa mnie zresztą gorączką. Facet naprawdę działał z rozmachem, handlował czym się dało, nie wyłączając broni i narkotyków, zaopatrywał towarzyszy partyjnych w rzeczy naprawdę porządne i dobrej jakości – szampan nie niżej Moët Chandon, whisky wyłącznie Glenfiddich, perfumy Diora. W ostatniej chwili przed aresztowaniem przekazał z prywatnego konta w Szwajcarii do kasy państwa 60 milionów marek, ale w Izbie Ludowej NRD posłowie wspominali coś o 100 miliardach. Przy Gołdrowskim nawet taki Ferdynand Marcos okazał się drobnym złodziejaskim kieszonkownym. A jak wyglądają w tym świetle nasi polscy aktywiści? Po prostu żałośnie. Kiedy przed pierwszą wojną światową wybuchła olbrzymia afera finansowa związana z budową Kanału Panamskiego, ktoś westchnął – u nas nie ma takich ludzi. Odpowiedziano mu, że ludzie by się znaleźli, tylko kanału nie ma. Nieprawda. Kanały są wszędzie, nawet na Marsie, ale ludzie są marni. Biedny Gierek skarżył się w wywiadzie, że gdyby nie górnicza renta z Belgii, umarłby z głodu. Przesikał 20 miliardów dolarów i nic dla siebie nie odłożył na czarną godzinę. Jedynym, który ratuje honor Polaków jest były premier Piotr Jaroszewicz, którego nazwisko wiąże się w Bonn z zaginięciem 25 milionów marek spośród 1,3 miliarda przekazanego Polsce w roku 1975 przez rząd federalny na zaspokojenie roszczeń m.in. byłych więźniów obozów koncentracyjnych i

robotników przy musowych. Pie

niędzmi tymi dysponował ZBOWiD, a Jaroszewicz był prezesem Rady Naczelnej. Ale i to marne, marne. Po pierwsze mało – gdzie tam Jaroszewiczowi do miliardów Gołdrowskiego. A poza tym bez rozmachu, bez fantazji, bez inicjatywy. Rencistę potrafił ograbić byle opryszek. Słowem – wstyd. I czy Jaroszewicz z tych pieniędzy postawił choć butelkę porządnego szampana któremuś z kolegów, chociażby wiceprezosa Rady Naczelnej ZBOWiD? Czy ofiarował jego małżonce perfumy Diora, albo choćby pełne wydanie dzieł Goethego? Tak, nie mieliśmy szczęścia do przywódców. Zamiast lokować pieniądze w Szwajcarii, budowali huty, biurowce i tuczarnie. Gdybym chciał napisać coś dobrego o polskich komunistach, po prostu żeby się wyróżnić i nie śpiewać w chórze, to bym nie mógł. Nie ma co.

2.

W ogóle my, Polacy, powinniśmy czuć się dzisiaj oszukani, po prostu wystrychnięci na dudka. Nie dość, że nasi przywódcy okazali się głupi i poczciwi, pogrążając kraj w ruinie i chaosie bez żadnej osobistej korzyści, to jeszcze zmusili nas do szarpania się przez lat 10, konspiracji, zrywów, ulicznych bijatyk, wystawiania piersi na kule dla uzyskania mniejszych swobód niż Niemcy z NRD w tydzień, a Czechi w ciągu jednej doby. Wystarczyło, że parę tysięcy Niemców przeprowadziło się, a już SED zrezygnowała z kierowniczej roli w państwie. Dość było, że kilka tysięcy Czechów zamiast na piwo z knedlikiem poszło pod pomnik Wacława, a już obiecano im wolne wybory. A Polacy? Pół miliona wyjechało na stałe – i nic. Setki tysięcy demonstrowały – i nic. Dziesiątki tysięcy strajkowały – i też nic. Trzeba było dopiero Okrągłego Stołu z udziałem Kościoła, Miodowicy, Urbana i innych sił społecznych, aby naród uzyskał reprezentację z klucza w Sejmie. I warto się było tak szarpać? Nie lepiej było siedzieć w domu, pędzić bimber i poczekać, aż naciski z Pragi i Berlina Wschodniego oraz energiczna interwencja Moskwy doprowadzą do demokracji? Bardzo by było teraz przyjemnie siedzieć sobie w fotelu, kręcić młynka palcami, czytać w zachodniej prasie komentarze zatytułowane "Warszawa – ostatni bastion komunizmu" albo postuchać w Wolnej Europie o braku poparcia ze strony Gorbaczowa dla dogmatyka Rakowskiego. Z okazji rocznicy stanu wojennego dużo się pisało o listach z Moskwy, które zmusiły Jaruzelskiego do tej niechcianej przez niego decyzji. Może teraz też przyszedłby list z Moskwy i spowodował różne zmiany bez ofiar, procesów, rannych i zabitych? Gdzieś tutaj tkwi błąd. I to błąd podwójny. Gdyby dziś ustąpił Jaruzelski, a Rakowski poprosił o azyl w Mongolii, wywołałoby to w świecie mniejsze poruszenie i mniejszą gotowość do pomocy gospodarce, niż gdyby Rumuni postanowili odbudować ze dwie zburzone wioski w Siedmiogrodzie. Ja sam ze swoim długoletnim zakazem pracy w Polsce, ze swoją emigracją, czuję się dziś bardziej ofiarą ja-



Alexander Schalck-Golodkowski

kiegoś tajemniczego błędu, niż ofiarą reżimu, który w Polsce był zawsze marny, tak jak marni byli jego czołowi przedstawiciele. Może dlatego ten reżim nie upadł, tylko rozplynął się, rozlał szeroko, obejmiając mętną pianą wszystko i wszystkich. Marność nad marnościami i wszystko marność, i nawet nie ma za kim krzyknąć "łapaj złodzieja", co nadal jest najbardziej chwytliwym hasłem rewolucyjnym.

3.

Wiele razy pisałem w tym miejscu o przykrych skutkach, jakie miewa łączenie posłannictwa Kościoła z polityką, zwłaszcza kiedy fundamenty myśli politycznej są bardzo określone. Pisałem to pod adresem Kościoła katolickiego w Polsce. Ale dotyczy to każdego Kościoła i każdego przedstawiciela hierarchii, jeśli zbytnio przejmie się interesem narodowym. W RFN ukazuje się czasopismo zatytułowane *Theologisches*, co trudno przetłumaczyć na język polski, gdyż jest to rzeczownik, utworzony na powrót od przymiotnika "teologiczny", utworzonego z kolei od pojęcia teologia. Mniejsza z tym. Wydawcą tego pisma jest duchowny katolicki i teolog moralny, monsignore Johannes Bökmann. Pismo jest organem niemieckich tradycjonalistów katolickich i jego zasadniczą tematyką jest walka z postępowymi teologami, reformą liturgii, ministrantami płci żeńskiej, komunii podawaną do ręki i tak dalej. W sumie chodzi o dość marginesowy i nieznaczący fundamentalizm. Fundamentalizm jednak jest jak rak: rozrasta się, obejmuje całość myślenia i odbiera zdolność właściwej oceny. W numerze 10 *Theologisches* prof. Georg May, dyrektor Seminarium Prawa Kościelnego na Uniwersytecie w Moguncji, autor m.in. rozprawy pt. "Interkonfesjonalizm w niemieckim duszpasterstwie wojskowym 1933-1945", opublikował artykuł "Die Wunde gegenüber Polen".* Teolog moralny, monsignore Bökmann, opatrzył ten tekst wstępem, z którego wynika, że Polacy od końca I Wojny Światowej do 1939 roku dążyli do wojny z Niemcami, podczas gdy Hitler zabiegał o pokój. Jeszcze w 1939 roku – twierdzi monsignore Bökmann – nastroje w Polsce równały się pracy ku wojnie i przemocy historyi, podczas kiedy w Niemczech nie było porównywalnego zjawiska. Przeciwnie, panowała powaga, troska i wszechobjęmość, skoncentrowany spokój. Nie dziwnego, że niemiecki teolog moralny przypisuje całą winę za wybuch wojny Polakom. Po wszechnie przyjęta teza – pisze Bökmann – o niesprowokowanym napadzie Niemców na pokojowych i niczego nie spodziewających się Polaków nie odpowiada historycznej prawdzie. Hitler, zdaniem tego osobliwego moralisty, nakazał Wehrmachtowi wejście do Polski, kiedy wyczerpały się już wszystkie możliwości rokowań i mediacji. Oczywiście, monsignore Bökmann przyznaje, że Polacy doznali w latach 1939-1945 wielkich cierpień. Zadali im je przede wszystkim Francuzi i Anglicy, wykorzystując ich do swoich celów, a także Stalin. W tej sytuacji z zupełnie niewiadomych powodów zli Polacy wzięli odwet na dobrych i pokojowych Niemcach. Pełne nienawiści, brutalne wypędzenie Niemców przez Polaków otworzyło na nowo krwawiącą polską ranę – poetycko stwierdza Bökmann – trzeba sobie zdać sprawę, że uparta, barbarzyńska, brutalnie i krwawo prowadzona od dziesięcioleci polska polityka wobec mniejszości, szczególnie wobec Niemców jest hańbą. Hańbę tę niosą także wysokie osobistości kościelne w Polsce, którym Bökmann przypisuje "kompleks bezwiny". Ładne porównanie teologa moralnego – kompleks bezwiny przypomina na swój mesjanistyczno-katolicko-polityczny sposób dewizę Hitlera, że dobre jest to, co służy narodowi. Do owych wysokich osobistości Kościoła polskiego, które mają haniebny stosunek do historycznej przeszło-

ści zalicza Bökmann także Ojca Świętego, Jana Pawła II. Papież fałszuje historyczną prawdę, prezentuje imperialistyczną geografii i czci jako narodowych świętych brutalnych morderców, służąc niesłabnącemu katolicko-polskiemu szowinizmowi. Czyżby monsignore miał tu na myśli świętego Maksymiliana Kolbego? Bardzo to możliwe, skoro jego zdaniem jętrząco-patriotyczne przemówienia papieża były bezpośrednim powodem, dla którego okręty polskiej Marynarki Wojennej ostrzelały w 1987 roku na Bałtyku okręt Bundesmarine. W tym momencie można by właściwie machnąć ręką. Ale zaraz, Bökmann jest wykładową, wychowawcą młodzieży, wydawcą czytanego pisma. Co więcej, jeszcze rok temu Bökmann należał do grupy trzech papieskich kandydatów do tronu arcybiskupiego w Kolonii. Uznawany był wtedy za zaufanego współpracownika, a nawet za przyjaciela Jana Pawła II. Powstaje pytanie, czy monsignore Bökmann zawsze uważał Ojca Świętego za polskiego szowinistę, namawiającego marynarzy do strzelania do niemieckich okrętów, czy też doznał iluminacji, kiedy go nie powołano na kołofonową stolicę. Nie znam się na teologii moralnej, ale korepetycję z etyki bardzo by się monsignorowi przydała.

4.

Mieszkaniec Berlina Wsch., niejaki pan Plaschke, udał się przed 28 laty do biblioteki położonej w amerykańskim sektorze i pożyczył dwie książki. Potem nie mógł już ich oddać, ponieważ między nim i biblioteką wzniesiono antyfaszystowski wał ochronny, zwany też murem berlińskim. Kiedy mur runął, pan Plaschke, w międzyczasie emeryt, wziął książki pod pachę, legitymację biblioteczną do kieszeni i powędrował do biblioteki. Tam znaleziono jego kartę – odebrano książki i wymierzono karę za ich nadmiernie długie przetrzymanie – 5100 marek, oczywiście zachodnich. Rewolucja rewolucją, a *Ordnung muß sein*.

5.

Telewizja zachodniemiecka codziennie niemal nadaje długie i wyczerpujące dyskusje na temat sytuacji w Europie Wschodniej i jej perspektywy. W dyskusjach tych biorą udział politycy, dziennikarze i Andrzej Szczypiorski. Nieskrępowane rozmowy przed kamerą wnoszą duży wkład i pozwalają na różne refleksje, toteż pozwolę sobie jedną taką dyskusję zanotować. Zawsze to ciekawe, co o nas mówią inni.

– W zasadzie położenie Europy Wschodniej jest całkiem jasne. Europa Wschodnia leży na wschodzie Europy, na zachodzie Azji, na północy Bałkanów i na południu Skandynawii.

– Jak szlusznie zauważył mój przedmówca, nie należy ulegać pozorom. Już Heidegger dostrzegał niebezpieczeństwo wpływające ze stosunku jedności do zbiorowości i odwrotnie. Jest to duży krok naprzód w porównaniu z traktowaniem aktu wiary wśród koczowniczych plemion Ameryki Południowej w okresie prekolumbijskim.

– W zasadzie trzeba tylko ustalić, kto jest liberałem. Według mnie Jaruzelski jest liberałem. W *Newsweek* przeczytałem, że jeszcze ojciec Gorbaczowa był liberałem. Co do dziadka nie ma pewnych informacji, ale babkę carską ochrona podejrzewała o liberalizm. Mam tutaj tajny raport CIA opublikowany w poważnym francuskim piśmie *Harakiri*, według którego biuro polityczne w Pradze opanowane jest przez liberałów.

– Otóż to. Jeszcze przed kryzysem polskim rozmawiałem z pewnym wybitnym politykiem państwa San Marino. On był zdania, że Europie potrzebny jest nowy system bezpieczeństwa. Nawet opracował taki system. NATO gwarantowałyby granicę polsko-sowiecką, a Układ Warszawski granicę niemiecko-francuską.

* Rana wobec Polski – przyp. red.

– Jeśli dobrze zrozumiałem, nie należy wyciągać zbyt pochopnych wniosków z powszechnie znanych faktów.

– Otóż to. Wynikanie jest relacją, jest stosunkiem implikacji. Arab starożytny rozumiałby słowo rakietka, bo ono pochodzi od arabskiego rahat. Fryderyk Barbarossa też by to rozumiał, bo skojarzyłby ze słowem rocke, to znaczy kądziel. Ale już na przykład władca Siedmiogrodu Wład Drakula słowa mansarda by nie rozumiał, bo to pochodzi z francuskiego.

– Tak, tak, trzeba wyrównywać te różnice.

– Jak najbardziej. Jak ja czytam, że Jaruzelski jest polskim patriotą i Wałęsa jest polskim patriotą, to rzewność mnie ogarnia i wierzę, że Polacy wejdą do rodziny narodów Europy. Jedno mnie tylko martwi, czy oni to też czytają?

– Rozmawiałem z pewnym młodym człowiekiem z Berlina. Powiedział mi, że cieszy się z obalenia muru, bo teraz Armia Czerwona będzie mogła łatwo wkroczyć, żeby uchronić berlińskie lasy przed katastrofą ekologiczną.

– Jak najbardziej. Bezpieczeństwo jest najważniejsze. *Unsicherheit ist gefährlich.**

6.

Uwaga, okazja! Ogłoszenie z jednej z zachodnioniemieckich gazet: Zamienię Ferrari 365 GT na 55 Trabantów.

7.

Sejm przyjął wreszcie, ponaglony przez Lecha Wałęsę, pakiet ustaw gospodarczych, otwierających Polskę drogę do pełnej gospodarki rynkowej. Jedno mnie tylko martwi, że ustawy te opracowane zostały przez uczonych. W zasadzie innego wyjścia nie było. W Polsce nie ma ani praktyków polityki ekonomicznej, ani praktyków gospodarki. Są tylko uczeni ekonomiści. Mam więc obawy, że socjalizm naukowy zastąpiony zostanie naukowym kapitalizmem, tak samo podatnym na wypaczenia. Lękam się, że teoria okaże się słuszną, ale ludzie znów nie dorosną. Trzeba koniecznie coś zrobić, żeby ludzie rośli w siłę, a Polska żyła dostatniej, ponieważ zabieg odwrotny okazał się nieskuteczny.

8.

Coraz ryzykowniej jest zajmować się bieżącą polityką i to na dodatek w miesięczniku. Coraz więcej jest zjawisk i wypadków niezrozumiałych. W Niemczech Wschodnich pastor Eppelmann, przywódca opozycyjnego ugrupowania "Demokracja teraz" złożył skargę w prokuraturze, że w jego mieszkaniu zainstalowano – znów nieznaną sprawcy – trzy mikrofony. Rzecznikiem pastora w śledztwie jest adwokat Gregor Gysi, przewodniczący partii SED-PDS. O tej partii powiedział przewodniczący CDU-Ost, a ponadto zastępca premiera Modrowa, z kolei wiceprzewodniczącego SED, de Maiziére, że zatruwa atmosferę zapachem zgnilizny. No i gdzie tu logika, zważywszy, że Eppelmann był prześladowany i nie

chce zasiadać w rządzie Modrowa, de Maiziére należy do partii, która przez 40 lat była z SED w koalencji, a Gregor Gysi wie, kto te mikrofony instalował bez prokuratury i dochodzenia. Dobrze, jedźmy dalej. Tymczasowy prezydent Rumunii ogłosił na wiecu w Bukareszcie rozwiązanie i zakaz działalności partii komunistycznej. Potem zakaz ten odwołał, bo podobno był niedemokratyczny. A teraz znów czytam, że Ion Iliescu oświadczył agencji TASS, iż system wielopartyjny jest historycznie przestarzałym modelem demokracji i w Rumunii nie ma zastosowania. Wygląda na to, że rumuńska demokracja będzie pierwszą na świecie demokracją monopartyjną. I to z partią komunistyczną, której nie można zakazać przez wzgląd na demokrację. O ile oczywiście Iliescu przetrwa te meandry. W bułgarskiej konstytucji skreślono wiodącą rolę klasy robotniczej, co nikomu nie przeszkadzało, a pozostawiono kierowniczą rolę partii. Na parę dni przed rozpoczęciem zjazdu byłej kierowniczej partii w Polsce – PZPR, w Bonn zjawił się z błyskawicą, bo z jednodniową wizytą Mieczysław F. Rakowski. Spotkał się on tutaj z kierownictwem partii socjaldemokratycznej – Brandtem, Voglem i Bahrem. Podobno celem rozmów było zebranie doświadczeń w zakładaniu partii socjaldemokratycznej. A cóż to za pomysł. Niemiecka socjaldemokracja ma – zdaje się już 135 lat i nawet Willy Brandt nie może pamiętać, jak ją zakładano. Nie może pamiętać, jak w 1890 roku zmieniono jej nazwę na obecną. Poza tym sprawa nie wydaje się aż tak skomplikowana, by trzeba w to było angażować ościenne państwa i zagranicznych polityków. Chyba, że działa tu przyzwyczajenie, a to wówczas trzeba się było zebrać ponownie w sali warszawskiej Romy, gdzie już raz towarzysze partię zakładali przy obecnej pomocy. Ale najlepiej byłoby odwiedzić w RFN nie Brandta a szefa komunistycznej DKP i dowiedzieć się, jak się partię rozwiązuje.

9.

W NRD wszyscy członkowie najwyższych władz SED już siedzą, albo będą siedzieli. Aż zazdrość bierze. Opozycja wschodnioniemiecka uzależniła swój udział w rządzie premiera Modrowa od złożenia przez niego legitymacji partyjnej. Modrow obiecał i w parę dni później odwołał obietnicę. Tego samego dnia minister Seiters zaprosił go w imieniu kanclerza Kohla do złożenia wizyty w Bonn w połowie lutego. Muszę przyznać, że jest to zbieżność zdumiewająca. Kanclerz RFN otwiera parasol politycznej ochrony nad premierem rządu nie posiadającego ani społecznego poparcia, ani żadnej legitymacji do sprawowania władzy. W ten sposób rząd federalny pozostaje jedynym czynnikiem stabilizacji władzy w SED.

10.

A w ogóle nie ma się ostatnio z czego śmiać, że z *Trybuny Ludu*, która jest tak bojowa, jakby szykowała się do walki o władzę, mobilizując masy. Cóż, przyzwyczajenie drugą naturą...

* Niepewność jest niebezpieczna – przyp. red.

Cezary Stolarczyk

W celowniku: Noriega

Użycie amerykańskich sił zbrojnych do interwencji poza granicami kraju jest zawsze decyzją brzemniącą w niezwykle poważne skutki, tak w kraju (reakcja Kongresu, mediów, społeczeństwa), jak i za granicą (reakcja opinii publicznej, ewentualna dezaprobata rządów, ochłodzenie stosunków, ostracyzm). Kalkulowanie wszystkich tych potencjalnych kosztów i spodziewanych efektów wymaga szczególnej pieczołowitości, zwłaszcza gdy chodzi o największą operację militarną od czasu wojny wietnamskiej, a zarazem pierwsze w powojennej historii USA użycie sił zbrojnych



...najintensywniej poszukiwana osoba na świecie.

w celu innym, niż zwalczanie komunizmu.

Korzeni inwazji USA na Panamę szukać trzeba w historii wzajemnych stosunków obu krajów na przestrzeni ostatnich dwu lat. Centralnym punktem zaangażujących się z czasem animozji, przyczyną eskalacji konfliktów i wzajemnej wrogości jest osoba i postępowanie Manuela Antonia Noriega, przywódcy panamskich sił zbrojnych, a ostatnio samozwańczego dyktatora kraju. Były informator CIA, dostarczający ponoć niezwykle wartościowe materiały, pełniący także rolę pośrednika w kontaktach Waszyngtonu z Hawaną, wychwalany i odznaczany przez Federalną Agencję do Walki z Narkotykami, cieszy się obecnie wśród amerykańskich władz i społeczeństwa reputacją, jaką do niedawna mieli tylko Chomeini i Kadafi. Stosunek jaki ma do niego Bush, został przez jednego

z bliskich przyjaciół prezydenta określony mianem "obsesji". "Jestem zawiedziony, że jest on u władzy tak długo, nadzwyczaj zawiedziony" – powiedział niedawno szef Białego Domu, który osobiście zetknął się z Noriega w 1976 roku, jako dyrektor CIA i w 1983 r., jako wiceprezydent podczas wizyty w Panamie. Zastrzeżenia amerykańskie wobec panamskiego generała związane są z wysuniętymi przeciw niemu 15 oskarżeniami o udział w handlu narkotykami. Jest on osobą oficjalnie ściganą przez wymiar sprawiedliwości Stanów Zjednoczonych. Rosnącą irytację władz wobec Noriega

wywoływał jego prowokacyjne zachowanie. W maju ub. unieważnił demokratyczne wybory, gdy stało się jasne, że wygrałby je przedstawiciel opozycji – Quillermo Endara. W oparciu o własne kryteria skomplementował skład parlamentu i mianował prezydenta; na własną prośbę kilka dni przed inwazją przyznano mu tytuł przywódcy (Maximum Lider); pod jego presją parlament wystąpił z deklaracją, że "Panama znajduje się w stanie wojny z USA".

Amerykane uznali, że skoro zawiodły negocjacje, groźby, sankcje gospodarcze, próby wywierania nacisku przez pośredników, nie przyniosły sukcesu październikowy pucz wojskowy – trzeba podjąć bardziej zdecydowane kroki. Początkowo rozważano wariant wyasygnowania przez CIA 3 mln dol. na skaperowanie do współpracy wyższych oficerów armii i działaczy opozycji w celu przygotowania kolejnego, bardziej już skutecznego zamachu stanu. Jednak w związku z wysuniętą szlachetnie sugestią, że następca Noriega może być jeszcze gorszy od niego, ewentualność tę zarzucono. W Oval Office ściślej grono najbliższych współpracowników prezydenta (doradca ds. bezpieczeństwa państwa Scowcroft, sekretarz obrony Cheney,

szef połączonych sztabów Powell i sekretarz prasowy Fitzwalter) uzgadniał plany wyeliminowania Noriega z życia politycznego Panamy. Prezydent początkowo obstawał przy projekcie, aby przeprowadzić akcję na niewielką skalę, przy użyciu desantu komandosów, którzy porwaliby Noriega. Colin Powell uważał jednak ten plan za "nierealny" i preferował atak znacznymi siłami. Zdaniem szefa sztabów ewentualne niepowodzenie akcji komandosów oznaczałoby fiasko całej operacji, natomiast zmasowana inwazja, jakkolwiek i w tym wariantcie nie można być pewnym ujęcia dyktatora, gwarantuje przynajmniej odsunięcie go od władzy i obalenie jego rządów.

Początek operacji "Just Cause" doś-
ś wyrażnie odbiegał od strategicznych schematów ataku jednego kraju na inny. W Panamie – w strefie kanału – na stałe stacjonuje 8,5-tysięczny kontyngent wojsk USA, znajdując się bazy wojskowe. Już w ubiegłych miesiącach przygotowując się na ewentualność użycia sił zbrojnych, siły amerykańskie zasilono dodatkowymi oddziałami w liczbie 4,5 tys. żołnierzy; dostarczono do Panamy helikoptery bojowe i czołgi. Na kilka godzin przed uderzeniem, na pasach startowych Howard Air Force Base w dziesięciomilutowych odstępach zaczęły lądować ciężkie transportowce US Air Force, co oczywiście nie uszło uwadze Panamczyków. Rzecznik Pentagonu w odpowiedzi na pytania zaniepokojonych władz kraju stwierdził, że jest to rutynowa procedura związana z ćwiczeniami wojskowymi. Wkrótce po północy uspioną Panamą City obudził grzechot broni maszynowej. 24-tysięczne siły inwazyjne jednocześnie zaatakowały wszystkie placówki wojskowe sił zbrojnych Noriega. Komandosi z oddziałów SEAL zaatakowali prywatne lotnisko i przystań, niszcząc samoloty i łodzie, które generał trzymał w pogotowiu, licząc się z możliwością ucieczki. Okręty wojenne US Navy i helikoptery bojowe "Cobra" zaatakowały i zniszczyły siedzibę Panamskich Sił Obronnych (tzw. Commandancia). Nad polem w pobliżu miasta rozpoczął się desant amerykańskich spadochroniarzy; tuż przed nim nad rejonem lądowania przeleciał na

małej wysokości bombowcy "Stealth", powodując paniczną ucieczkę panamskich żołnierzy, którzy mogliby zagrozić desantom. Sześć godzin po rozpoczęciu ataku komandosi Marines wpadli do położonego nad Pacyfikiem domu Noriega. Pustka i dopalające się niedopałki w popielniczkach świadczyły, że spóźnili się o parę minut.

Wkrótce po rozpoczęciu przez amerykańskie oddziały ataku, w bazie USA Fort Clayton w strefie przykanałowej odbyło się zaprzysiężenie Quillermo Endary na prezydenta Panamy. Wprawdzie dokonał tego panamski sędzia, lecz nie udało się unikać niezręczności (nowa głowa państwa spędziła następnie 36 godzin w bazie, a potem przemieszczała się w obstawie amerykańskich żołnierzy) i niebezpiecznego wrażenia, że Endara jest marionetką agresora. Dotychczasowy, mianowany przez Noriega prezydent Francisco Rodriguez przepadł bez wieści.

Mimo intensywnych wysiłków sił USA, ścigany dyktator wymykał się obławie. W wygłoszonym wczesnym rankiem po nocnym ataku przemówieniu do narodu, George Bush poinformował Amerykanów o przedsięwziętych działaniach, zaznaczając, że ujęcie Noriega i postawienie go przed sądem w Miami za udział w handlu narkotykami było priorytetem akcji "Just Cause". Nie przeszkodziło to Powellowi kilkanaście godzin później w trakcie konferencji prasowej ogłosić sukces operacji, choć miejsce pobytu Noriega wciąż nie było znane. Jak się potem okazało, generał został ostrzeżony trzy godziny wcześniej (wiadomość przeliczył rozmową telefoniczną z USA), jednak najwyraźniej zbagatelizował informację. Podczas walk na ulicach Panama City, dyktator jeździł wózkem centrum miasta samochodem; wieczór przed atakiem spędził w wojskowym klubie z prostytutką. Od dawna był bardzo podejrzliwy, nigdy nie nocował w tym samym miejscu przez dwie noce pod rząd, obawiał się otrucia.

Bezdiskusyjnym efektem amerykańskiej inwazji jest obalenie rządów Noriega. Choć opór jaki napotkano, był znacznie silniejszy od spodziewanego – szczególnie zaciekłe walczyły fanatycznie oddane dyktatorowi, liczące 8,5 tys. członków paramilitarne oddziały tworzące tzw. Batalion Godności. W ciągu dwóch tygodni od rozpoczęcia walk Amerykanie stracili kilkudziesięciu żołnierzy, a kilkuset jest rannych; znacznie większe są ofiary – zwłaszcza wśród ludności cywilnej – po stronie panamskiej. Niektóre źródła podają, że w rezultacie ataku śmierć poniosło aż 2 tys.

osób.

Wzięto do niewoli 4640 żołnierzy Panamskich Sił Obronnych. Niestety, jednocześnie policją panamską. Pozbawione ochrony cywilnej Panama City stało się już wkrótce po nocnym uderzeniu terenem bezkarnego grasowania tysięcy szabrowników. Okradziono większość sklepów – dosłownie ze wszystkiego. Przypuszcza się, że straty spowodowane zniszczeniami podczas inwazji i szabrem wynoszą 1 miliard dol. Po kilku dniach Panamczycy utworzyli własną straż obywatelską; następnie obowiązki patrolowe przejęli żołnierze USA. Odbudowanie kraju ze zniszczeń i z zapaści gospodarczej należeć będzie w znacznej mierze do Amerykanów. Na wstępie ogłoszono zwolnienie 400 mln dol. zamrożonych panamskich funduszy i zniesienie sankcji gospodarczych. Później realizowany będzie program pomocy ekonomicznej o wartości szacowanej na 1 miliard dol.

Reakcja Amerykanów na niespodziewany i drastyczny krok prezydenta, jakim jest niewątpliwie zaatakowanie suwerennego kraju, była bardzo pozytywna. Aż 80% ankietyowanych uznało tę decyzję za uzasadnioną i poparło postępowanie George'a Busha. Jest to zapewne także pośredni efekt znacznej popularności szefa państwa, która – po pierwszym roku sprawowania urzędu – znacznie przewyższa analogiczne notowania Reagana i Cartera. Jak wiadomo, całkiem inaczej wieść o inwazji przyjęto na świecie. Z sojuszników jednoznacznie poparcie wyraziła tylko premier That-



«w rezultacie ataku śmierć poniosło 2 tys. osób cywilnych»

cher; pozostali zachowali w najlepszym razie podsyżną dezaprobatą neutralność. Jak należało się spodziewać, potępli operację Rosjanie. Nawet Chiny wystąpiły z bardzo ostrą krytyką; nawet – bo niedawno Bush mimo oburzenia społeczeństwa, prasy i Kongresu zdecydował się na przełamanie anatemy otaczającej ten kraj po masakrze na placu Tiananmen; mógł więc oczekiwać od Teng Xiaopinga nieco więcej wyrozumiałości.

Najostrzejsza jednak, zapewne najbardziej szkodliwa dla dalekosiężnych interesów USA a zarazem specyficzna była reakcja krajów Ameryki Łacińskiej i Południowej. Wszystkie – z wyjątkiem Wenezueli – bardzo stanowczo potępiły postępowanie późnego sąsiada z północy. Jest to w pewnym sensie paradoksalne, bo Noriega wszyscy z wyjątkiem Castra i Ortegi uważali za czarną owcę w rodzinie Organizacji Państw Amerykańskich i byli zdania, że z generałem coś trzeba zrobić. Gdy jednak wzięli to na siebie "Gringos", reakcja była alergicznie gwałtowna. Bo też od dawna w stosunkach państw Ameryki Łacińskiej z USA występują alergogenne czynniki, dają o sobie znać zadawnione kompleksy.

Ingerencje w sprawy państw tego regionu dokonywane przez USA mają długą historię. Tylko w latach 1902-1920 prezydentowie Theodore Roose-



Zaprzysiężenie Quillermo Endary na prezydenta Panamy

welt i Woodrow Wilson wysyłali amerykańskie jednostki do Ameryki Centralnej co najmniej 15 razy. Z nowszych dziejów można wymienić tajną operację CIA w 1954 r., która doprowadziła do obalenia demokratycznie wybranego rządu Gwatemali; akcję w Zatoce Świń w 1961 r; interwencje w Dominikanie w 1965 r. i na Grenadzie w roku 1983. Była jeszcze Panama, Haiti, Honduras, Meksyk, Nikaragua. Przy każdej próbie demokratyzacji rządów w krajach Ameryki Środkowej lub zainstalowania ekipy przyjaźnie nastawionej wobec USA, trzeba było zapłacić wysoką cenę; skutki interwencji trwały latami: wojska Stanów musiały ochraniać wprowadzony porządek. Stosunek do tych amerykańskich przedsięwzięć był wśród tubylczej ludności na ogół negatywny; kiedykolwiek sytuacja wewnętrzna – ekonomiczna, społeczna lub polityczna – ulegała pogorszeniu, winni byli Yankees. Taktyka polityczna USA wobec małych i na ogół ubogich krajów Ameryki Centralnej nie ulegała od tamtych czasów jakimś znaczącym przeobrażeniom jakościowym. Werbalnym tego dowodem jest powtarzane systematycznie określanie tego regionu jako "własnego podwórka USA". Nie trzeba chyba bliżej wyjaśniać, dlaczego przywódcy i społeczeństwa tego obszaru uznają takie stawianie sprawy za głęboko upokarzające, nie pozwalające zagoić się starym bliznom. Zresztą nawet w mediach USA coraz częściej można spotkać się z kąśliwymi komentarzami (najczęściej demokratów i ich zwolenników) porównującymi ten sposób rozumowania i postępowania do doktryny Breżniewa, czemu administracja waszyngtońska gwałtownie zaprzecza. W świetle tego wszystkiego nie wydaje się dziwne, że to właśnie kraje trzeciego świata, głównie Ameryki Łacińskiej, włożyły najwięcej starań, aby sprawę amerykańskiej agresji na Panamę postawić na forum ONZ. Niepowodzenie próby przeforsowania rezolucji piętnującej postępowanie USA na forum Rady Bezpieczeństwa, spowodowane faktem, że krajów ma prawo weta wobec wszelkich decyzji tego ciała, tylko spotęgowało frustrację i



Zrujnowane ulice Panama City w pobliżu kwatery Noriega

pogłębiło determinację inicjatorów: obecnie starają się zwołać nadzwyczajne posiedzenie Zgromadzenia Ogólnego ONZ. Uchwalenie oświadczenia piętnującego inwazję nie będzie jednak łatwe także i z tego powodu, że większość mieszkańców Panamy odniosła się do wojsk USA przyjaźnie, nie traktując ich jako agresorów a raczej jako wybawicieli spod dyktatury Noriega. Nawiasem mówiąc, najbardziej wdzięczni byli szabrownicy, którzy rozkradali towary sklepowe wykrzykując w euforii "Viva Bush!"

Tymczasem "mocny człowiek" – tak określały jeszcze w połowie grudnia amerykańskie środki przekazu Noriegę – mimo iż był najintensywniej poszukiwaną osobą na świecie, ciągle uchodził ścigającym. Amerykanie byli przekonani, że po odcięciu mu dróg ucieczki z kraju, otoczeniu ambasad Nikaragui i Kuby oraz wyznaczeniu nagrody 1 mln dolar. za ujęcie generała – sukces jest tylko kwestią czasu. Jak się jednak wkrótce okazało, błędem było pozostawienie otwartego dostępu do Ambasady Watykanu, która jeszcze kilka miesięcy temu była schronieniem dla obecnego prezydenta – Endary, prześladowanego przez Noriegę. Teraz z dobrodziejstw immunitetu dyplomatycznego misji Stolicy Apostolskiej musiał korzystać sam Maximum Lider. Zanim jednak został wpuszczony do środka, spotkał się potajemnie z przedstawicielem ambasady. Podczas rozmowy odbytej w pobliskim barze doszło do uzgodnień, po których Watykan zdecydował się aktywnie włączyć w panamski konflikt, udzielając Noriedze czasowego azylu. Najprawdopodobniej Stolica Apostolska doszła do wniosku, że zgadzając się na pobyt generała w ambasadzie pozbawi się go wpływu na wojska panamskie, co zmniejszy siłę ich oporu, a tym samym ograniczy liczbę ofiar.

Amerykanie natychmiast zaczęli wywierać bardzo silną presję na Watykan, aby wydał ściganego wojskom USA. Argumentowano, że Noriega nie jest uchodźcą politycznym a zwykłym przestępcą, którego należy oddać w ręce sprawiedliwości. Jednak po kilku dniach nuncjusz papieski oświadczył, że zmuszenie Noriega do opuszczenia placówki, wydanie go Amerykanom nie wchodzi w rachubę. Przez krótki czas rozważano przekazanie go władzom panamskim, co również nie doszło do skutku. Początkowo prezydent Endara utrzymywał, że jego rząd nie mógłby Noriega odesłać przed sąd w Miami, bo Panama nie ma z USA porozumienia o ekstradycji. Po tygodniu zmienił jednak zdanie, stwierdzając, że przeszkody na które się wcześniej powoływał, w gruncie rzeczy nie istnieją. Wobec takiego obrotu sprawy Watykan zdecydował, że Noriega nie można wydać także Panamie i przedstawił propozycję odesłania go do kraju trzeciego. Ponieważ jednak nikt prócz Kuby nie był skłonny do oferowania Noriedze schronienia, a Stany Zjednoczone stanowczo oświadczyły, że do takiego załatwienia sprawy nie dopuszczają – także i ta koncepcja upadła.

Gdy piszę te słowa, impas przeciąga się i żadna ze stron nie okazuje skłonności do przyjęcia warunków drugiej.

Poparcie, jakiego społeczeństwo USA i Kongres udzieliły prezydentowi wydatnie osłabnie, jeśli oddziały interwencyjne nie zostaną szybko wycofane z Panamy. Przewlekłe walki partyzanckie w dżungli – nie można jeszcze takiej ewentualności wykluczyć – miałyby fatalne konsekwencje, tak polityczne jak społeczne. Nikt w Stanach nie chce nawet słyszeć choćby o namiastce Wietnamu.

Co zaś się tyczy Manuela Noriega, nazywanego przez swych zwolenników "ananasową twarzą" ze względu na błądzący po ośnie przypominający łupinę ananasa, może on chyba liczyć na poparcie tylko jednej osoby w Stanach Zjednoczonych. Jest nią 12-letnia dziewczynka, Sarah York, która od dwu lat koresponduje z Noriegą, wzorem swej nieżyjącej już epistolarnej protoplastki Samantha, która zaprzyjaźniła się z Gorbaczowem. Sarah uważa, że Manuel jest bardzo przywoitym, godnym szacunku człowiekiem, któremu dzieje się obecnie wielka krzywda.

USA, 1 stycznia 1990 r.

Cezary Stolarczyk

Piotr Kowalczyk

Opowiedzcie o tym dalej



Oskar Schindler, zdjęcie z 1949/50 fot. Arch.

W południe 8 maja 1945 r., przygotowujący się do ucieczki przed wkraczającymi wojskami sowieckimi Oskar Schindler, dyrektor Deutsche Emailwaren Fabrik (DEF) w Brünnlitz na Morawach, wpadł w starannie przygotowaną "zasadzkę". Delegacja żydowskich więźniów przyfabrycznego Obozu Pracy Przymusowej po krótkiej ceremonii wzięła mu złoty pierścień z wygrawerowaną po hebrajsku tytułową inskrypcją. Był to szczególnie podarunek – prace jubilerskie wykonał więzień Licht, materiał – złoto z własnej szczyki – ofiarował inny więzień, członek delegacji Jereth.

W 30 lat później, wspominając tę scenę inżynier Adam Garde oświadczył w wywiadzie radiowym: "Miał w sobie tyle zrozumienia, tak się dla nas poświęcał, a przecież było to igranie ze śmiercią. Był dla nas jak Bóg, bardzo praktyczny Bóg". Jego żona zaś dodała: "Był... no, był jak jakiś superchrześcijanin. Kiedy do nas przemówił ostatniego dnia, popłakałam się ze wzruszenia. Chciałam go objąć, pocałować. Tyle dla nas zrobił i tak piękna była ta mowa". Mosze Bejski

Literackie i moralne walory dramatycznych poczyną Oskara Schindlera – wybaczy 1300 skazanych przez nazistów na śmierć Żydów – dostrzegł australijski pisarz Thomas Kenally i za namową, a też dzięki wydatnej pomocy uratowanych, w 1982 roku wydał powieść dokumentalną pt. "Schindler's Ark" (Arka Schindlera). Książka obiegła cały świat i doczekała się 9 wydań. Prawa filmowe wykupił Hollywood i, jak w zeszłym roku w Warszawie ujawnił agent Roberta de Niro, obraz realizować będzie inny z jego podopiecznych Martin Scorsese, reżyser m.in. słynnego "New York, New York".

Wstyd przyznać, ale w Polsce, gdzie do października 1944 roku w Krakowie na Zabłociu przy ul. Lipowej 4 mieściła się schindlerowska DEF-a, uznanemu przez Instytut Jad-waszem w Jerozolimie za Sprawiedliwego Pomiedzy Narodami jedynie *Tygodnik Powszechny* w 1984 r. poświęcił nieco uwagi, a w *Życiu Literackim* ukazała się polemika p. Dobrowolskiego, z której wynika, że Schindler działał z pobudek komercyjnych, zarobił kokosy na Żydach i był bardzo dwuznaczną postacią. Żaden z polskich wydawców przez 8 lat nie zainteresował się książką Kenally'ego.

W listopadzie ubiegłego roku w prywatnej rozmowie zagadnąłem innego Sprawiedliwego Pomiedzy Narodami, wybitnego znawcę tematu, prof. Władysława Bartoszewskiego o sens pisania o Schindlerze. Żarliwie zachęcony dotarłem do wszelkich pisanych źródeł zachodniemieckich i czterogodzinnego serialu radiowego znanej zachodniemieckiej dziennikarki Lei Rosh pt. "Häftlinge in der deutschen Industrie" (Więźniowie w niemieckim przemyśle) z 1985 r. Prawie połowę audycji stanowią wspomnienia "Schindlerjuden" – jak się nazywali w 1941 roku i z dumą nazywają do dziś "jego" Żydzi. Dotarłem również do dokumentacji uroczystości zorganizowanej w 10 rocznicę śmierci Oskara Schindlera 14.10.1984 r. przez Ackermann-Gemeinde Hessen we Frankfurcie nad Menem, w czasie której dr Dieter Trautwein powiedział m.in.: "Ostatnio bardzo często spotykałem się z ocenami przez Schindlera. Prosilili mnie:

NIECH PAN OPOWIE O TYM DALEJ, NIECH PAN POMOŻE! NIECH ŚWIAT DOWIE SIĘ O JEGO I NASZEJ HISTORII!"

powie w Tel Awiwie: "Schindler wiedział, jak dodać nam odwagi, podtrzymać na duchu. Po likwidacji getta w Krakowie obiecał nam w Zabłociu, że nas wszystkich z tego piekła wyciągnie, że będzie z nami, gdy wybiję dwunasta. I pięć minut dłużej. Nie sposób opisać wagi tych słów dla nas w 1943 roku. W tych czarnych, mrocznych czasach były naszym jedynym światłem".

8 maja 1945 roku pięć po dwunastej garnizon SS opuścił fabrykę, a Rosjanie byli o 20 kilometrów od Brünnlitz. Oskar Schindler z żoną Emilie spakowali dobytek, przebrali się w obozowe pasiaki i konwoj samochodów pod eskortą 8 więźniów-ochotników wyruszył na zachód szukając wojsk amerykańskich. W obozie pozostało 1200 Żydów, którym Schindler przyrzekł, że przeżyją wojnę.

Wspominany już Adam Garde w tym samym wywiadzie stwierdził z pro-

»Kto ratuje jedno życie, zbawia cały świat.«

Talmud, Sanhedrin 37

stota: "Schindlera nie można w ogóle porównywać z innymi ludźmi". Z całą pewnością nie można go porównać z innymi przemysłowcami niemieckimi. W realizacji goebbelsowskiego programu eksterminacji więźniów poprzez pracę, aktywny udział wzięło ponad 200 przedsiębiorstw niemieckich. Korzystanie z usług więźniów nie było przymusowe, ale i oferta SS zbyt lukratywna, by ją odrzucić: przeciętnie 3-4 Reichsmark za 12-godzinną dniówkę niewolniczej pracy, a więc 1/3 ceny na ówczesnym rynku pracy. W długiej kolejce do kas obozów koncentracyjnych SS ustawili się właściciele najpotężniejszych firm: Kruppa, Siemens, AEG, Boscha, Daimler-Benz, Forda, Telefunkena, Junkersa, BMW oraz firmy Dynamit Nobel. Śmiertelność zatrudnionych tam Żydów wynosiła przeciętnie 90%. Tylko dwóch przemysłowców III Rzeszy: sudecki Niemiec Oskar Schindler i wiedeńczyk Julius Madritsch starali się użyć losowi swoich pracowników. Zaledwie trzech odważyło się nieść aktywną pomoc Żydom. Po wojnie, niekiedy w rezultacie ciągną-

cych się przez 20 lat proces, tylko 5 firm wypłaciło jednorazowe odszkodowania 14 tysiącom byłych żydowskich niewolników w wysokości 1-2 przeciętnych miesięcznych pensji w RFN – i to w obawie przed utratą lukratywnych kontraktów w USA, przeciwko którym głośno protestowało żydowskie lobby na forum senatu i łamach prasy. Były więzień Oświęcimia, Norbert Wohlheim, który jako pierwszy w 1952 roku wytoczył koncernowi IG Farben wygrany proces o odszkodowanie, powoływały na świadka w wielu innych podobnych procesach, w 1985 roku wyznał w wywiadzie radiowym: "Kiedy dziś myślę o postawie bosów niemieckiego przemysłu z czasów wojny i ich spadkobierców podczas przesłuchań w sali sądowej, nie odczuwam nienawiści. Mam dla nich najwyższą pogardę".

Tylko jeden płacił szczerze i natychmiast – Oskar Schindler – i to najcenniejszą obozową monetą: do 2000 kalorii dziennie, odzież, papierosami i lekami, choć teoretycznie opieka nad więźniami leżała w gestii SS w ramach przekazywanych przez pracodawcę dziennych stawek. Co najistotniejsze, Deutsche Emailwaren Fabrik wypuściła 1300 skrupulatnie zrealizowanych obligacji na życie. Jeden z udziałowców, Jan Dresner, stwierdził po latach, że "Schindlerowi udało się nas uratować dzięki całej serii działań tak szybkich, karkołomnych i niebezpiecznych, że graniczących z magią. Brünnlitz, jako obóz pracy przymusowej i fabryka, był jednym nieprzerwanym, oślepiającym bezczelnością oszustwem wobec systemu III Rzeszy". Inny uratowany, Olgierd Rosner, uzupełnił: "Trzeba pamiętać, że sudecki Niemiec Schindler miał w sobie też czeską stronę. Na swój sposób był dobrym wojakiem Szwajkiem. Uwielbiał ośmieszać paranoiczny system".

Po wojnie role odwróciły się. Uratowani pomagali Schindlerowi przez całe

życie – natychmiast – bez wahań, po przez dwa specjalnie do tego celu powołane komitety w Nowym Jorku i Tel Awiwie. Wspomina Mosze Bejski: "Zawsze irytowała mnie myśl, że robimy za mało, że nie jesteśmy w stanie zgromadzić takiej ilości pieniędzy, jaką Herr Direktor potrafi wydać. A Schindler zawsze wydawał jak szalony. Ale przecież nie mogliśmy zrobić innego Schindlera". Jeszcze prozaičniej ujął to Adam Garde: "Schindler zawsze potrzebował dużo pieniędzy, ale przecież ON musiał mieć!".

W ten sposób losy Oskara Schindlera i "jego Żydów" na zawsze spłotyły się ze sobą. Kiedy zmarł w 1974 roku, na wyrażone w testamencie życzenie pochowano go w Jeruzolimie, a proto-katolickiej kaplicy po raz pierwszy i ostatni w życiu przekroczyły wówczas setki ortodoksyjnych Żydów. Historia przyjaźni niemieckiego przemysłowca z jego żydowskimi pracownikami to wzruszająca opowieść o tryumfie dobra nad złem. Nie jest bajką i mitem tylko dlatego, że zdarzyła się naprawdę. Natomiast wojenny życiorys Schindlera traci przymioty hagiografii i nabiera ludzkich wymiarów ze względu na popełniane nagminnie przez Herr Direktora grzechy "ciała": rozrzutność, słabość do rozkoszy stołu, luksusów i kobiet. "Jak to dobrze, że Oskar był nam wierniejszy niż swojej żonie" – z ulgą komentowano charakter Schindlera, a Mosze Bojski stwierdził z prostotą: "On był człowiekiem".

Kim był ten człowiek?

Oskar Schindler urodził się w 28 kwietnia 1908 r. w katolickiej rodzinie w Zwittau na Morawach w imperium Franciszka Józefa. Jego ojciec, fanatyczny zwolennik monarchii, jak i matka uważali się za Austriaków. W domu mówiono po niemiecku. Po I wojnie Morawy weszły w skład nowo utworzonej Republiki Czechosłowacji. W Zwittau, ze względu na mieszczących tam Niemców sudeckich, istniało niemieckie gimnazjum, gdzie Oskar pobrał solidne techniczne wykształcenie i zdał egzamin maturalny. Ojciec Hans Schindler był właścicielem małej fabryczki narzędzi rolniczych, zatrudniającej ok.

50 pracowników. Oskar po skończeniu gimnazjum i odbyciu służby wojskowej w armii czechosłowackiej pracował jako komiwojażer do 1935 roku, kiedy to Hans Schindler zbankrutował i opuścił rodzinę. Jednak do tego czasu rodzina Schindlerów żyła we względnym dobrobycie, w willi z ogromnym ogrodem, a Oskar, ku zaskoczeniu rówieśników, jeździł na ekstrawaganckim motocyklu próbując z powodzeniem sił na torach wyścigowych. W wieku lat 20 Oskar ożenił się z Emilię, córką austriackiego właściciela ziemskiego z Alt-Molstein. Nieco później młody Schindler wstąpił do faszystowskiej Partii Niemców Sudeckich. Kiedy rodzinny interes zbankrutował, handlowe i towarzyskie talenty Oskara doceniła morawska Elektro-technika w Brnie, gdzie znalazł zatrudnienie jako szef działu zbytu.

Jak wspominał Oskar, Hitler nigdy nie cieszył się wielką popularnością w rodzinie Schindlerów, a po wkroczeniu wojsk niemieckich na Morawy, grabieży czeskich majątków i tyrańskich popisach komisarza cywilnego w tzw. protektoracie Czech i Moraw, przywódcy hitlerowców z Czechosłowacji Konrada Henleina, stosunek do "Führera" nacechowany był niechęcią. Późniejszy wierny sojusznik Schindlera w akcji ratowania Żydów, małżonka Emilie, potępiała Hitlera również ze względów religijnych – za przywłaszczanie sobie atrybutów boskości.

Nie znaczy to wcale, że trzydzistoparoletni Schindler potępiał terytorialne podboje III Rzeszy. Przeciwnie – w jakiś sposób nawet przyłożył do nich rękę. Osobisty urok Oskara, łatwość nawiązywania kontaktów, towarzyskie obycie i odporność na duże ilości pochłanianego alkoholu nie umknęły uwadze Abwehry. Jesienią 1938 roku, podczas bankietu w sanatorium pod Ostrawą niejaki major Gebauer namówił Schindlera do współpracy. Szpieg Oskar Schindler, jako przedstawiciel handlowy firmy Elektrotechnik, zbierał informacje o polskich umocnieniach wojskowych wzdłuż południowej granicy i werbował agentów. W czasie wojny zaś zadanie Schindlera polegało na pisaniu szczegółowych raportów o poczynaniach konkurentów Abwehry, np. SS. Praca w wywiadzie posiadała i tę zaletę, że zwalniała z obowiązku służby wojskowej.

Kiedy więc w październiku 1939 roku Oskar Schindler pojawił się w Krakowie, by zostać kapitalistą korzystającym z wojennej i antyżydowskiej koniunktury, posiadał świetne rozeznanie w terenie.



Polscy i żydowscy urzędnicy przed fabryką Schindlera w Krakowie w 1940 roku
 fot. Arch.

Sytuacja Żydów w Krakowie

"W XIV wieku Kazimierz Wielki sprowadził Żydów do Krakowa nadając im liczne przywileje. Mieli za zadanie ożywić handel i gospodarkę miasta. Przed wybuchem II wojny mieszkało w Krakowie 60 tys. Żydów, którzy w procesie pięciowiekowej ścisłej współpracy i współżycia z resztą mieszkańców w pełni zintegrowali się" – pisze w autobiograficznej powieści świadek ostatnich dni krakowskiego getta, reżyser Roman Polański. Trzeba dodać, że z istniejącego na Kazimierzu getta Żydzi mogli wyprowadzić się do innych części miasta na mocy specjalnego zarządzenia Franciszka Józefa z 1867 r., a proces "pełnej integracji" zakłócały powracające fale antysemityzmu – ostatnia z międzywojennych lat 30-tych, o czym reżyser taktownie milczy.

Podczas okupacji niemieckiej pierwsze zarządzenia antysemickie gubernator Frank wydał już w październiku 1939 roku. W dn. 23.10.1939 zarządzone przeładunek żydowskich depozytów i oszczędności w bankach na rzecz niemieckiej administracji, a w ramach procesu "arianizacji gospodarki" wyszczególniono żydowskich właścicieli przedsiębiorstw i spółek. Do zarządzania byłym żydowskim majątkiem powołano specjalny trust. Żydowskie szkoły zlikwidowano w grudniu pierwszego roku wojny. Do połowy marca 1940 wszystkich Żydów zamknięto w getcie na Podgórze. W rok później Żydzi przestali otrzymywać zapłatę za wykonywaną pracę, a jedynym ekwiwalentem stały się marne racje żywnościowe. W czerwcu 1942 r. w ramach "Akcji" wywieziono do obozów zagłady "nieproduktywny i nieprzydatny element żydowski". Wreszcie 13 marca 1943 r. oddziały specjalne SS zlikwidowały krakowskie getto umieszczając Żydów zatrudnionych w priorytetowym przemyśle niemieckim w specjalnie do tego celu wybudowanym obozie koncentracyjnym w podkrakowskim Płaszowie.

To suche kalendarium kryje za sobą niemal 60 tysięcy ofiar perfekcyjnie zorganizowanego mordu, bezmiar ludzkich tragedii i cierpienia.

Deutsche Emailwaren Fabrik

Dyspozytorzy zarekwirowanego Żydom w Polsce niebagatelnego majątku trwałego potrzebowali gwałtownie zaufanej kadry przemysłowych nadzorców i dzierżawców. Przedsiębiorczy i ambit-



Plan krakowskiego getta

ny, wówczas 31-letni Oskar Schindler postanowił wykorzystać życiową szansę i w końcu październik zjawił się w Krakowie w odpowiednim biurze pośrednictwa, by przejąć z charakterze dzierżawcy zbankrutowaną firmę Rekord, przemianowując ją na DEF i zając się odlewaniem naczyń kuchennych dla potrzeb Wehrmachtu. Nieco później, pragnąc dodać zbrojeniowej powagi całemu przedsięwzięciu, Schindler zdecydował się na uruchomienie produkcji 45-mm pocisków przeciwzołgowych, które zresztą, zgodnie z intencjami producenta, nigdy nie trafiły na front.

Trzeba pamiętać, że urzędnicy niemieckiej administracji w Generalnej Guberni z dnia na dzień stali się szafarzami sporego żydowskiego majątku i wraz z dysponentami zamówień – kolegami z Głównego Inspektoratu Zbrojenia, przesądzało o losach małych i średnich kapitalistów. Kwitła korupcja i nepotyzm, a co się z tym wiąże, czarnorynkowa produkcja i handel. Oskar Schindler, producent garnków i menażek, umiał i wiedział komu wręczać łapówki. Wkrótce stał się championem drugiego obiegu gospodarki w Krakowie, a od 1941 r. na niesiegananej liście plac DEF-y figurowali również dostojnicy SS – zgodnie z dekretem z 20.03. właściciele taniej, niewolniczej siły roboczej z wielomilionowej populacji więźniów obozów koncentracyjnych i gett.

Schindler jednak nie do końca ufał swoim rodakom. Poza tym potrzebował kapitału i lokalnych powiązań. Otoczył więc swój interes formalną i nieformalną grupą żydowskich pretorianów: Itzhak

Stern pełnił rolę doradcy ekonomicznego i głównego księgowego, Abraham Bankier werbował żydowskich inwestorów, którym udało się ukryć przed SS resztki majątku, a Leopold Pfefferberg pośredniczył w niektórych transakcjach czarnorynkowych.

Deutsche Emailwaren Fabrik urodziła się w grudniu '39, szczególnie spowita siecią legalnych i nielegalnych powiązań, w które zamieszani byli w równym stopniu skorumpowani urzędnicy III Rzeszy jak i ich wówczas jeszcze potencjalne ofiary. Oskar zdobył pierwsze kontrakty wojenne zimą 39/40, a po kilku miesiącach zatrudnił kilkuset Żydów. Latem 1944 r. było ich 1100.

Wspomina Itzhak Stern: "Schindler spotkałem pod koniec października '39 w Krakowie w biurze Buchheistera, gdzie byłem księgowym. Pytał o techniczną i praktyczną stronę rozwinięcia działalności przemysłowej. Robił bardzo przyzwite wrażenie. Był bardzo otwarty. Kiedy zgodnie z zarządzeniem Franka uprzedziłem go, że jestem Żydem, powiedział: »No to świetnie. Ja jestem Niemcem. Porozmawiajmy». Drugi raz zobaczyłem go 3 grudnia. Ostrzegł mnie o planowanej na następny dzień przez SD i SS akcji przeciwko Żydom na ulicy Józefa i Izaaka. Wówczas już wiedziałem na pewno, że mam do czynienia z rzadkością w tych strasznych czasach: ze sprawiedliwym gojem".

Sprawiedliwy goj

20 marca 1941 r. bramy getta na Podgórze zamknięte są za ostatnim niewolnikiem. Od tego dnia Żydzi pracowali za kartki żywnościowe. Wkrótce też stało się jasne, że szanse przetrwania mają wyłącznie osoby zatrudnione w gałęziach gospodarki istotnych dla interesów III Rzeszy". Na długi przed pierwszą Akcją Specjalną w getcie w czerwcu '42 r. w biurze DEF-y odbyło się ważne spotkanie: urzędnik Judenratu Roman Ginter i Itzhak Stern wręczyli się z próbą do Schindlera i Juliusa Madritscha, właściciela zakładów szycących mundury dla Wehrmachtu, o zatrudnienie Żydów. Obaj zgodzili się. Za kilka miesięcy wieść dotarła do Madritsch z własnej kieszeni i dzięki aktywnej współpracy swego pełnomocnika Raimunda Titscha będzie regularnie dokarmiał kuczkami i chlebem przeszło 4000 swych żydowskich pracowników. Natomiast Schindler, chcąc częściowo przynajmniej użyć doli zatrudnionych, odstąpił im miejsca noclegowe na terenie fabryki.

Praca w DEF-ie nie była lekka, jednak pracowników traktowano po ludz-

Ku Herr Direktor wręcz familiarnie – per "ty", SS nie patrolowało fabryki, więc robotnicy nie musieli obawiać się normalnych na ulicach getta pobić, poniżeń czy ad hoc przeprowadzanych egzekucji. 28 kwietnia '42 r. Herr Direktor obchodził hucznie 34 urodziny. Codziennej zupie towarzyszyła rzadkość: biały chleb i paczka papierosów. Delegacja polskich i żydowskich pracowników przyszła złożyć Schindlerowi życzenia. Strzelały korki szampana, uściskom i pocałunkom nie było końca. Jeden z nich mógł być pocałunkiem śmierci. Nazajutrz solenizant, oskarżony o wykroczenie przeciwko ustawie rasowej – pocałowanie Żydówki – znalazł się w więzieniu na Montelupich. Opuścił je dopiero po pięciu dniach dzięki łapówkom i interwencji wysoko postawionych przyjaciół. Z celi wydobył go osobiście, choć nie za darmo, szef krakowskiej SD (służby bezpieczeństwa) Rolf Czurda mówiąc: "Oskar, Oskar! My ci dajemy te Żydówki za 5 Reichsmark dziennie. To nas powinieneś całować".

3 czerwca '42 r. administrator DEF-y Abraham Bankier i 11 innych pracowników nie stawilo się na ranną zmianę. Z powodu braku odpowiedniego stempla w kennkarcie, SS, w ramach pierwszej Akcji Specjalnej przesunęli ich na wywóz. Schindler ruszył z odsieczą i wygrał o włos pierwszą ze swych spektakularnych walk z czasem i śmiercią. Na stacji w Prokocimiu udało mu się wyostać swych podopiecznych z bledych wagonów dostownie na sekundy przed odjazdem do komór gazowych Bełżca.

Następnego dnia Oskar wybrał się na przejażdżkę konną. Towarzyszyła mu niemiecka kochanka Ingrid. Na wzgórzach Parku Bednarskiego oboje stali się przypadkowymi świadkami masakry w leżącym poniżej getcie. Kiedy SS-man na ulicy Krakusa butem przygniół głowę chłopca do chodnika, by go zastrzelić, Oskar zsiadł z konia i zwrócił wytworne niedzielne śniadanie robiąc miejsce w żołądku na przetrwanie barbarzyństwa swoich rodaków.

Później oświadczył: "Od tego dnia żadna osoba przy zdrowych zmysłach NIE MOGŁA nie domyślać się, co stanie się z Żydami. Tego dnia postanowiłem zrobić wszystko, co w mojej mocy, by zniszczyć ten system." Od tego dnia producent patelni i garnków, Oskar Schindler, nowo zatrudnianym Żydom w rozwijającej się DEF-ie, dawał gwarancje czyniące zeń Boga darującego życie: "Witam was w Deutsche Emailwaren Fabrik. Od dziś jesteście częścią tych zakładów. Będziecie tu bezpieczni. Jeśli

będziecie tu pracować, przeżyjecie wojnę."

Konspirator Oskar

Jesienią 1942 roku cały świat, a nawet syjonisci w Palestynie nie wiedzieli niczego konkretnego o losach Żydów w okupowanej przez Niemców Europie. Jednak plotki i niewiarygodne relacje zbiegów budziły niepokój. W Istambule powstało syjonistyczne biuro informacyjne, gromadzące również środki na pomoc. Najpierw, by rozeznac sytuację, wysłano pocztówki tej samej treści do wszelkich znanych europejskich Żydów: "Jak się macie? Eretz tęskni za Wami." Eretz po hebrajsku znaczy "Ziemia", a dla każdego syjonisty "Izrael". Na wiele tysięcy takich pocztówek przyszła tylko jedna odpowiedź z Budapesztu: "Piszę zachęcony Waszym zainteresowaniem moją sytuacją. Gdzie mieszka Rahamin Maher? Pozostaliśmy w kontakcie." "Rahamin maher" znaczy po hebrajsku "nagła pomoc". Autorem był budapeszteński jubiler Samu Springman, który po nawiązaniu kontaktu podjął się zorganizować sieć kurierów.

W Talmudzie znajduje się legenda o Hasidei Ummot Ha-olam, z której wynika, że na Ziemi w każdej chwili znajduje się 36 Sprawiedliwych Pomiędzy Narodami. Z ich polską listą przybył do Krakowa kurier Springmana, wiedeński dentysta dr Sedlacek, działający z pobudek idealistycznych. Na drugim miejscu listy widniało nazwisko Schindlera. Rewelacje Oskara były tak niewiarygodne, że dr Sedlacek poprosił o powtórzenie opowieści jego mocodawcom w Budapeszcie. W miesiąc później, właściciel czterech limuzyn, belgijskiej "minervy", "maybacha", BMW i "adlera" kabrio – przekraczał nielegalnie granicę z Węgrami na pace ciężarówki, ściśnięty między paczkami tuby propagandowej Goebbelsa *Völkischer Beobachter*. Tym razem dla

poparcia swej relacji wiozł listy do hebrajsku od dr. Chaima Hilfsteina, Leona Salpetera i Itzhaka Sterna. Okazało się jednak, że Europa z przełomu 1942/43 nie była przygotowana na straszną prawdę i dane Schindlera o likwidacji 4/5 mieszkańców getta w Warszawie, 2/3 w Łodzi, 50% w Krakowie zostały przyjęte ze sceptycyzmem. Np. Samuel Stern, członek Parlamentu Brytyjskiego, przewodniczący Rady Żydowskiej, określił je jako "fantazję i policzek wymierzony niemieckiej kulturze". Schindler zgodził się więc na następną niebezpieczną podróż – do Istambułu.

Do podróży tej nie doszło. Jednak w połowie '43 roku, kiedy dr Sedlacek w towarzystwie szwajcarskiego przemysłowca żydowskiego pochodzenia, p. Babara, przybył do Krakowa, by zebrać kolejną porcję dokumentacji, Schindler zorganizował "kolegom-przemysłowcom" wizytę w obozie koncentracyjnym w Płaszowie. Pan Babar, jak każdy turysta, zaopatrzył się w aparat fotograficzny i kiedy uczestnik "wycieczki" Itzhak Stern uznał jakiś obozowy obrazek za godny fotograficznej dokumentacji, pochylał się, by "zawiązać sznurowadło".

DEF-a okazała się znakomitym punktem przerzutowym dla pieniędzy zgromadzonych przez organizację w Istambule i regularnie dostarczanych Schindlerowi przez dr. Sedlaka.

Amon Göth – anioł śmierci

W końcu lutego '43 r. do Krakowa przybył Untersturmführer SS Amon Göth. W uznaniu zasług położonych przy likwidacji getta w Lublinie powierzono mu identyczną misję w Krakowie. Poza tym wiedeńczyk Amon miał zorganizować i objąć pieczę nad obozem koncentracyjnym w Płaszowie pod Krakowem, gdzie przeniesiono "produktywny element żydowski" po likwidacji getta.

Krwawe panowanie nad Płaszowem Göth rozpoczął mocnym uderzeniem: pier wszego dnia rozkazał zastrzelić architektkę Dianę Reiter tylko za to, że osmieiliła się wdać w fachową dyskusję z Oberscharführerem Hujarem na temat sposobu budowania dalszych baraków. Jej dyplom architekta-inżyniera, wydany przez uniwersytet w



Ulica na krakowskim Kazimierzu



20 marca 1941 r. bramy getta na Podgórzu zamknięły się za ostatnim niewolnikiem...

Mediolanie, Amon Göth, ojciec trojga dzieci, syn wiedeńskiego wydawcy, unieważnł jednym strzałem w potylicę.

Egzekucje więźniów Płaszowa stały się rutynowymi czynnościami komendanta. Göth mieszkiał na terenie obozu. Bardzo często pojawiał się na ganku z rewolwerem lub sztucerem i wynajdywał sobie ofiarę – ruchomy cel. Raz nawet zastrzelił więźnia z rewolweru z okna łazienki nie przerywając golenia. Myśliwskiej pasji komendanta towarzyszył często sadyzm, a znęcanie się nad więźniami było jego codzienną rozrywką. Kiedy komendant zmęczł się maltretowaniem więźnia, wzywał na pomoc swoje dwa wilczury – Rolfa i Ralfa. Göth stał się uosobieniem śmierci. Dyskutując nad charakterem komendanta Sedlacek i Schindler zaczęli przypuszczać, że krwawe ekscesy wynikają po części... z fatalnej jakości bimbrowego, pitego przez Amona dosłownie litrami. Jako antidotum Untersturmführer Göth z rąk Oskara, a za pieniądze organizacji Sedlacek, otrzymał skrzynkę najprzejdniejszego francuskiego koniaku. Na skuteczniejszy pomysł wpadł jednak Raimund Titsch, organizator potajemnego dożywiania Żydów w fabryce Madritscha: potrafił kilka razy w tygodniu przez 3 godziny przegrzywać z Göthem w szachy.

Inną pasją Götha były pieniądze i otaczanie się luksusem. Nieograniczona władza nad 30 tys. niewolników stwarza-

ła również nieograniczone możliwości malwersacji. Za każdego z nich od pracodawców do kasy obozowej wpływało codziennie od 3 do 6 Reichsmark. Göth do tego stopnia sprzeniewierzał pieniądze SS, że w połowie 1944 roku dostał się na kilka miesięcy do więzienia i utracił stanowisko. Z całą pewnością głodowe racje żywnościowe w Płaszowie (700-1100 kalorii dziennie) więźniowie zawdzięczali po części niezaspokojonemu apetytowi komendanta, który z biegiem czasu stał się, podobnie jak Oskar, potentatem krakowskiego czarnego rynku.

Jednak w 1943 roku Amon Göth był przede wszystkim ambitnym oficerem SS. Najpierw gorliwie dopilnował likwidacji getta i jego 4 tysiące mieszkańców, a od połowy marca całą energię skierował na przeksztalcenie Płaszowa w prywatne imperium. Usiłował nakłonić niemieckich przemysłowców, by przenieśli swoje fabryki na teren obozu, co mu się po części udało. Natomiast pełnym sukcesem uwiecznione zostały starania Götha o nadanie obozowi w Płaszowie również statusu obozu przejściowego – dla odciążenia kombinatu śmierci Auschwitz. W Płaszowie nie było komór gazowych. Jednak nieopodał, na wzgórzu, gdzie niegdyś znajdował się fort austriacki, na rozkaz Götha zamordowano ok. 80 tys. osób!

Los pracowników Schindlera wydawał się przesadzony.

Oskar – anioł opatrności

Jednak gorliwość Götha w maltretowaniu więźniów podsunęła Schindlerowi zbawienną ideę. Wielokrotnie pracownicy DEF-y nie przychodzili do pracy z powodu przedłużających się apelii, publicznych chłostek czy egzekucji. Poza tym codziennie przemierzana przez nich dwukrotnie odległość od Płaszowa na Lipową wynosiła 4 kilometry. Dlatego też Oskar, zdobywając poparcie trzech innych przemysłowców, za skromną łapówkę uzyskał już na wiosnę '43 r. pozwolenie wybudowania dla swoich pracowników podobozu na terenie przylegającym do fabryki. W ten sposób latem stanął obóz dla 1100 osób. Obóz tym dziwniejszy, że na jego teren, podobnie jak do samej fabryki, SS nie miało wstę-

pu. Skoficyli się chłosty, pobicia i egzekucje. Staraniem Oskara skromny garnizon SS ciągle się zmieniał i nie posiadał stałego komendanta, za to bezustannie pojony był wódką i karmiony co lepszymi kaskami z schindlerowskiej kuchni. W ten sposób Herr Direktor kupował swoim podopiecznym spokój. Na wypadek niespodziewanej wizyty SS Schindler kazał zamontować w halach fabryki dzwonek, a przycisk umieścić na swoim biurku. Dzięki wybudowanym prysznicom i pralni więźniowie uniknęli epidemii tyfusu, a nie zmarli z głodu tylko dlatego, że Herr Direktor co miesiąc na czarnym rynku z własnej kieszeni wydawał 50 tys. zł na dożywianie – czyli tyle, ile wówczas kosztował solidny "mercedes".

W 40 lat później spytany przez dziennikarkę o różnicę między Płaszowem a obozem DEF-y Adam Garde zirytuje się: "Pewnie, że było nam ciężko. Ale pani nie nie rozumie! Co to w ogóle za pytanie?! To była różnica jak między niebem a ziemią!"

Sąd apelacyjny Oskara Schindlera

Amon podczas pierwszej wizytacji podobozu na Zabłociu rozkazał swemu gorylowi, byłemu zapaśnikowi Grünowi, zastrzelić więźnia Lamusa, za to, że za wolno pcha taczkę. Oskar poprosił, by egzekucji nie wykonywać na terenie fabryki, bo mogłoby to wpłynąć na "morale" pracowników i przez to obniżyć wydajność pracy. Następnie dogonił Grüna prowadzącego Lamusa w ustronne miejsce. Wydany naprędce akt łaski kosztował litr wódki.

Innym razem, kiedy Schindlera nie było w Krakowie, bracia Danziger zepsuli prasę hydrauliczną. Natychmiast przetransportowano ich z DEF-y do Płaszowa, gdzie następnego dnia podczas apelu odczytano obwieszczenie: "Dziś o godz. 18.00 więźniowie będą świadkami egzekucji dwóch sabotażystów." W międzyczasie Oskar wrócił i na trzy godziny przed wykonaniem wyroku zjechał pod biuro Götha, by wieczorem w triumfalnym geście pokazać na placu zablockiego obozu swoje trofeum: dwóch żywych braci Danziger.

Nieco później gestapo w Krakowie wpadło na trop fałszerza dokumentów. Wśród gotowych aryjskich papierów znaleziono kennkarty małżeństwa Wohlfeilerów, pracujących w DEF-ie. Następnie ranka dwóch gestapowców zjechało do zablockiego obozu po swe ofiary. Pod wieczór, na chwiejnych nogach, objuczeni prezentami, wyszli z gabinetu

Herr Direktora, a państwo oholfeilerowie przegrali wojnę.

Takich przypadków było wiele i można potraktować je jako dzieło nieskomplikowanego przekupstwa. Często jednak ratowanie życia swych podopiecznych wymagało od Oskara nie la-da umiejętności aktorskich.

Jan Dresner, już w Brünnitz, podczas nieobecności Schindlera przejął jedną z płyt hydraulicznej prasy. Niemiecki inżynier Schönbrun doniósł o akcie sabotażu komendantowi Liepoldowi. Jako że od pewnego czasu wszelkie wyroki śmierci w obozach pracy musiały być zatwierdzone przez zarząd w Oranienburgu, Liepold powołał "komisję" do zbadania sprawy. Oskar wrócił tak późno, że nie udało mu się załatwić sprawy polubownie. Wobec tego zażądał postawienia się na czele komisji, argumentując szalenie, że przecież zniszczona prasa należy do niego. Podczas przesłuchania Dresnera Herr Direktor z trudem hamował opanowujący go gniew. W pewnym momencie kazał więźniowi powtórzyć zdanie i dosłownie eksplodował. Mając za plecami komendanta Liepolda podbiegł do więźnia, puścił oko i z całej siły walnął go w szczękę. Następnie odwracając się do członków komisji wrzasnął: "Głupota tych ludzi jest wprost nie do wiary! Są za głupi nawet na najprostszy sabotaż! Szkoda, wtedy mógłbym się dobrać im do d... A tak?! Zwyczajna strata czasu".

Następnie spojrzal na zamrozonego Dresnera: "Wynocho!!!". W ten sposób Schindler sabotaował sądy III Rzeszy.

Nieco światła na charakter Schindlera rzuca następująca relacja Itzhaka Sterna: "Rabin Menasza Lewartow pracował w obozie w Płaszowie jako ślusarz. Wyrok śmierci miał wypisany na twarzy. Miał jakieś takie spojrzenie, taką aparycję, które zawsze prowokowały Götha. Kiedyś komendant wszedł do warsztatu.

Od razu podszedł do Lewartowa i spytał:

- Co robisz?
- Zawiasy.
- Zrób mi jeden - Göth wyciągnął zegarek - jeszcze jeden.

Minęła minuta i gorliwie pracujący rabin skończył drugi zawias. Göth spokojnie przeliczył wszystkie łączące w pu-delku obok zawiasy.

- Siedzisz tu od szóstej rano i zrobisz tak mało? A przecież umiesz tak szybko pracować...

Rabin wiedział, że zapracował sobie na własną śmierć. Göth wyciągnął rewolwer, ale zamiast strzału rozległo się tylko suche «klik», za chwilę znowu. Göth przeklął i wyciągnął z kieszeni ma-letki pistolet - taki, z jakich kobiety strzelają w amerykańskich filmach. Ale ten też się zaciął! Göth uderzył Lewartowa po głowie jakimś prętem i wyszedł trzaskając drzwiami. Poszedłem do Schindlera i mówię mu, że jeśli nie przyjmie Lewartowa natychmiast do DEF-y, to nie pożyje długo. A Schindler, który lubił się ze mną przekomarzać, kiedy już trochę ochłonął (bo bardzo się przejął), zupełnie spokojny, powiada:

- Itzhak, po co to długie gadanie? W Emalii jest zawsze miejsce dla faceta, który robi zawias w 30 sekund."

Następnego dnia Oskar za 12 tys. zł "kupił" od zastępcy Götha, Scheidta, 30 metalowców. Wśród nich byli Menasza Lewartow z małżonką i starsi państwo Perlmann, których córka, ukrywająca się w Krakowie na sfalszowanych argentyńskich papierach, zdekonspirowała się przed Schindlerem prosząc o przyjęcie rodziców do "Emalii".

Tego samego tygodnia w piątek popołudniu Schindler podszedł do warsztatu Menaszy: "Rabinie, co ty jeszcze tutaj robisz? Powinieneś przecież przygotowywać się do szabasu..." i wsunął mu do kieszeni butelkę wina. Od tej pory w

piątek rabin Lewartow zwałniany był wcześniej, by w baraku obozu koncentracyjnego, pod czujnym okiem SS, nad pucharem wina odmawiać Kidusz.

Helena Hirsch była żydowską służącą i zarazem ofiarą Götha. Maltretował ją codziennie za wyimaginowane niedopatrzenia, a kiedy się zmęczył, szczał na nią swoje dwa alzacckie owczarki. Brutalność i sadyzm Amona budziły odrazę nawet wśród często zapraszanych na libacje dostojników SS. Komendant kilkakrotnie skazał ją na śmierć, jednak cofał wyroki. Pewnego dnia, częsty gość Götha, Oskar, odwiedził Helenę w kuchni i wypowiedział swoje sakramentalne: "Ja cię z tego wyciągnę". Jednak Göth nie chciał pozbywać się sprawnej służącej i starania Oskara, by w jakiś sposób związać ją z personelem DEF-y, spełzały na niczym. Pewnego dnia, tuż przed ewakuacją obozu w Płaszowie, Oskar wpadł do willi komendanta, by zagrać w oko. Karta szła mu tak świetnie, że po kilku godzinach Göth przegrwał dość znaczną sumę. Wówczas Oskar złożył mu propozycję, której nie oprze się żaden rasowy hazardzista: następane rozdanie ma być grą o podwójną przegraną Götha. Na swojej szali Oskar położył życie Heleny Hirsch.

Karty musiał rozdawać Pan Bóg - Oskar dostał dwójkę, ósemkę i asa, 21 oczek.

W lecie 1944 r. Rosjanie byli już pod Warszawą. Na Płaszów i Emalię zapadł wyrok: miały ulec likwidacji. Więźniów postanowiono "relokować". Już w września zlikwidowano podobóz DEF-y, a więźniowie wrócili do potwornego Płaszowa, by tam oczekiwać wywózki do kamieniołomów Gross-Rosen (mężczyźni) i Auschwitz (kobiety). Ich los zdawał się być przesądzony - tym bardziej, że Schindler opuścił Kraków. cdn

*** PRZEGLĄD PRASY * PRZEGLĄD PRASY * PRZEGLĄD PRASY * PRZEGLĄD PRASY ***

W KRAJU WĘGLA I STALI, TO JEST W POLSCE

Polska jest na najlepszej drodze, by stać się trującym śmietnikiem Europy - stwierdził magazyn NATUR.

Tylko w ubiegłym roku ponad milion ton wysocę trujących odpadów przemysłowych z Zachodu trafiło do Polski. Nawet odpady radioaktywne znajdują się na handlowej liście zachodnich dostawców i polskich importerów. Ładunek zakamufłowany jako "nieszkodliwy surowiec", wykorzystuje się w kopalniach lub hutach.

(TAGESSPIEGEL, 23.12.89)

WARUNKI KREDYTÓW DLA POLSKI

Podpisanie wstępnego porozumienia między Polską i Międzynarodowym Funduszem Walutowym oznacza zaaprobowanie przez Polskę radykalnego planu odnowienia gospodarki. Dla ludności oznacza to w nadchodzącym roku zmniejszenie realnych dochodów o ok. 20% i znaczne inne obciążenia wynikające ze zniesienia państwowych subwencji. Jednocześnie jednak podpisanie umowy z Międzynarodowym Funduszem Walutowym otwiera drogę do urzeczywistnienia zachodnich obietnic kredytowych w wys. 1 mld dolarów. (TAGESSPIEGEL, 24.12.89.)

PROF. GEREMEK: "POWRÓT DO WOLNOŚCI W EUROPIE ŚRODKOWEJ"

Zanikanie komunizmu, które przeżywamy w Europie nie jest zwycięstwem kapitalizmu nad komunizmem. Procesu tego nie można też rozumieć jako konfliktu między obu tymi systemami. Jest to powrót do wolności w Europie Środkowej, zwycięstwo wolności nad formami totalitaryzmu - powiedział prof. Bronisław Geremek podczas sympozjum zorganizowanego przez tygodnik DIE ZEIT na temat: "Koniec komunizmu - i co teraz?"

(DIE ZEIT, 29.12.89)

Ślązacy — ani Polacy, ani Niemcy!*

Fryderyk Kremser

Zmiana skóry czy odpadanie tynku?

W związku z artykułem pt. "Ślązacy: Polacy czy Niemcy" (autor Janusz Grula) w nr. 4/156 Waszego pisma, nawiązuję się następujące uwagi. Wykładnia problemu zawarta w artykule nie odbiega od stereotypu przyjętego w prasie polskiej. Jest płytki i zdradza brak zrozumienia jego autora dla sedna sprawy.

1. Zaczęć od mniej istotnej sprawy. Podpis pod zdjęciem "Biblioteka Kręgu Przyjaciół Niemiec w Opolu" (fot. AG-MO) nie odpowiada prawdzie. W Opolu takiego stowarzyszenia czy kręgu nie ma, więc i biblioteki takiej nie ma. (Zdjęcie było drukowane w *Schlesische Nachrichten* i dotyczy Zabrze). Żle tłumaczona jest nazwa *Deutscher Freundschafskreis*. Powinno być: niemiecki krąg (lub koło) przyjaciół. Chodzi o to, że to są Niemcy, a nie np. Mongołowie czy Polacy będący przyjaciółmi Niemiec.

2. Sam tytuł artykułu jest odbiciem stereotypu myślenia i traktowania Ślązaków przez Niemców i Polaków. Nacionalistów każdej z tych stron anektują Ślązaków, nie pytając ich o zdanie. Pierwszy błąd polega na tym, że Ślązaków etnicznych po prostu nie ma. Są albo Dolnoślązacy, czyli Niemcy w RFN, albo Górnoślązacy o słowiańskim rodowodzie, ale to nie to samo co Polacy. Słowiańskie pochodzenie Górnoślązaków nigdy przez Niemców kwestionowane nie było. Stanowią oni formację etniczną, która zatrzymała się w swoim rozwoju politycznym i nie stała się narodem. Z tej też przyczyny szuka ona narodowej tożsa-

mości w oparciu o swoich "zaborców" polskich i niemieckich. Kraina górnośląska była przez wieki rodzajem protektoratu i jest nim faktycznie nadal. Po roku 1945 zaistniała szansa pozyskania Górnoślązaków przez Polskę i rozwiązania problemu ich przynależności narodowej. Polacy jednak jeszcze raz ujawnili swoje talenty do panoszenia się na cudzym podwórku i Polska zraziła sobie Górnoślązaków ostatecznie, tak jak zraziła sobie Łemków, Ukraińców i inne mniejszości. Krótko mówiąc, Poczdam przydzielił PRL ziemię śląską, ale serc mieszkańców ona nie zdobyła.

Górnoślązacy nadal są grupą etniczną o własnym obliczu. Ciekawych odsyłam do badań prowadzonych przez Instytut Śląski w Opolu, które tę sprawę w pełni potwierdzają.

3. "Skąd wzięły się całe grupy ludności, które przypomniały sobie teraz o swoim pochodzeniu..." Skąd takie przypuszczenie, że TERAZ? Grupa ta to w przeważającej części ludność autochtoniczna na Górnym Śląsku. Przez cały czas istnienia PRL grupa ta trwa przy swoim. Nie posiadała jednak możliwości wyartykułowania się. Jeśli tak, to mogę spytać: skąd w Polsce tylu antykomunistów? Przecież widziałem ich maszerujących w pochodach majowych, demonstrowujących, podpisujących protesty przeciwko imperialistom, skandujących na cześć przywódców, zasuwasujących w czynach partyjnych, odbierających multum odznaczeń i dyplomów.

4. (Ślązaków)

"...najpierw zamknięto w obozach przejściowych, a następnie wywieziono na Zachód". Jeżeli już, to najpierw obrabowano, katowano, znieważono, bito, nawet mordowano, zamykano w obozach, które my również nazywamy koncentracyjnymi. Tam morzono głodem,

itd. wg receptury faszystowsko-bolszewickiej. W RFN istnieje obszerna dokumentacja na ten temat, a w Opolu na tej podstawie odbył się swego czasu proces oprawców z Łambinowic, morderców kilku tysięcy Niemców Śląskich.

5. (Śląsk) "...od wieków był miejscem ścierania się dwu kultur, języków, obyczajów — polskiej i niemieckiej". To nie tak. Jeżeli już, to trzech, bowiem przez parę wieków panował tu język czeski i wpływy czeskie. Ścierania się tych kultur nie było, albo było minimalne. Elementem miastotwórczym byli tu Niemcy, więc w miastach panowała ich kultura, a przenikający do nich Polak przyjmował ją i asymilował się. Na wsi panował żywioł ludowy, słowiański i tam żyjący Niemiec także asymilował się. Kultury te istniały obok siebie, a kupiec, który chciał robić interesy z ludnością wiejską, musiał uczyć się mowy ludu. Odwrotnie, przedstawiciele ludności wiejskiej przy podobnej okazji uczyli się niemieckiego. Tak było do chwili podniesienia głosu przez nacionalistów niemieckich i polskich. Tym rzekomym patriotom Górny Śląsk zawdzięcza niepokoję i "ścieranie się", łącznie z powstaniem. Górnoślązakom obca była kultura Polski szlacheckiej — przyjmowali kulturę mieszczańską. Ponadto udział Śląska w kulturze polskiej był znaczny w tym sensie, iż to właśnie Śląsk był stroną dającą.

6. "...czego dowodem jest olbrzymia liczba osób emigrujących do RFN. Przez wiele lat nie było na tym terenie żadnych takich przypadków, z wyjątkiem kilku chętnych, którzy szybko otrzymali paszporty i wyjechali". Cyniczne kłamstwo to czy ignorancja? Żadne z nich nie może przytrafić się poważnemu autorowi. Ludzie latami ponawiali wciąż odrzucane podania o wyjazd, i to nie kilka osób, ale dziesiątki tysięcy.

Nawiązując do cytowanego przez Was artykułu z *Tribuny Opolskiej* pt. "Zmiana skóry", odpowiedziałem sobie na problemy w nim zawarte i stawiam do Waszej dyspozycji swoją odpowiedź, która *Tribunie Opolskiej* nie spodobała się.



Cosele, dzisiaj Koźle: "Elementem miastotwórczym byli tu Niemcy..."



"Ślązacy w swoim skansenie żyją paręset lat".

Na zdjęciu Góra św. Anny

Przed pierwszą wojną światową na przeludnionej wsi opolskiej istniał zwyczaj opuszczania przez młodzież domu rodziców natychmiast po ukończeniu szkoły ludowej i pójścia w świat, by zarabiać na swoje utrzymanie oraz przesłać trochę zaoszczędzonego grosza rodzinie. Podobnie było również z moimi rodzicami. Matka wybrała się aż do Hamburga, następnie służyła w Berlinie, Lipsku, Dreźnie i Wrocławiu. Chlebodawców wybierała sama, służąc wyłącznie w rodzinach żydowskich medyków, gdyż ci lepiej traktowali służbę niż chrześcijanie. Ponadto matka unikała służby w rodzinach niemieckich, ponieważ tam dziewczęczyń z "Polackei" – czyli Śląska – traktowane były "zbyt z góry". Taka właśnie droga życiowa mojej matki we wczesnej jej młodości, miała później szczególne znaczenie dla atmosfery w naszej rodzinie, gdyż matka była obyta z dobrymi manierami, widziała trochę świata, miała wyrobione nawyki kulturalne wyższe, niż można by oczekiwać tego od wiejskiej dziewczyny. Władala literacką niemiecką bez śląskiego akcentu. Matka bardzo dbała o przekazanie nam tych nabytych cech, ale również innych, zaszczyconych jej przez naszych przodków.

Podobną drogą szła większość każdej populacji podopolskich wsi i takie lub podobne cechy posiadał tu w wyniku ciągłości pokoleniowej ogół ludności, gdyż znaczna część wędrosów powracała na Śląsk, zwłaszcza po pierwszej wojnie światowej. Moim zdaniem, gdy mówi się o współczesnej emigracji Ślązaków, to nie wolno pominąć tego faktu, że kulturowo panuje tu atmosfera odmienniejsza niż w innych regionach Polski "swojskości". Moja matka próbowała żyć w Polsce powojennej i przebywała tu do 1956 roku. Dłużej nie wytrzymała, gdyż

wszystko było dla niej innym, nie do zniesienia światem. Żyła przecież wcześniej przez pięćdziesiąt lat w rzeczywistości, a nie tylko geograficznej Europie. To, że dom jej rodziców i cała wieś rozbrzmiewała mową śląską, to jest polską, nie miało w tym przypadku większego znaczenia. Ani farbowanym lisem nie była, ani żadnej skóry nie zmieniała. Taki po prostu jest Śląsk.

Nam, trzem swoim synom, matka powtarzała: "Idźcie, dokąd chcecie, ale nie pozostawajcie tu". Dlaczego Górny Śląsk był dla mojej matki niedobrym miejscem dla jej synów? "Bo tu – jak mawiała – toczy się wieczna wojna".

A na wojnie, jak twierdził W. Churchill, pierwszą ofiarą jest prawda. Tak jest również w tej walce pomiędzy dwoma nacjonalizmami, polskim i niemieckim, z których żaden nie liczy się z realiami, a najważniejszy argument wysuwany przez obie strony to tak zwany "nadrzędny interes" własnej nacji.

W imię tej racji przed wojną zmieniono setki nazw miejscowości ze starsłońskich na czyste niemieckie i zmuszono wiele tysięcy ludzi do porzucenia śląskich nazwisk i przyjmowania "rasowo czystych". Teraz natomiast dowiaduje się z pewnego pisma niemieckiego, że w okresie międzywojennym panowała na Górnym Śląsku ogólna zgoda i, rzecz można, sielanka.

Przykład z przeciwnej strony. Twierdzi się w Polsce uparczywie, że zamek piastowski w Opolu zburzony został przez Niemców z powodu nienawiści do Polski. Jest to absurd. Bywają przeinaczenia wymagające interwencji nauki, ale są również kłamstwa, które wyjaśni każdy wieśniak. Np. na każdym niemal cmentarzyku opolskim znajduje się niemiecka mogiła żołnierska z okresu drugiej wojny światowej. Na wielu z nich sto-

ją porządne, a nawet okazałe nagrobki i większość pielęgnowana jest przez opiekunów. Tymczasem były rzecznik prasowy rządu oświadczył w TV, że nie ma w Polsce takowych grobów. Czy pan Urban sądził, że księgowi z *Deutsche Kriegsgräberfürsorge** w Kassel nie wiedzą, na co wydawane są pieniądze pochodzące ze zbiorów w RFN? Podobne przykłady wyliczać można bez końca.

Jeszcze w zeszłym roku doszło do szeroko zakrojonej kampanii prasowej przeciwko organizującemu się Towarzystwu Społeczno-Kulturalnemu Mniejszości Niemieckiej na Opolszczyźnie. Orzeczenie jest krótkie – nie ma Niemców... Pamiętam jak to w latach 50-tych instancja partyjna podjęła uchwałę w sprawie uznania niemieckiej mniejszości narodowej na Opolszczyźnie. Następnie doszło do narady zwołanej przez KW z udziałem byłych członków dawnego Związku Polaków w Niemczech, którzy twierdzili, że "Niemców nie ma na Śląsku, gdyż przyznanie, iż są, może spowodować komplikacje podczas przyszłej konferencji pokojowej". Ponadto twierdzili, że nastąpiła już pełna integracja Opolszczyzny i autochtonów z całą Polską. Wobec tego nie ma już potrzeby odrębnego traktowania Ślązaków i dlatego domagali się zniesienia praktyki parytetu ludnościowego we władzach. Zasada ta polegała na tym, że tam, gdzie ludność miejscowa występowała obok napływowej, zachowywać był odpowiedni stosunek ich przedstawicieli we władzach, a przewodniczącym był przedstawiciel tej grupy, która stanowiła większość.

Uchwałę instancji anulowano, ale kilkaset tysięcy Ślązaków wyjeżdżając do Niemiec połączyło się ze swoimi rodzinami tam żyjącymi oraz tworzyło ba-

* Niemiecka Opieka nad Grobami – przyp. red.

zę do dalszych połączeń. I tak będzie po wieki wieków, niezależnie od tego, czy ktoś pozwoli, czy też nie na "wydmowy charakter Śląska".

Nonszalancja ówczesnych przedstawicieli władz spowodowała, iż niedawno w bardzo dla Polski niekorzystnej sytuacji doszło do zadrażnienia stosunków z RFN. Przez dziesiątki lat brak było śląskich instytucji samorządowych w szeroko pojętym sensie. Lekceważono istotne problemy autochtonów, a także nie liczone się z ich niemieckimi powiązaniami. Śledząc serie wynurzeń i wywodów publicystów na wyżej wspomniane tematy, dochodzę do wniosku, że władza niewiele się nauczyła od 1956 roku i że po prostu nie bardzo rozumie, w czym tkwi istota śląskiego problemu.

Czy jednak władza terenowa tego pragnie? W 1980 roku pewien wysoki przedstawiciel wojewódzkiej władzy stwierdził: "Ślązacy nie są już problemem w naszym województwie – jest ich już tylko 15%". Komentarza nie trzeba.

Nie pochwalam na przykład metody zalecanej przez pana Franciszka Adama w dyskusji redakcyjnej prowadzonej w *Trybunie Opolskiej* przez red. Pochronia, która sprowadza się do tego, że trzeba zrobić jak Niemcy. Mianowicie "każdy Niemiec wiedział, że jego obywatelkiem jest zniemczyć Ślązaka", a wobec tego niech każdy Polak weźmie się za spolonizowanie Ślązaka.

Serdecznie dziękuję, tę lekcję Ślązak przerobił już dawno. Jak ona wyglądała, pokażę na kilku osobistych przykładach, bo młode pokolenie z pewnością nie wie, o co chodzi.

Otóż – 1 maja 1947 roku, kiedy w gronie kilku kolegów stałem spokojnie w pobliżu podestu orkiestry na zabawie ludowej, podszedł do mnie kompletnie pijany sierżant MO, pan B. – przyłożył mi do piersi lufę pistoletu i oświadczył: "zastrzelię tego p... Szwab jak parszywego psa". To był ten sam człowiek, o którym później red. Kracherowa pisała na łamach *Trybuny Opolskiej* artykuł pt. "B... i inni", przedstawiając go jako bohatera utrwalania władzy ludowej na Śląsku. Pamiętam i inną lekcję. W Wigilię 1948 roku moja ówczesna szefowa zaprosiła wszystkich swoich pracowników na świąteczny poczęstunek. Gdy już siedzieliśmy przy stole, wszedł jej przyjaciel, pan F. pochodzący z Krosna i wrzasnął na mnie: "Co ten Szwab robi przy moim stole? Paszo! Nie będę jadł przy jednym stole z faszystowskim pomiotem." Następnie poszedł na mnie niemieckiego owczarka. Tak, prawda, że to było bardzo dawno, dlatego też pozwałam sobie jeszcze na współczesną "aneg-

dotę". Na "Stanisława" w 1985 roku, gdy znajdowałem się w biurze pewnej państwowej instytucji wśród bardzo znanych działaczy społecznych i odezwał się, a właściwie rzyczał pod moim adresem: "Co ten skurwysyn jeszcze tu robi? Niech wyprzedala do Niemiec, tam jest jego miejsce."

W argumentach przeciwko istnieniu na Opolszczyźnie niemieckiej mniejszości często wspomina się o weryfikacji. Podkreślana jest dobrowolność przyznawania się Ślązaków do polskości, że sami prosili o przyznanie im polskiego obywatelstwa. Święta prawda. Tak było. Byli tacy, którzy czekali na wyzwolenie i czuli się Polakami. Znam jednak i takich (także spośród członków komisji weryfikacyjnej), którzy po zetknięciu się z nową rzeczywistością odzęgnęli się od polskości i wyjechali do Niemiec. Czy to mało potomków powstańców Śląskich posiada obecnie "niemieckie pochodzenie"?

Warto zastanowić się w jakich warunkach odbywała się weryfikacja, po jakich doświadczeniach Ślązacy szukali ochrony swoich dóbr i życia? Jedyńą dla nich szansą było dobrowolne przyjęcie polskiego obywatelstwa, aczkolwiek i to często nie pomagało.

W artykule *Zmiana skóry* red. Jerzego Przyłuckiego, doc. dr hab. Franciszek Marek wypowiada się: "Powojenna rzeczywistość kształtowała się nie zawsze w humanitarnych okolicznościach, po najbardziej brutalnej wojnie." Jest to ładnie powiedziane, istny Wersal. W mo-

ich wspomnieniach to czas okrutnego terroru psychicznego i fizycznego, paniki, cierpień fizycznych i przerażającego strachu. Najpierw ewakuacja przeprowadzająca części ludności podczas ostrej zimy. Druga fala ewakuacji dokonywana przez niemiecką żandarmerię w ostatniej chwili przed wkroczeniem Rosjan. Pięszko, w śniegu, właściwie bez jedzenia. Dla pozostałych na Śląsku nastąpił czas frontowego terroru, gwałtów, płądrowania, podpaleni i morderstw oraz wywózki mężczyzn. W sześciu tylko wioskach podopolskich nalicyzłem na cmentarzach przeszło tysiąc grobów dzieci, kobiet i starców, zamordowanych całymi rodzinami podczas "wyzwolenia". A miejscowości do wyzwolenia na Śląsku Opolskim było dziewięćset. To także był Katyń. W niektórych miejscowościach była to eksterminacja mieszkańców.

Z tej też przyczyny poważną część Ślązaków nie może identyfikować się z władzą i przedstawicielami społeczeństwa, organizującymi w okazji "wyzwolenia" akademie i różnego rodzaju uroczystości. Czy to nie jest dziwne? Czy nie wystarczy, że obchodzili się zwycięstwem nad faszyzmem 9 maja?

Potem przyszli Polacy. W tym czasie również dochodziło do grabieży, poniżania godności ludzkiej. Oczywiście, można było dać się wysiedlić – najlepiej przez obóz w Łambinowicach, bo tam niejednemu zaoszczędzona została dalsza jazda. Ślązak, by przetrwać i nie opuścić swojej ziemi, wpisał by się nawet na listę mongolską. Dlatego też fakt poddawania się weryfikacji, nawet "dobrowolnie", nie jest dostatecznym argumentem. W sumie sytuacja była przymusowa, a wymuszone przez warunki przyrzeczenie, jak się okazało, ma niewielką wartość.

Potem nadszedł czas spokojnej pracy. Oczywiście od ogólnych form ucisku stalinowskiego nikt zwolniony nie był. Twierdzę, że w tym, jak i późniejszym czasie, Ślązacy pracowali rzetelnie i byli lojalnymi obywatelami, a rolnicy wręcz stali się wzorem dla całej Polski. Był to czas zapominania wzajemnych urazów i dobrego współżycia większości mieszkańców Opolszczyzny. Autochtoni odznaczani byli za dobrą pracę, a władza traktowała ich na równi z innymi Polakami. Zabrakło jednak w zamiarze uzyskania jedno-



Mogila powstańcza w Liazyni: "Tym rzekomym patriotom Górny Śląsk zawdzięcza niepokoję i «ścieranie się», łącznie z powstaniem."

ści moralno-politycznej narodu miejsca dla kultury tożsamości Ślązaków, dla uszanowania ich odrębnej mentalności. Taki był trend ogólnopolski i nie sądzę, że szycanie rodzimej ludności było tego celem. To był błąd systemu, a lokalna władza była częścią tego układu.

Odbieranie tożsamości, nawet jej ograniczanie, jest postępkami godnym napiętnowania, niezależnie jakiej narodowości, ludu czy grupy wyznaniowej dotyczy. Tęgo postępkę w stosunku do ludności Śląskiej dopuszczano się w Polsce, a odpowiedzialność za to ponosi władza. Mówiwo się wprawdzie o integracji, jednak ludność miejscowa z napywów żyły obok siebie, a chwilami przeciwko sobie. Integracja w odczuciu Ślązaków sprowadzała się do oczekiwania od autochtonów, że wyzbędą się cech własnych, osobowości etnicznej, a przyjmą reguły życia narzucone przez ludność napywów. Musiało by polegać to na wyzbyciu się głęboko zakorzenionych tradycji, na wypieraniu się elementów własnej kultury oraz na przyjmowaniu obcych mentalności ludności śląskiej interpretacji historycznych, w tym na przykład przyjęcia postawy nienawiści do wszystkiego co niemieckie. Taka postawa jest zrozumiała i wymaga uszanowania wśród Polaków, którzy żyli pod niemiecką okupacją i przeszli jej piekło. Inaczej rzecz się ma na Opolszczyźnie. Trzy czwarte krewnych mieszkańców podopolskiej wsi mieszka w RFN – są Niemcami. Przez kilka wieków Ślązacy wygłosili z Niemcami, przyjmowali ich kulturę materialną i cywilizacyjną na tyle, na ile im to służyło. Ale przyjmowali, kształcili się w niemieckich szkołach, służyli w niemieckim wojsku, w administracji pruskiej. Egzekwowanie od nich nienawiści do wszystkiego co niemieckie jest głupotą i arogancją. Jak wiadomo, każdy kij ma dwa końce, więc i powyższa polityka integracyjna przyniosła odwrotne od oczekiwanych rezultaty. Nie ma się co dziwić, skoro z przeszło 500 pomników pamięci, postawionych poległym w pierwszej wojnie światowej Ślązakom, około 450 zniszczono na polecenie władz. Na tych pomnikach były nazwiska mieszkańców wsi, czyli synów, braci i ojców z poszczególnych parafii. Na cmentarzach usuwane były na nagrobkach inskrypcje w języku niemieckim. Skutek taki, że teraz prawie już nie ma i napisów polskich na nowych grobach, a warto spojrzeć na stare nagrobki, na których często język polski wykuty był w kamieniu. Nawet i ten przeskądzał cmentarnym wandalom. Przykładem tego jest stary polski cmentarz przy ul. Niemodlińskiej w Opolu – miejsce spoczynku

kilkule pokoleń Polaków od końca XIX wieku do lat sześćdziesiątych naszego stulecia. Leżą tam kikuty połamanych świętości i zdewastowanych nagrobków z polskimi inskrypcjami "tu spoczywa w Bogu": Zniszczone przez Polaków tylko dlatego, że ta polszczyzna pisana była gotycką literą.

Obecnie światli mężowie stanu, do Moskwy po Paryż, mówią o wspólnym europejskim domu. Tymczasem tu – w opolskim – mają brać się za bary ludzie – którzy od wielu lat wspólnie pracują, obok siebie żyją, między sobą się żenią – tylko dlatego, że jakiejś prawo nie pasuje do realiów albo komuś psuje "wyższe racje". Spójrzmy na rzecz spokojnie i bez emocji. Czy są na Opolszczyźnie Ślązacy, którzy optują za niemieckością? Są – i żaden werdykt nie zmieni tego faktu. Czy istnieją podstawy historyczne do uważania siebie za Niemca bez względu na wspomnianą już weryfikację? Polskie badania archeologiczne wykazują, że od początku procesów osadniczych w naszym regionie, czyli grubo przed naszą erą, do czasów średniowiecza występowała tu wyraźna osadnicza ciągłość etniczna. W VI wieku pojawia się słowiańszczyzna, a wraz z nią plemię Opolanie, największe wśród plemion śląskich. Od roku tysięcznego panują na tej ziemi Piastowie: Zmiana struktury ludnościowej następuje w wieku XII, od objęcia dzielnicy śląskiej przez Bolesława Wysokiego, który wraca z wygnania po siedemnastoletnim przebywaniu na dworze swego stryja – cesarza niemieckiego. Co działo się dalej, opowiada Michał Bobrzyński w "Dziejach Polski w zarysie":

"Synowie Władysława II zatrzymali jego politykę przyjaznych i serdecznych



Johann Kroll

stosunków i do kraju tego wpływowi niemieckiemu na ościerzyli wrota. Dwory książęce przybrały pierwsze niemiecką cechę. Książęta otoczyli się Niemcami, przybrali ich strój, ich zwyczaj i mowę. Za nimi poszli możniejsi panowie, a żywił niemiecki napywowy zapanował wszechwładnie

w miastach, rozsiadli się nawet gęsto po wiejskich osadach. Najdawniejsza ta niemal polska dzielnica zerwała też najwcześniejszy związek, jakie ją z Polską łączyły... a tylko szczerze po polsku kłóci się pomiędzy sobą (Piastowie) przy nieustannych podziałach i bili."

Kiedy władysławowe potomstwo przybyło na śląską dzielnicę, ta znajdowała się w stanie nędzy i upadku. Była słabo zaludniona. Sprowadzenie osadników było koniecznością gospodarczą, zatem i polityczną. I jeszcze raz Bobrzyński: "Ratunek mógł przyjść tylko z zewnątrz, a zjawiał się w postaci kolonizacji niemieckiej". To, jak twierdzi Bobrzyński, na Śląsku skończyło się zupełną zagładą żywiołu polskiego. Na ziemi opolskiej nie była to zagłada słowiańszczyzny a trwająca przez kilka wieków proces asymilacyjny, który powodował znaczną sławizację kolonistów niemieckich. Tak oto drogą przenikania i wymieszania się, poprzez przejście przez autochtonów słowiańskich wyższej kultury materialnej i cywilizacji zachodniej, a przez przybyszów mowy miejscowej, zrodziło się nowe plemię, którego przedtem nie było – Ślązacy.

W istocie więc Ślązacy od początków swego istnienia nasiąknęli byli elementem niemieckim. Od zarania swego istnienia lud górnośląski, może nie w szerokiej masie, ale w części, jest dwujęzyczny. Nie był ten lud jednak ani niemiecki, ani polski – to byli po prostu Górnoślązacy, potomkowie słowiańskich Opolan i niemieckich kolonistów z okresu kolonizacji piastowskiej. Stan taki jest pewną prawidłowością, bowiem każdy naród europejski posiada w swym rodowodzie etnicznie różnorodne plemiona. Tak samo ma się rzecz z Niemcami, w których tygu plemiennym mieszczą się również Słowianie. Toteż Niemcy nie rezygnują z utrzymania przy sobie Górnoślązaków i uzyskują to z niezłym, jak widzimy, skutkiem, mimo iż ten lud jakąś tam gwarą *wasserpolaaków* sobie gada. Górnoślązak zaś ma nację do wyboru. Tę samą możliwość co Niemcy, mieli i Polacy. Że ją zaprzepaścili, to inna sprawa, ale winy na Ślązaka za własną niedołęność niech nie zrzucają. To, że Ślązak optuje za Polską, to jego prawo. Trudno mu jednak bronić optowania za Niemcami, a jeżeli twierdzi, że jest po prostu Górnoślązakiem, to także ma rację. Może być obywatelem PRL czy RFN, albo też obu państw równocześnie. Taki jest Ślązak. Ślązacy w swoim skansenie żyją paręset lat i trwali przy swoim, mimo ucieczki i wysiedlenia całego miliona ich rodaków i krewnych. Ci, którzy obecnie rejestrują się u pana

Krolla, to ta część Ślązaków, która poważnie pragnie tu pozostać, a ich Towarzystwo w pierwszym rzędzie zamierza osiągnąć to, co ani partii, ani polskiemu rządowi się nie udało – ograniczyć masową ucieczkę – młodych przeważnie Ślązaków ze swojej ojczyzny. Im może się udać. Dlatego też nie wykluczam, że będą mieli po swojej stronie większość rodzimej ludności, będą mieli po swojej stronie trzy miliony rodaków w RFN, będą mieli swoich rzeczników w Parlamencie Europejskim i Bundestagu.

Sądząc również, że nie będą mieli przeciwko sobie swoich wieloletnich sąsiadów i przyjaciół, którzy tu – na Śląsku – znaleźli nowy dom i wiedzą, że Śląsk nie jest agresywny. Śląsk może stać się poligonem postępu technicznego, wzorem dobrego gospodarowania i doskonałych stosunków pomiędzy jego mieszkańcami. Trzeba tylko skończyć z tą niedobrą wojną pomiędzy dwoma nacjonalizmami, nie ośmieszać się wzajemnie i nie oczerniać, czego zresztą większość ludzi na Śląsku nie robi.

Tyle. Każdy widzi jak potrafi, widzi tyle, ile wie. Tam, gdzie jeden widzi zmianę skóry, ja znajduję odpadanie z muru zmarszałego tyńku.

Opole, 26.12.89

Fryderyk Kremser

* Tytuł: "Ślązacy – ani Polacy, ani Niemcy?" pochodzi od red. "Poglądu".

* PRZEGLĄD PRASY * PRZEGLĄD PRASY * PRZEGLĄD PRASY * PRZEGLĄD PRASY *

ZZA ALBAŃSKIEJ KURTYNY

Jak poinformowała belgradzka POLITYKA nie powołując się na źródło doniesień, w północno-albańskim mieście Skutari i szeregu innych miejscowości ogłoszono stan wyjątkowy. Pisząc o krwawym tłumieniu demonstracji gazeta ujawnia dowody bezprzykładnego okrucieństwa komunistycznych władz Albanii: pięciu młodocianych skazano w ub. roku na śmierć za próbę rozpowszechniania ulotek; trzech Albańczyków ukrzyżowano (!) za próbę ucieczki do Jugosławii.

Wg komentarzy jugosłowiańskiej prasy w minionych latach w odpowiedzi na liczne przypadki buntów w albańskiej armii i kierownictwie politycznym zamordowano 170 oficerów i polityków, w obozach przebywało około 100 tys. więźniów politycznych. (TAGESPIEGEL, 12.01.90.)

1989 R.: "225 TYS. PRZESIEDLEŃCÓW" Z POLSKI W RFN

Zachodniobierliński dziennik DER TAGESPIEGEL we własnej korespondencji z Bonn podaje, że w 1989 roku do Republiki Federalnej Niemiec przybyło z Polski 225 tys. osób, które złożyły wnioski o uznanie ich niemieckiego pochodzenia. Od 50 do 70 % wszystkich obywateli polskich przybywających do Niemiec powołuje się na niemieckie obywatelstwo swoich rodziców względnie dziadków nawet wtedy, jeśli ci nie uważali się za należących do narodowości niemieckiej.

Zachodniobierlińskie landy, których administracja jest kompetentna w sprawach przesiedleńców chcą ograniczyć napływ Polaków do Niemiec. Tylko w Bawarii wymaga się od obywateli polskich dostarczenia dowodów niemieckości rodziców względnie dziadków, czego dowodem jest np. uczęszczanie do szkoły niemieckiej, czy też przynależność do niemieckich zrzeszeń. Jak podaje DER TAGESPIEGEL podczas II wojny światowej wielu Polaków otrzymało nawet mimo sprzeciwu obywatelstwo niemieckie na podstawie tzw. volkslisty nr 3 (obywatelstwo do odwołania), na którą powołują się w większości przybywający do Niemiec Polacy. Również inne landy RFN zamierzają wprowadzić praktykę uznawania obywatelstwa stosowaną w Bawarii.

W wypadku nieuznania wniosku o obywatelstwo, przesiedleńcom pozostaje możliwość składania wniosku o azyl, o ile zaś ten zostanie oddalony, to grozi im deportacja do Polski. (TAGESPIEGEL, 12.01.90)

BERLIN ZACHODNI: POLSKA ZŁOTÓWKA NON GRATA

Kantor wymiany na zachodniobierlińskim Dworcu Centralnym – Bahnhof ZOO, jesienią ub. roku zaprzestał skupu polskiej złotówki, proponując jednak wyprzedzić jej zasobów w wysokości 100 zł za 10 pf. (Upřednio za 100 zł można było otrzymać 3 pf.). W styczniu br. kantor wymiany całkowicie zaprzestał handlu polskim złotym, likwidując również jego sprzedaż. Zaś sowiecki rubel, który jeszcze niedawno skupowany był za DM 0,10 osiągnął w styczniu wartość DM 0,08, sprzedawany jest zaś za DM 0,18. Oto wartości innych walut w dniu 12 stycznia:

	skup	sprzedaz
NRD 100 marek	11,50 DM	13,50 DM
Bulgaria 1 lewa	0,10 DM	0,25 DM
Rumunia 100 lei	1,20 DM	2,10 DM
CSRS 100 koron	1,25 DM	5,75 DM
Węgry 100 forintów	1,30 DM	2,50 DM

PRZEBROJENIE W CHINACH

Zatrudniająca 9 tys. pracowników fabryka maszyn w chińskim mieście Jianglu, jedna z najstarszych i największych zakładów zbrojeniowych w Chinach z powodzeniem przestawiła się z produkcji ciężkiego sprzętu wojskowego na produkcję kranów i maszyn do szycia.

Przedsiębiorstwo w 2/3 pracuje dziś na potrzeby rynku cywilnego, oferuje 2 tys. wyrobów i w ciągu dwóch lat zwiększyło wydajność o ponad 40%. (DIE ZEIT, 2-5.01.90)

DIE ZEIT: DEMOKRACJA TYLKO W SOCJALIZMIE

Socjalizm we wschodnim wydaniu jest moralnie i funkcjonalnie zdyskredytowany. Monstrualną pomyłką Lenina było przekonanie, że usunięcie kapitalizmu przygotowuje drogę do prawdziwej i pełnej demokracji. Jest jednak prawdą, że bez socjalizmu demokracja jest niemożliwa – powiedział prof. Helmut Dubiel z Instytutu Badań Socjalnych we Frankfurcie/M, w ankiecie hamburskiego lewicowego tygodnika DIE ZEIT: "Czy socjalizm się skończył?" (DIE ZEIT, 2-5.01.90)

DIE ZEIT z dn. 29.12.89 publikuje "wypowiedzi roku 1989":

– "Mielśmy trzy możliwości: naprawić popsułe zapory, to kosztuje dużo pieniędzy; całkowicie je odnowić, to jest jeszcze droższe albo zmienić system polityczny" – Balazs Novaki, ptk węgierski o burzeniu "żelaznej kurtyny" na węgiersko-austriackiej granicy w maju 1989 r.

– "Co zrobiłby Lenin, gdyby żył dzisiaj? Jednego jestem pewien: nie cytowałby tego, co napisał przed siedemdziesięcioma laty" – Jegor Jakowlew, red. naczelny tygodnika MOSKOWSKIEJ NOWOSTI.

– "Dla mnie jako rewolucjonistki nie ma większego zadowolenia, niż praca nad urzeczywistnieniem idealnej wolności, sprawiedliwości i niezależności" – Elena Ceausescu w styczniu 1989 r.

– "Ceausescu jest wariatem. Jego żądania władzy żona jest tak samo zwariowana, a jego syn jest idiotą. Ci troje za pozwoleniem świata winni są męki 23 mln ludzi" – Eugene Ionescu, dramaturg urodzony w Rumunii.

– "Śmierć dwustu ludzi mogłaby przynieść dalsze 20 lat stabilizacji" – Deng Xiaoping, chiński przywódca na kilka dni przed masakrą na Placu Niebiańskiego Pokoju.

– "Przypomniałem sobie maksymę, że wszystko jest do sfornowania, ale przede wszystkim prawda" – Hans Klein, po mianowaniu go na rzecznika prasowego rządu RFN.

Wiktor Nykiel

Przestrogi Juliusza Mieroszewskiego

Na wschodzie Polska miała już zawsze granicę z Rosją Sowiecką. Takie były (rzekomo!) realia geopolityki. Taką też była edukacja społeczeństwa przez minione czterdzieści lat. Za Bugiem miała być tylko Rosja...

Paryskiej "Kulturze" i jednemu z najprzedniejszych jej piór, publicyście, umysłowości dalekowzrocznej – Juliuszowi Mieroszewskiemu – zawdzięczać należy to, że strumyk prawdy innej, trudniejszej, choć równocześnie rodzącej nadzieje, docierał do kraju. Prawdy nie zawsze tu przyjmowanej i akceptowanej. Siedemnaście lat temu ("Kultura" nr 6/1973), w głośnym artykule pt. "Polska Ostpolitik" Juliusz Mieroszewski pisał: "Z chwilą gdy sytuacja we Wschodniej

Europie zacznie się zmieniać – Polacy będą mogli wpływać na rozwój wydarzeń tylko wówczas, jeśli będą posiadali uzgodniony program wschodni".

Tekst Mieroszewskiego nie był adresowany do ludzi, których widzenie wschodnich spraw, granicy i zaszczości historycznych tego obszaru, składało się tylko i wyłącznie z emocji, kompleksów i uprzedzeń. Te bowiem utrwalały istniejące status quo i były na rękę wszystkim, którzy widzieli w stanie istniejącym własne, polityczne korzyści. Ze byli to ekspozyci imperializmu sowieckiego po jednej stronie granicy, a po drugiej dobrze płatni reprezentanci tegoż imperializmu nazwani później właścicielami PRL, dawać nie trzeba. Mieroszewski wycho-

dził z fundamentalnego założenia, które wcale nie było powszechnie akceptowane przez opiniotwórcze kręgi polskie. Sądził mianowicie, że jakiegokolwiek rozmowy z autokratycznym imperializmem sowieckim na temat niepodległości PRL, czy nawet skromniej – jej samostanowienia lub większej autonomii – są bez sensu. Są takie, gdyż w ramach totalitarnego systemu nie może być ani demokracji wewnętrznej, ani liberalizmu zewnętrznego. "Władze sowieckie – pisał – nie mogą zaoferować Polsce niezależności z tych samych przyczyn, dla których nie mogą zaoferować demokracji narodowej rosyjskiemu."

Z tej beznadziejnej, wydawałoby się sytuacji, Mieroszewski szukał wyjścia inną furtką. Przede wszystkim nie uważał sytuacji za beznadziejną. Byłaby ona taką, gdyby Rosja Sowiecka była państwem jednolitym narodo. Byłoby wówczas kwestią czasu, by odrębny narodo żywił polski rozplynął się w rosyjskiej przestrzeni.

Rzecz jednak w tym, że owa rosyjska przestrzeń geograficzna, obejmująca obszar od Bugu po Kamczatkę, wcale rosyjską nie była. Nie była taką ani geograficznie, ani narodowościowo. I ten właśnie – banalny wydawałoby się fakt – dawał Mieroszewskiemu prawo do stwierdzenia, na którym on i "Kultura" Jerzego Giedroycia, budowały polityczną doktrynę dla przyszłości. Skoro Rosja nie jest narodo jednolita – rozumował Mieroszewski – to i jedyną polską szansą jest łączący się z tymi, którzy – podobnie jak Polacy – chcieliby wyzwolić się spod panowania sowieckiego i stanąć o własnym losie.

"Ktoś może powie – pisał Mieroszewski (przypomnijmy, w 1973 roku) – że program wschodni jest nam niepotrzebny, dopóki istnieje sowieckie imperium. Będziemy formułować ten program wówczas, gdy Związek Sowiecki znajdzie się w stanie rozkładu. Nie zgadzam się z powyższą tezą. Kryzys w Związku Sowieckim – bez względu na jego formę – stworzy dla narodów ujarzmionych koniunkturę, którą będziemy

Ilu jest w Polsce Litwinów, Białorusinów i Ukraińców?

Odpowiedź na tak postawione pytanie jest niemożliwa: po prostu nikt tego nie wie. Statystyki MSW są niedostępne, ale i tam trudno przypuszczać, by znajdowały się dokładne dane. Już choćby z tego powodu, nie jest możliwe, a na pewno jest ogromnie trudne ustalenie stanu narodowej świadomości. Jakże bowiem kryterium przyjęć i jak je mierzyć?

Polonizacja mniejszości narodowych zamieszkujących z dala od swych centrów kulturowych jest faktem. Narodo, o które pytamy, miały możliwość awansu społecznego w polskiej masie, a ze były to w ogromnej większości społeczności wiejskie, tedy i o asymilację było im łatwiej.

Nie jest żadnym wyróżnikiem wyznania. Rzymsko-katolicka wiara Litwinów nie daje możliwości jakiegokolwiek wyliczeń. Wśród Białorusinów przeważa wprowadzenie prawosławia, ale tylko przeważa. Nie jest więc wyróżnikiem pozwalającym dokonywać obliczeń. Z właszą, że wśród Białorusinów są również wyznawcy obrządku greckiego.

Obrządek greckokatolicki dominuje wśród Ukraińców, ale mają oni również prawosławnych. Wśród tych trzech narodów znajdują się z pewnością niewierzący, bądź wyznawcy innych niż wyżej wymienione wyznania.

Można tedy dokonywać obliczeń na drodze przybliżonych, medokładnych szacunków. Znany badacz spraw tu omawia-

nyet. Kazimierz Podlaski twierdzi – zastrzegając intuicyjność obliczeń i możliwość błędów – że Litwinów jest obecnie w Polsce od 10 do 20 tysięcy. Liczbę Ukraińców szacuje na 150 tysięcy, choć przyznaje, że istnieją poglądy, iż Ukraińców jest dwa razy więcej.

Liczbę Białorusinów ocenia K. Podlaski na 250-400 tysięcy. "... Czy naprawdę jest bez znaczenia – pyta K. Podlaski – co tyła ludzi myśli i robi, jak oraz czym żyje wśród nas? A w rzeczywistości znaczenie to jest niewspółmiernie większe, aniżeli to sugerowałyby przytoczone liczby. Społeczności te są tylko reprezentacjami swoich o wiele liczniejszych narodów. Stanowią problem. Dysponując gamą powiązań materialnych i emocjonalnych zarówno na wschód, jak i na zachód, aż po USA i Kanadę, które dla nich również stanowią ziemie diaspory (...). Przypomnijmy pokrótce (...) My, Polacy mamy przecież istną obsesję historyczną. Całego tysiąclecia. Nic dziwnego, bo współczesność ugniata nas tego, a przeszłość jawi nam się barwnie i, mimo wszystko, twórczo. Czy mamy potoczną świadomość, iż dobrą połowę owego tysiąclecia przeżyliśmy razem z przadkami dzisiejszych Białorusinów, Litwinów i Ukraińców? Jeśli więc znajdziemy w naszych dziejach coś, czym można się szczyścić i krzepić w ciężkich chwilach, musi być tym również wkład białoruski, litewski oraz ukraiński."

(mart.)

mogli wykorzystać albo zmarnować. Szansa zmarnowania ewentualnej koniunktury jest bardzo znaczna właśnie dlatego, że nie ma uzgodnionego programu.”

I wówczas, i obecnie, kiedy imperium sowieckie chwyci się w posiadach, pierwszym punktem polskiej *Ostpolitik* musi być oczyszczenie pola z jakże kosztownych błędów, które umożliwiły Rosji ujarznienie Ukrainy, Litwy, Białorusi i Polski. Bo właśnie z Ukrainą i Białorusią graniczy Polska na Wschodzie. Fundamentem realistycznej polskiej *Ostpolitik* jest więc uznanie prawa do samostanowienia i niezależnego bytu państwowości wszystkich narodów opanowanych przez sowiecki imperializm. Wszystkich, a więc również Ukraińców, Litwinów i Białorusinów.

Ten zasadniczy kanon polskiej *Ostpolitik* nie został uznany przez niezależną opinię polską. I dlatego dziś, kiedy otwiera się szansa wybić się na niepodległość, o jakiej Mieroszewski mógł tylko marzyć i ją przewidywać, programu wschodniego Polacy nie mają. Dlaczego? Powodem braku uzgodnionego programu wschodniego i takiej *Ostpolitik*, która sprzyjała i wzmacniała polskie dążenia do uzyskania pełnej suwerenności narodu i niepodległości państwa jest kwestia Wilna i Lwowa. Tu nie może być jakichkolwiek złudzeń: wielu Polaków nadal marzy o polskim Wilnie i Lwowie. Co więcej są i tacy, którzy „poważnie” myślą o polskim Mińsku czy Kijowie, przy czym słowo „poważnie” trzeba oczywiście wziąć w cudzysłów.

Ten – nazwijmy rzecz po imieniu – polski imperializm posiada swoją łagodzącą go postać. Jest nią dawna, nie zrealizowana idea federacji Polski z Ukrainą, Litwą i Białorusią. O ile jednak idea ta w wersji, jaką niegdyś proponował Józef Piłsudski, miała jakąś polityczną rację bytu i mogła – w tamtych, niepowtarzalnych dziś warunkach – organizować narodowe myślenie o państwie i jego miejscu w Europie, o tyle dziś idea federacyjna powinna stracić zupełnie swój polityczny powab. Jest ona bowiem w ostatniej instancji ideą polskiego imperializmu. I jako taka jest politycznym samobójstwem z tego oto prostego powodu, że suwerenność usposobionym i dążącym do samostanowienia Ukraińcom, Litwinom czy Białorusinom, może być obojętne, kto kwestionuje ich prawo do niepodległego bytu: Rosjanie w ramach sowietyzacji czy Polacy w ramach federacji.

Polskie marzenia o federacji, aczkolwiek przeceniając ich rozmiarów nie należy, wzmacniane są przez dwa czyn-

„...polski imperializm posiada swoją łagodzącą go postać. Jest nią dawna, nie zrealizowana idea federacji Polski z Ukrainą, Litwą i Białorusią.”

niki. Pierwszym jest pamięć pochodzących z Małopolski Wschodniej i Wileńszczyzny. To oczywiste i naturalne, że urodzonym w dawnym mieście Lwowie czy Wilnie niezwykle trudno jest wyrzec się tego kawałka niegdysiejszej Ojczyzny, na którym się urodzili.

Drugim czynnikiem utrudniającym sformułowanie polskiej *Ostpolitik* opartej na zaprzeczeniu sąsiedztwa Polski i Rosji, a potwierdzeniu sąsiedztwa z Ukrainą, Litwą i Białorusią, jest legalizm ośrodków sprowadzających idee niepodległości Polski do restauracji Drugiej Rzeczypospolitej. I wcale nie jest tak, iż idea restauracji jest wyłącznie nieskuteczna w politycznym rozumieniu. Ona jest wręcz przeciwnie, tj. osiąga skutek odwrotny od zamierzonego – antagonizuje sąsiadów i służy tym, którzy obu stronom narzucają swoje panowanie.

Juliusz Mieroszewski był publicystą odważnym. Nie wahał się przed przypominaniem prawd niemiłych wprawdzie polskiemu uchu, ale jakże ważnych wczoraj, dziś i jutro. Na idei jagiellońskiej wychowane były pokolenia, co z polskiego punktu widzenia naganne być nie może. Ale jak ta idea była i jest odbierana przez tych, z którymi będziemy układać obciążone wzajemnymi błędami sąsiedztwo?

„Idea jagiellońska tylko dla nas nie ma nic wspólnego z imperializmem – pisał Mieroszewski – Jednak dla Litwinów, Ukraińców i Białorusinów stanowi jego najczystsza formę. Rzeczpospolita obojga narodów zakończyła się całkowitym spolonizowaniem szlachty litewskiej i najgorętsze wyznaczenie miłości do Litwy (”Litwo, Ojczyzno moja, Ty jesteś jak zdrowie”) zostało napisane w języku polskim. Polak nie może sobie nawet wyobrazić podobnej sytuacji. Czy można sobie wyobrazić Słowackiego piszącego

»Idea jagiellońska tylko dla nas nie ma nic wspólnego z imperializmem. Jednak dla Litwinów, Ukraińców i Białorusinów stanowi jego najczystsza formę.«

wyłącznie po rosyjsku? Rosjanie usiłowali nas zrusefikować, lecz nie zdołali odebrać nam ani jednego poety czy pisarza. Przeciwnie – nacisk rusyfikacyjny spowodował w XIX-tym wieku niebywałą rozkwit literatury i języka polskiego...”

Idea jagiellońska, jak Janus,⁸ ma dwa oblicza. Tyle, że każde z nich widziane jest z innej perspektywy przez sąsiadujące narody. O tym zapomnieć nie wolno. I nie warto, jeśli rysujące się piękności na sowieckim mołochu mają przynieść wolność uciemiężonemu narodom. Pytania o dzisiejszy kształt idei jagiellońskiej trzeba zastąpić innymi: czy narody podzielone zadrurowaną i brzonawą dzień w dzień granicą na Bugu stać na zwyczajne, normalne europejskie sąsiedztwo? Takie na przykład jak sąsiedztwo Holandii, Belgii czy Luksemburga? Czy narody tej części Europy potrafią żyć obok siebie zwyczajnie, ot tak, jak Dania koło Szwecji czy Szwecja koło Norwegii?

Na te pytania odpowiedzieć nie sposób, bo czas, jaki istniał praktycznie do 1945 roku, został zmarnowany. Nie ma polskiej polityki wschodniej, bo nie było – poza nielicznymi wyjątkami – nikogo, kto podjąłby wysiłek trudny ale niezbędny. Dlatego dziś można deklorować tylko chęci. To cenne, ale jakże niewystarczające wobec rysujących się i możliwości i zagrożenia.

W połowie listopada ubiegłego roku grupy intelektualistów i działaczy społecznych z Polski i Litwy wystosowały listy otwarte adresowane do przyjaciół po drugiej stronie granicy. Ze strony polskiej list podpisał posłowie, senatorowie, pisarze, dziennikarze, historycy. Ze strony litewskiej sygnatariuszami listu byli przedstawiciele środowisk związanych z ruchem „Sajudis”, księża, historycy, pisarze. Z obu stron reprezentatywne grono osób pragnących zbliżenia polsko-litewskiego oparte go na nowych, uznających prawo do suwerenności i niepodległości drugiej strony – podstawach.

Nadeszła pora – czytamy w polskim liście – by wyraźnie powiedzieć, iż nikt w Polsce nie wysuwa pretensji terytorialnych względem ziem w latach międzywojennych należących do państwa polskiego. List podkreśla równocześnie że „...Polacy mają i muszą mieć zapewnione duchowe, historyczne, kulturalne i materialne prawo do obecności, do udziału w polskiej spuściznie w Wilnie i na Litwie(...) Zdając sobie sprawę z ciężaru przeszłości, staśmy wzajemnie

⁸ Satelita Saturna, odkryty w 1966 r.

na granice tężyzny, odważnie odrzucmy ze wspomnienia, korzystajmy ze sprzyjających okoliczności, by zbliżyć się do siebie, uznając to co niewątpliwe i niezmiennie..." Polski list skierowany jest równocześnie jako apel "... do Polaków mieszkających na Litwie, apel o wyrozumiałość, roztropność, przyjaźń, apel o uznanie wspólnych dla całej Europy wartości, a więc wolności i demokracji."

List litewski zwraca uwagę na to, iż "demonstrowanie bolączek przeszłości, rachunki i pretensje wiodłyby nas do ślepych zaułków. Nasze nieporozumienia są wyjątkowo korzystne dla sił trzecich, gdyż umożliwiają wnoszenie nowego muru niesnasek i szerzenie podstępnej dezinformacji..." Dla zaufania i przyjaźni niezbędne jest również sprawiedliwe rozstrzygnięcie problemu mniejszości narodowych. Litwini w Polsce i Polacy na Litwie – to pełnoprawni obywatele swoich krajów z prawami autonomii kulturalnej..."

Sens obu listów może mieć dalekosiężne skutki, jeśli będzie przez stronę polską i litewską potraktowany jako pierwszy krok w kierunku pojednania i zbliżenia na nowych zasadach. Jest przykładem dalekowzroczności zakładającej obecnie i przyszłe normalne sąsiedztwo. Sąsiedztwo wolnych i równych.

Przykładem podobnej dalekowzroczności był "Dar Polski – Białorusinom, Rosjanom i Ukraińcom na Tysiąclecie Chrztu Świętego – obszerny zbiór artykułów dedykowany słowiańskim braciom zza Niemna, Szczary, Bugu, i Sanu. Ta zbiorowa praca pod redakcją Kazimierza Podlaskiego w współpracy z Andrzejem Drawiczem i Janem Jarcą wydana niedawno przez londyńskie wydawnictwo Polonia Book Found, warta jest odrębnego omówienia. Tu należy odnotować, iż jest ona początkiem przełamania stereotypów politycznych i – co daj Boże – rozpoczęciem sąsiedzkiego dialogu na wschodniej granicy.

"Pogodziłem się dawno z faktem, że zapewne nie doczekam chwili wyzwolenia – pisał Juliusz Mieroszewski. – Boleję natomiast nad tym, że do tej chwili nie jesteśmy przygotowani, że nie ma pełnego porozumienia pomiędzy Polakami a Ukraińcami, Białorusinami i Litwinami. Boleję nad tym, że jeszcze są wśród nas politycy gotowi do rozmów z imperialistyczną Moskwą ponad głowami i kosztem pobratymczych narodów. Boleję nad tym, że istnieją na emigracji ugrupowania złożone z zasłużonych patriotów, którzy jednak stawiają wyżymartwy legalizm granic z 1939 roku niż

imperatyw jednolitego działania narodów ujarzmionych. Boleję nad tym, że tak mało Polaków szuka porozumienia i współpracy z nowym pokoleniem rosyjskim. (...) Z historycznej koniunktury, na którą czekamy – nie nam nie przyjdzie,

Jan Łukaszów

Haniebna »Wisła«

W ostatnich dniach kwietnia 1947 roku dla ukraińskich wsi pod Sanokiem i Leskiem nastal czas apokalipsy. Wprawdzie już wcześniej w toku walk z UPA wojsko nie oszczędzało i ludności cywilnej – tego jednak nikt się nie spodziewał: wszyscy mieli porzucić rodzinne strony i natychmiast udać się w nieznaną. Dobrze, jeśli zezwalano na zebranie wozów i bydła, z wielu wsi trzeba było wyjść jedynie z ręcznym bagażem... Bywało, że na spakowanie się zostawiano ledwie godziny, bywało, że wysiedlanych wywożono ciężarówkami, nieomal tak, jak stali. Opornych bito i zabijano, odmawiających opuszczenia domów niejednokrotnie w tych domach palono... Jeszcze nie odjechali na dobre, gdy za ich plecami urastała tupa – żołnierze przed odejściem palili wieś.

Pierwsze uderzenie spadło na sanockie i przemyskie, potem przyszła kolej na inne ziemie ukraińskie, pozostałe w granicach Polski. Tak wyglądała Akcja "Wisła", kolosalna operacja wojskowa wymierzona oficjalnie przeciwko UPA, faktycznie zaś – przeciw ludności ukraińskiej. Długie eszelony wlokły się tygodniami, wioząc 150 tysięcy ukraińskich chłopów na wygnanie hen, do Niemiec (to tylko dla Polaków mogły być Ziemię Odzyskane), po drodze młodzież i księży kierowano do obozu koncentracyjnego w Jaworznie (Centralny Obóz Pracy). Wyładowywanych rozpraszano po wsiach tak, by nigdzie nie stanowili nawet 10% ludności, a mieszkańców jednej wsi rozrzucano nieraz do dwudziestu i więcej miejscowości. A nad Sanem i Bugiem wojsko dopiero po wywiezieniu ludności cywilnej dobijało ukraińską partyzantkę.

Operacji tej nie nadawano wówczas szczególnego rozgłosu. Nawet o wysiedleniu z Polski ostatnich grup Niemców można znaleźć w ówczesnej prasie więcej informacji, niż o największej operacji LWP po zakończeniu wojny. Dopiero po 1956 r. zaczęto w propagandzie eksploatować temat walk z UPA i przedstawiać

jeśli do niej nie będziemy rzetelnie przygotowani..."

Przestrogi Juliusza Mieroszewskiego zachowują nadal swoją aktualność.

Wiktor Nykiel

Akcje "Wisła" jako "słuszną odpłatę" za śmierć gen. Świerczewskiego i wyraz "słusznego gniewu narodu polskiego". Miało to związek z dochodzeniem do głosu w kierownictwie partyjnym nacjonalistycznej frakcji i ideologii, która z czasem zyskała miano "endokomuny". W. Gomułka, jako sekretarz generalny PPR i I wicepremier należał do grona bezpośrednio odpowiedzialnych za podjęcie i realizację tej akcji.

Propagandowy fałsz obowiązuje do dziś, zaś wiedza przeciętnego Polaka o tamtych wydarzeniach jest głęboko zafałszowana. Szowinistyczny stereotyp, w którym bohaterki i szlachetny żołnierz polski przeciwstawia się ukraińskiemu bandycie-banderowcowi, tchórzliwemu i fanatycznemu poplecznikowi nazistów, można nazwać, od znanej książki ppłk. J. Gerharda stereotypem "tun w Bieszczadach". Zgodnie z nim wkrótce po wyzwoleniu na spokojnie dotychczas ziemie nad Bugiem i Sanem nadciągęły ze wschodu złowrogie bandy UPA, które na obcym terenie masowo mordowały polską ludność cywilną i przedstawicielei nowej władzy, unikały natomiast starć z wojskiem. Po dłuższym okresie walk, kiedy wiosną 1947 r. w przypadkowym stanciu poległ gen. Świerczewski, władze podjęły wielką akcję wojskową przeciw UPA, przy czym dla jej likwidacji konieczne było całkowite wysiedlenie Ukraińców z południowo-wschodniej Polski.

W stereotypie tym niemal wszystko jest nieprawdą. Oddziały UPA były rekrutowane zasadniczo spośród miejscowej ludności, nigdy też nie było tu ataków na polską ludność cywilną na większą skalę, natomiast wiele było właśnie walk z wojskiem, w których UPA była zazwyczaj stroną atakującą. Bieszczadzka inspekcja gen. Świerczewskiego, zakończona zasadzką pod Jabłonkami była według wszelkiego prawdopodobieństwa elementem przygotowań do Akcji "Wisła". Wyraźnie wynika to z tego, co pisze ppłk Gerhard o przebiegu inspek-

cji w Baligródzie. Wreszcie Ukraińska Powstańcza Armia nie była bandami ani konglomeratem oddziałów partyzanckich – była to armia podziemna, centralnie dowodzona i realizująca dyrektywę kierownictwa politycznego.

Liczni autorzy, zwłaszcza prac popularnych, przedstawiając spreparowanych w powyższy sposób żołnierzy UPA mniej lub bardziej bezpośrednio utożsamiają ich z narodem ukraińskim, choć jednocześnie niemal każdy uznaje za niezbędne zaprzeczyć temu – obłudnie i "internacjonalistycznie". Jednocześnie zwraca uwagę, że autorzy ci najchętniej samą Akcję "Wisła" pominęli by milczeniem – ppłk Gerhard np. poświęcił jej zaledwie dwadzieścia stron swej sześćsetstronicowej książki, stron uderzających "zresztą bezbarwnością i ogólnikowością. Wszędzie dominują powtarzane w rozmaitych konfiguracjach frazesy o trudnej, bolesnej czy wymuszonej (oczywiście – przez UPA) decyzji. Dopiero w ostatnich latach pojawiły się – najpierw w II obiegu, potem w prasie katolickiej i niezależnej, publikacje zdecydowanie potępiające Akcję "Wisła" i inne akty przemocy wobec społeczności ukraińskiej w powojennej Polsce.

Skąd jednak ten stereotyp? Nie wystarczy przecież obarczyć odpowiedzialnością propagandy, która nie zdołała osiągnąć podobnego sukcesu na wielu innych polach dezinformacji. Jego podstawa był niewątpliwie silny w latach czterdziestych strach przed Ukraińcami i nienawiść do nich – w znacznej mierze uzasadnione, gdyż na Wołyniu i w Galicji Wschodniej działy się wówczas rzeczy potworne, a fama docierająca do centralnej Polski jeszcze je wyolbrzymiała. Wydaje się jednak, że podstawowym źródłem tego stereotypu była propagowana i chętnie przyjmowana teza o ściśle etnograficznym charakterze nowych granic Polski, a także założenie, przekonanie i pragnienie łączące ówczesne władze z co najmniej większością Polaków – że w odrodzonej Polsce nie ma i nie może być miejsca dla mniejszości narodowych. Tak rozpoczął się proces "porozumienia narodowego" lat czterdziestych – przechwytywania przez komunistów elementów programu Narodowej Demokracji, bardzo wówczas popularnego (II wojna światowa dowiodła – zdawało się – jego słuszności). Nowa Polska, oparta o Rosję miała być Polską Piastowską o "historycznie słusznych" granicach i sojuszach. Była to, chcąc nie chcąc, realizacja testamentu Romana Dmowskiego. Po kilkunastu latach przyszedł czas i na inne jego tezy.

Na zachodnim brzegu Sanu i Bugu cywilna ludność ukraińska poniosła w owych latach znacznie większe straty niż Polska (oficjalnie podaje się 599 ofiar spośród polskiej ludności cywilnej w latach 1944-47). Już latem 1944 r. skierowano przeciw UPA Wojska Wewnętrzne – polski odpowiednik Wojsk NKWD. Formacja ta nie zajmowała się jednak zwalczaniem UPA, znacznie lepiej od Wojsk Wewnętrznych uzbrojonej i wyszkolonej, lecz brutalnymi akcjami wymuszała na ludności ukraińskiej wyjazdy do ZSSR. Jak pisze polski historyk W. Nowacki, tylko w woj. rzeszowskim od sierpnia 1944 do maja 1945 zabito podczas walk i prób ucieczki około 1000 osób (straty własne wyniosły 18 zabitych). Liczby te wymownie świadczą o charakterze akcji. Sam autor uznaje liczbę ukraińskich ofiar za zanizoną, co oczywiście, skoro tylko w dwu "pacyfikacjach" tego okresu, w Goraju i Starym Lublińcu zginęło 940 osób. A przecież nie był to jeszcze koniec.

Rejestr podobnych czynów można by ciągnąć długo – może warto by opracować taką księgę hańby polskiej? Polskiej, bo te masakry były dziełem nie tylko komunistycznych Wojsk Wewnętrznych czy częściowo tylko skomunizowanego LWP. Liczne czarne karty zapisały tu też oddziały sił "narodowych" oraz samorzutne formacje chłopские, tzw. samoobrony, gromiące na ogół najbliższych sąsiadów. Tylko od marca do czerwca 1945 r. z ich rąk zginęło co najmniej 1500 Ukraińców. Takie bywały "sąsiedzkie" porachunki tamtych czasów. Natomiast Akcja "Wisła" była zastosowaniem zbiorowej odpowiedzialności ludności cywilnej za działalność formacji wojskowych, działaniem sprzecznym z międzynarodowym prawem wojennym. I nie jest usprawiedliwieniem fakt, że na wschodzie Europy nikt się z nim wówczas nie liczył.

Przeprowadzenie zdecydowanej operacji, kładącej kres działalności UPA było bezspornie koniecznością. Żadne państwo nie może tolerować na swym terytorium niepodporządkowanych mu sił zbrojnych, nie wspominając o formacjach, prowadzących przeciw niemu wojnę. Tego faktu nie może zmienić ocena legalności władzy państwowej ani stosunku do niej obywateli (w tej akurat sprawie stanowisko rządu i narodu było wówczas jednolite). Jednakże konieczność ta nie usprawiedliwia dowolnych działań. Obowiązkiem władz jest szukanie takich rozwiązań, które oszczędza-



Stepan Bandera – dowódca Ukraińskiej Armii Powstańczej.

ją obywatelom cierpień, a zwłaszcza – przelewem krwi.

I tu dochodzimy do kwestii kluczowej, a wstydlivej dla "internacjonalistycznego" kierownictwa ówczesnej Polski. Otóż OUN i UPA wyłączone zostały z lutowej amnestii 1947 r. Amnestia ta spowodowała wyjście z lasu ogromnej większości polskiej partyzantki niepodległościowej i nie ma żadnego powodu by wątpić, że także znaczna część partyzantów ukraińskich, a zwłaszcza większych oddziałów samoobrony także by z niej skorzystała. Były zresztą pojedyncze przypadki "ujawniania się" Ukraińców, nieświadomych tego, że amnestia ich nie dotyczy. I choć pewna część partyzantów pozostałaby w lesie, rozpad większych samoobron radykalnie zmieniłby układ sił – wieś ukraińska liczyłaby teraz na ochronę wojska przed odwetem "leśnych", a nie jak dotychczas – odwrotnie. Znacznie osłabione oddziały UPA musiałyby więc szybko ulec ogromnej przewadze wojska nawet bez tak kolosalnej operacji, a tym bardziej – bez wysiedleń. Wszystko to rząd polski mógł osiągnąć jednym pociągnięciem pióra – ale najwiśdziej osiągnąć tego nie chciał. Kosztowało to nie tylko ogromnie wiele cierpień Ukraińców, ale i wiele krwi polskiej. Przyczyn takiej decyzji upatrywać należy w niepolskim charakterze UPA – ówczesne "pojednanie narodowe" miało ograniczyć się wyłącznie do Polaków.

Nie wytrzymuje też krytyki podstawowe uzasadnienie Akcji "Wisła", jako by likwidacja partyzantki ukraińskiej nie była możliwa bez usunięcia z terenu walk ludności cywilnej. UPA wiosną 1947 r. liczyła najprawdopodobniej nie więcej

niż 1500-2000 ludzi rozproszonych w 80-200-osobowych oddziałach od Sanki do Hrubieszowa, a choć zmęczona długotrwałą wojną bez szans na zwycięstwo, wciąż stanowiła poważną siłę. Jednakże rzucenie przeciw niej 20 tysięcy żołnierzy, w dodatku kierowanych etapami na poszczególne obszary, dawało by wojsku przewagę dwudziesto-trzydziestokrotną i pozbawiało partyzantów wszelkich szans. Przy takim stosunku sił przeprowadzenie blokady terenu, tj. jednoczesnego obsadzenia wojskiem wszystkich miejscowości i przeczesywanie lasów, nie tylko było możliwe bez wysiedlenia ludności, ale nawet byłoby łatwiejsze ze względu na aprowizacyjnych i kwaterunkowych. Wzorce istniały — taką właśnie operację przeprowadziło NKWD zimą 1945/46 w staliśławowskim. Ponadto polskie dowództwo (to samo dowództwo) nie uciekło się do wysiedlenia w toku walk z "Ogniem", działającym także w trudno dostępnym terenie górskim i cieszącym się poparciem ludności kto wie czy nie większym, niż UPA.

Nawet jednak, gdyby przyjąć, że na niektórych terenach istniała konieczność czasowego usunięcia ludności cywilnej, to żadne względy wojskowe nie uzasadniały trwałego przesiedlenia, roz-

proszania i wywłaszczenia. Była to decyzja polityczna i jego powody także musiały być politycznej natury. W toku wysiedlenia świadomie rozrywano więzi sąsiedzkie, a nawet rodzinne. Zlikwidowano też wszelkie formy ukraińskiego życia narodowego z nauczaniem języka na poziomie elementarnym włącznie. Cel tak zaplanowanej akcji mógł być tylko jeden — likwidacja ukraińskiej mniejszości narodowej w Polsce. Skoro nie udało się tego osiągnąć przez przesiedlenia do ZSSR w latach 1944-46, sięgnięto po "ostateczne rozwiązanie" typu stalinowskiego. Pozabawiono ludzi domów i ojczyzny tworząc warunki, w których ich wynarodowienie było — jak sądzono — nieuniknione... Ukraińcy we wrogim lub w najlepszym razie obojętnym środowisku polskim mieli się szybko spolonizować, podobnie jak Tatarzy Krymscy czy Czeccy — w rosyjskim. Nie udało się to ani tu, ani tam, gdyż w rozumowaniu tym tkwił błąd — szowinizm wszystkich czasów i narodów oznacza niedocenianie siły przetrwania innych narodów.

Winę za to wszystko ponoszą przede wszystkim ówczesni zarządcy Polski — KC PZPR, rząd i Państwowy Komitet

Bezpieczeństwa. Przeprowadzenie Akcji "Wisła" nie było w pełni suwerenną decyzją tych władz, lecz zostało narzucone przez wszechmocnych doradców sowieckich, bo sięgnięto do tamtych wzorców. To nie ulega wątpliwości. Jednakże sprawa winy na tym się nie kończy. Bo żołnierze, którzy przysięgli owej wiosny do ukraińskich dmy, by ludzi wyrzucić z ojczyzny, a ich domy spalić, którzy przy tym rabowali, gwałcili a nieraz mordowali — byli Polakami. W swoim pojęciu służyli Polsce. Nieraz do dziś są przekonani, że służyli jej wówczas dobrze.

Akcja "Wisła" — ostatni z długiego szeregu akt przemocy w stosunkach polsko-ukraińskich — nie napotkała na jakiegokolwiek protest ze strony polskiej, przy powszechnej społecznej akceptacji. Później zaś to nie rząd — a w każdym razie nie tylko rząd — traktował polskich Ukraińców jako obywateli II, jeśli nie III kategorii, jako złe konieczne. I nie tylko komunistyczna propaganda ponosi odpowiedzialność za to, że chcieliśmy wierzyć, iż Ukraińcy to naród hajdamaków, reżunów, morderców... Nie wszyscy, to prawda. Ale wystarczająca większość, byśmy musieli powiedzieć — naród, powiedzieć — my. I uderzyć się w piersi.

Jan Łukaszów

* PRZEGLĄD PRASY * PRZEGLĄD PRASY * PRZEGLĄD PRASY * PRZEGLĄD PRASY *

NIEMIECKIE WIDMA W POLSCE

"Czy to widma? Te mniejszości niemieckie ze Śląska, z Pomorza czy Gdańska, których delegacje przybyły w niedzielę do Krzyżowej, by zakłopotanemu Kohlowi wymachiwać przed nosem transparentami z napisami: "Helmut, jesteś także naszym kancierzem" lub "Chcemy szkół i mszy w języku niemieckim?", lub jeszcze gorzej: "Jesteśmy z Danzig" napisane po niemiecku, a nie po polsku. Znow widma: dawni deportowani na roboty przymusowe Polacy domagający się na ulicach Warszawy odszkodowań wojennych.

I jeszcze jedno widmo, ale bardziej sezonowe: turyści niemieccy, z których każdy w tej chwili opowiada swą historię z upodobaniem nieco masochistycznym. Dawni właściciele gospodarstw w rejonie Wrocławia lub Szczecina, pozbawieni swej własności i wyrzuceni przez Polaków po wojnie, powracają każdego lata, parkując swego Mercedesa przy stodole, sprawdzają stan chodników, macają krowie wymiona, niepokoją się uprzemije o zbiory i wypijają kielszek z nowym właścicielem. Czy wskutek nostalgii, czy uprzedzając fakty?

W tej burzącej się Europie Środkowej,

w której galopem wraca przeszłość, w zagmatwanym labiryncie Europy zmarłych-wstającej, w tej mozaice pozabijanych mniejszości i nie naruszonych wspomnień, spróbujcie powiedzieć Polakom z Białorusi, Żydom z Wilna, Ślązakom z Wrocławia, że historia się nie powtarza." (LE NOUVEL OBSERVATEUR, 22.11.)

TRUDNIEJ EMIGROWAĆ DO USA

Na łamach THE NEW YORK TIMES Robert Pear powołując się na oficjalnych przedstawicieli administracji, twierdzi, że Stany Zjednoczone dramatycznie ograniczają przyznanie Polakom i Węgom statusu uchodźców, ponieważ nie ma już powodów do obaw, że będą prześladowani we własnych krajach. Polacy i Węgrzy, by korzystać — w ramach nowej polityki — ze statusu uchodźców, muszą posiadać krewnych w USA, musi istnieć zagrożenie dla ich życia, wreszcie — "ludzi tych muszą łączyć nadzwyczaj silne więzy z USA".

Nowa polityka wobec ewentualnych uchodźców ma zostać oficjalnie ogłoszona już niedługo i jak się oblicza, dotknie ona bezpośrednio ok. 20 tys. Polaków i Węgrów, którzy złożyli już podania o emigrację w a-

merykańskich ambasadach i konsulatach w Europie Zachodniej.

W okresie minionych ośmiu lat do USA przybyło — w charakterze uchodźców — 33.060 Polaków i 5.459 Węgrów. W 1988 roku (do 30 września) liczby te wynosiły: 3.607 z Polski i 1.075 z Węgier. (THE NEW YORK TIMES, 22.11.)

EKOLOGIA W BLOKU WSCHODNIM

200 mld dolarów na poprawę stanu środowiska naturalnego w Europie Wschodniej powinny zgromadzić w ciągu najbliższych 20 lat kraje zachodnie, w ramach "europejskiego planu ekologicznego" — informuje zachodni niemiecki Instytut Rozwoju Gospodarczego (DIW). Powstałe wskutek ekologicznego rozboju szkody w Sowietach szacuje się na około 10% dochodu narodowego, a w Polsce na około 20%, podczas gdy inwestycje na rzecz ochrony środowiska nie przekraczają 1% dochodu narodowego tych krajów. Roczne szkody wynikające z zanieczyszczenia środowiska w NRD szacuje się na 28 do 30 miliardów marek wschodnich, przy inwestycjach w wysokości zaledwie 1 miliarda marek. (TAGESPIEGEL, 29.12.89.)

Stefan Ziarski

Zachód wobec zbrodni katyńskiej

Janusz K. Zawodny. *Katyń, z przedmową Zbigniewa Brzezińskiego, Editions Spotkania, Paryż 1989, s. 328.*

Katyń. Wybór publicystyki 1943-1988 i Lista Katyńska, Polonia Book Found, Londyn 1988, s. 189 oraz Lista Katyńska, w opracowaniu Adama Moszyńskiego.

Temat zbrodni katyńskiej należał do najbardziej ściganych tematów w dziejach PRL. Przypomnijmy od razu – i niech to będzie postulat pod adresem czynników dokonujących obecnie rehabilitacji – że organa peerelowskiej "sprawiedliwości" skazały kilkadziesiąt osób za wskazywanie palcem prawdziwego sprawcy zbrodni.

Literatura katyńska wydana na Zachodzie jest bardzo obszerna, w kraju był to temat do niedawna niedostępny. W 1976 r. Zdzisław Jagodziński, kierownik biblioteki polskiej w Londynie, wydał "Bibliografię Katynia (książki i broszury)" liczącą 254 pozycje. Podstawowe dzieło dotyczące zbrodni – "Zbrodnia Katyńska w świetle dokumentów", z przedmową Władysława Andersa – miało wprawdzie pięć wydań emigracyjnych, ale była to praca rzadko dostępna na krajowym rynku. Żadna z prac prof. Louisa Fizgibbona, wnikliwego brytyjskiego badacza zbrodni, nie została przetłumaczona na język polski.

Pierwsza, oryginalna i w miarę kompletną pracę krajową na temat Katynia, była broszura "Katyń" wydana w 1977 roku w Warszawie przez Społeczny Instytut Pamięi Narodowej im. Józefa Piłsudskiego. Broszurę to anonimowy autor opatrzył dwoma nazwiskami – Jana Abramskiego i Ryszarda Żywieckiego. Jest to pierwsze i ostatnie nazwisko z listy katyńskiej.

Literatura katyńska wzbogaciła się ostatnio o dwie niezwykle cenne pozycje. Editions Spotkania wydały obszerną, liczącą ponad trzysta stron książkę prof. Janusza K. Zawodnego pt. "Katyń". Prof. Zbigniew Brzeziński pisze w przedmowie: "Dziś jeszcze, gdy tłumiąc w sobie gniew piszę te słowa, polityczni spadkobiercy morderców z Katynia nie mogą zdobyć się na to, by wyznać winę, wskazać prawdziwych zabójców i w ten sposób obmyć przynajmniej ręce. Ofiary Katynia wciąż profanuje kłamstwo, które skrywa ich ostatnie chwile i nie daje rodzinom prawa uczczenia i publicznie ich pamięci. Rząd sowiecki, który prawdopodobnie wciąż zatrudnia albo płaci emerytury żyjącym jeszcze katom, wznosi obecnie pomnik na przesiąkniętej krwią ziemi Katynia. Dalej jednak podtrzymując znieważającą ofiary wersję wydarzeń: fałszuje prawdziwą datę zbrojnego mordu..."

Dokumentacja tematu katyńskiego nie jest, wbrew pozorom, łatwa. Zwłaszcza dokumentacja naukowa, a taką jest praca prof. Zawodnego. Związani ze sprawą Katynia ludzie ginęli w tajemniczych okolicznościach. Ginęły dokumenty, nawet te, wydawałoby się, przetrzymywane w bezpiecznych miejscach, np. w siedzibie wywiadu USA.

Zaangażowanie w sprawę prawdy o Katyniu – pisze prof. Zawodny – łamało kariery dyplomatów i wojskowych, zaś zna-

na postawa sędziów Trybunału Norymberskiego, rzuca cień na rzetelność i uczciwość tego, składają szacownego, gremium. Niewiele jest w historii zdarzeń, w których ukrycie i zafałszowanie włożono tyle energii, pracy i starań, jak w sprawę Katynia.

Milczenie bądź kłamstwo było udziałem nie tylko sprawców zbrodni – Sowietów. Współuczestniczyli w kłamstwie również przywódcy alianckich mocarstw, milczeli lub kłamali sojusznicy, ich dyplomaci i politycy.

"Masakra katyńska – pisze prof. Zawodny – wywołała w USA cały szereg dziwnych, niezwykłych nawet reperkusji. W związku z nią odsunięty został w cień i wysłany na odległą placówkę na Samoa osobisty przyjaciel prezydenta Roosevelta; zniszczono karierę pułkownika, który – spełniając jedynie swój obowiązek – złożył sprawozdanie ze swego pobytu w Katyniu; wywiad wojskowy odmówił wydania Kongresowi Stanów Zjednoczonych raportu na ten temat; w końcu ten raport zaginął w tajemniczych okolicznościach."

Sprawa Katynia była tuszowana przez rząd USA również po ustaniu działań wojennych. Generał Clayton Bissell z amerykańskiego wywiadu wojskowego utrzymywał raport o Katyniu w tajemnicy. Motywował to trwającą nadal wojną z Japonią, w której Stany Zjednoczone liczyły na pomoc Sowietów. Ujawienie raportu mogłoby – jego zdaniem – spowodować komplikacje polityczne. Ukrywany raport w końcu gdzieś zaginął.

Ale nawet po zakończeniu wojny z Japonią, USA ukrywały sprawę Katynia. W 1950 roku Józef Czapski – zaangażowany w poszukiwania zaginionych oficerów i sam ocalały z pogromu – odwiedził USA. Rozgłoszła "Głos Ameryki" zaproponowała mu wówczas przygotowanie audycji dla polskich słuchaczy. Czapski pokazał tekst odczytu, zaś urzędniczy z "Głosu Ameryki" usunęli zeń wszystko, co dotyczyło masakry katyńskiej. Ocenzurowano nawet samo słowo Katyń!

Rząd amerykański w kompromitujący sposób chował głowę w piasek. Kompromitacja płynęła stąd, że szereg osobistości amerykańskiego życia publicznego, m.in. były ambasador USA w Polsce, Arthur Bliss Lane, jako przewodniczący komisji do zbadania masakry katyńskiej, wygłaszał odczyty i pisał do prasy. Podobnie postępowali inni członkowie komisji.

Dopiero w 1951 roku powołano komisję Kongresu do zbadania sprawy. Komisja zaprosiła do udziału rząd sowiecki, rząd polski w Warszawie, rząd RFN oraz rząd polski na emigracji. Warszawa i Moskwa odmówiły.

Wniosek komisji dotyczący wniesienia skargi przed Międzynarodowy Trybunał Sprawiedliwości przeciw ZSSR nie miał dalszego ciągu.

W Wielkiej Brytanii dopiero w 1972 roku opublikowano korespondencję brytyjskiego ambasadora, akredytowanego przy polskim rządzie w Londynie, O'Malleya. Ambasador kieruje podejrzenia na Sowiety i informuje o tym premiera Anthony Edena. W końcu zrezygnowany pisze: "Użyliśmy – niestety – całego autorytetu Anglii (...) dla ukrycia tej masakry".

Książka prof. Zawodnego jest trudnym do przecenienia kompendium wiedzy o masakrze katyńskiej. Autor zamieszcza obszerny wykaz dostępnych źródeł i jako pierwszy dokonuje re-

konstrukcji listy zbrodniarzy – niekompletnej zapewne, ale już obejmującej pięćdziesiąt trzy nazwiska.

Jeśli ktoś będzie chciał odpowiedzieć na trzy zasadnicze pytania w sprawie katyńskiej, musi sięgnąć po pracę prof. Zawodnego. Odpowiada ona na pytania: Kto zabił polskich oficerów, jak zostali zabici i dlaczego ich zabito?

Odpowiada również na szereg pytań z dziedziny etyki. Tych zwłaszcza, które należy głośno kierować do państw będących ostoją demokracji. Państw, które, niestety, wzięły udział w tuszowaniu tej niesłychanej w swym bestialstwie zbrodni na jej-cach wojennych.

Jakiegokolwiek tłumaczenie niewiedzy nie może wchodzić w rachubę. Przekazuje o tym wydana przez londyńskie wydawnictwo Polonia Book Found książka "Katyń. Wybór publicystyki 1943-1988 i Lista Katyńska".

Książkę otwiera przywołanie tematu pióra Aleksandry Kwiatkowskiej-Viatteau, a następnie wstrząsające świadectwo Józefa Mackiewicza pt. "Wiedziałem na własne oczy" opublikowane w wileńskim "Gońcu Codziennym" 3 czerwca 1943 roku.

Londyńskie "Wiadomości Polskie" już 2 maja 1943 roku opublikowały artykuł Zygmunta Nowakowskiego omawiający zbrodnię katyńską. O morderstwie pisała cała emigracyjna prasa.

Pisano różnie. Jedne teksty porażają naturalizmem. Opis zbrodni przyprawia o dreszcz przerażenia. Dokładnie, ze szczegółami, nawet takimi, jak przestrelone daszki czapek leżących, do których strzelano po ułożeniu ich na drgających jeszcze ciałach kolegów. Te przekazy miały obudzić sumienia tych, którzy postanowili zbrodnię ukryć i przemilczeć.

Drugą grupę artykułów stanowią teksty analityczne. Są precyzyjnym wypunktowaniem argumentów za tezą o tym, kto naprawdę zbrodni mógł dokonać.

Jerzy Grobicki, jeden z 92 oficerów z Kozielska, którzy uniknęli śmierci w Łasku Katyńskim, opublikował w Londynie 9 listopada 1947 roku artykuł pt. "Fakty Katyńskie" ("Lwów i Wilno", nr 48). Opisuje w nim scenę odjazdu z Kozielska jednej z partii oficerów. Pożegnaniu z tymi, którzy zostawali jeszcze w Kozielsku, przyglądało się dwóch polityków sowieckich, Sieliodkin i Urbanowicz. Sieliodkin powiedział głośno do Urbanowicza, że gdyby Polacy wiedzieli, dokąd jada, to by posiwili. Wówczas Urbanowicz ofuknął go słowami, które słyszał autor artykułu: "Milez, usłyszysz jeszcze i zrozumieją". A więc wiedział, co się stanie! Wiedział, co się stało, przez cały czas. Również na stanowisku wiceministra obrony narodowej PRL...

Szereg tekstów zamieszczonych w wyborze dotyczy stosunku Zachodu do sprawy katyńskiej. Uderzająca jest w nich bezsilność autorów wobec zmywu milczenia nad mordercem. Ferdynand Goetel milczenie to nazwał w londyńskich "Wiadomościach" "morderczym zwycięstwem ciemnego zbrodniarza katyńskiego nad całym «oświeconym» światem zachodnim, zwycięstwem, którego my, nainowi Polacy, zrozumieć nie chcemy i nie możemy, gdyż wchodzi w grę cała nasza wiara w Zachód i moralną wartość jego kultury".

Tę "moralną wartość" zakwestionowała sprawa Katynia, a ściślej mówiąc, ci wszyscy, którzy brali udział w tuszowaniu bądź bagatelizowaniu mordu. Czyny te również, jak byśmy to dzisiaj powiedzieli, autorytety moralne tamtych czasów. Oto wybitny pisarz Graham Greene, humanista i chrześcijanin, stwierdza na łamach "The Sunday Times" (15.01.1956), że "Katyńska masakra blednie, traci znaczenie (fades into insignificance) w porównaniu z sześciu milionami zmarłych". Wielcy moralisci mają widać również chwile słabości...

Wybór publicystyki katyńskiej przypomina wiele podobnych postaw. I na tym polega jego pierwszorzędna wartość. Ukazanie bowiem stosunku do zbrodni ma wartość ostrzeżenia tych, którzy (obojętnie z jakich motywów: głupoty, niewiedzy czy

wręcz nikczemności) obojętnie stawali po stronie zbrodniarzy. Nawet jeśli tego wcale nie chcieli.

Stefan Ziarski

Adam Fink

Nieco marzeń

Tomasz Burek. *Zadnych marzeń, Oficyna Wydawnicza Pokolenie, Warszawa 1989, pierwodruk: Wydawnictwo Polonia, Londyn 1987, s. 222.*

Tomasz Burek w swej książce przytacza zdanie Iwaszkiewicza wypowiedziane w czasie przełomowego Zjazdu ZLP w Katowicach, w 1978 roku, o tym, jaką "mamy rzadką i wspaniałą literaturę". Ale to już zdanie historyczne, nawet jeśli jest prawdziwe, to już przeszłość, to pamięć. Nie można żyć samą przeszłością. Obecne życie literackie jest puste, na pół martwe. Burek pisze o zaniku krytyki literackiej, która towarzyszyła dotąd literaturze i jeśli nawet jej nie współtworzyła, to przynajmniej stwarzała odpowiednie środowisko, właściwy klimat dla rozwoju życia kulturalnego, była objawem jego stanu. Podobnie dzieje się z historią literatury, którą kadca epoka powinna na nowo dla siebie wypracowywać. Autor omawia niektóre takie historycznoliterackie "wypracowania", godne rzeczywistego stanu wojennego. Szczególnym takim przykładem tendencyjności i deformacji jest "Historia literatury polskiej w zarysie", zwłaszcza jej część o literaturze XX wieku, opracowana przez Stanisława Jaworskiego i Mariana Stępnia.

Z racji uwarunkowań historycznych, o których była mowa, literatura polska, zwłaszcza w czasach niewoli XIX i niewoli XX wieku, skazana jest na polityczność. To jedna z jej głównych cech. W bardzo instrykcyjnym wyszczególnieniu głównych jej wartości, charakterystycznych cech, Burek wymienia, oprócz polityczności, jeszcze trzy inne: historiozoficzność, religijność i nadliterackość, jak to nazywa, czy też nieliterackość. Dowody dwóch pierwszych znajdujemy zwłaszcza w romantyzmie i modernizmie, ale przecież też w renesansie i baroku, w tym, co łączy Mickiewicza, Słowackiego, Krasińskiego, Norwida z Wyspiańskim, Brzozowskim, Berentem, Zeromskim, a potem z Witkacym, Miłoszem, w tematyce historycznej z Malewską, Parnickim czy Kottlem i Jasienią, a w religijnej z Tadeuszem Micińskim, Czechowiczem, Liebertem, Sebyłą, Konińskim czy Bolesławem Micińskim. Trzecia cecha, nadliterackość, wynika ze świadomości dwuznaczności literatury i wyraża potrzebę przekraczania jej fikcyjności, umowności, udania, w kierunku prawdy. Stąd jej fragmentaryczność, kształt otwarty, coraz częściej niedokończony, nieostateczny – świadectwo pokory literatury wobec prawdy życia. Przykładów dość, znów od czasów romantyzmu począwszy, ale szczególnie dużo współczesnych: Różewicz, Buczkowski, Brandys, Białośzewski, a też późna Dąbrowska, Kuncewiczowa.

Książka Burka krąży wokół pierwszej i ostatniej cechy. O polityczności mowa w wypowiedziach o literaturze przełomu październikowego, w refleksji o marcu 1968 r., o stanie literatury po Zjeździe w Katowicach w 1978 roku, wreszcie w uwagach o przełomowym momencie w życiu politycznym i umysłowym w 1980 roku. Wokół tego, co autor nazywa nadliterackością, a co można rozumieć także jako niekonwencjonalność i otwartość, a

dokończenie na str. 72

Artystyczne pomysły

Paweł Luty

»Labirynt« — Przestrzeń Podziemna

Między 14 października a 2 grudnia ub. roku obszerne podziemie kościoła Wniebowzięcia Pańskiego na warszawskim osiedlu Ursynów Północny wypełnił "Labirynt". Twórcami tego głośnego już przedsięwzięcia artystycznego byli znani organizatorzy wystaw i imprez kulturalnych w obiektach sakralnych — Janusz Bogucki i Nina Smolarz. W dotychczasowym dorobku obojga jest to kolejna znacząca realizacja, będąca dalszym ciągiem autorskiej wypowiedzi o kondycji człowieka i jego losu, zapoczątkowana przed kilku laty wystawą "Znak Krzyża" w kościele na ul. Żytniej w Warszawie.

"Labirynt" został skonstruowany w postaci imponującego układu przestrzennego, składającego się z jednej strony ze stref i przedstawień plastycznych, z drugiej zaś z obszernego materiału fotograficznego. Prace i kompozycje plastyczne oraz zdjęcia były autorstwa artystów i fotografów, którzy zostali zaproszeni do uczestnictwa przez J. Boguckiego i N. Smolarz.

Centrum układu stanowiła bardzo duża konstrukcja z drewna i blach, tworząca, zgodnie z intencją autorów, właściwy Labirynt. Wokół rozmieszczono strefy i obszary związane jądrem układu.

Rozpocząła Strefa Wstępna, będąca plastyczną wizją początku świata przedstawionego w pierwszych rozdziałach Księgi Genesis, a więc stworzenie

wszczęświata, ogród rajski, grzech pierworodny. Naprzeciw wejścia do korytarzy Labiryntu znalazło się drzewo wiadomości dobra i zła — kompozycja symbolizująca "narodziny iluzji, że po spożyciu tajemniczego owocu ludzie staną się «jako bogowie», że człowiek będzie od-tąd miarą wszechrzeczy i niezależnym od Stwórcy budowniczym własnego świata".

Sieć mrocznych i poplątanych korytarzy Labiryntu to obraz świata, do którego trafił człowiek po stracie rajskiego bytowania, po zerwaniu przymierza z Bogiem. W środku tej sieci umieszczona została Wieża Babel — symbol "kreatorskiej pychy człowieka" oraz także "wyobrażenie obłądnych, choć pozornie racjonalnych systemów i konstrukcji cywilizacyjno-politycznych naszego czasu". W korytarzach Labiryntu rozmieszono

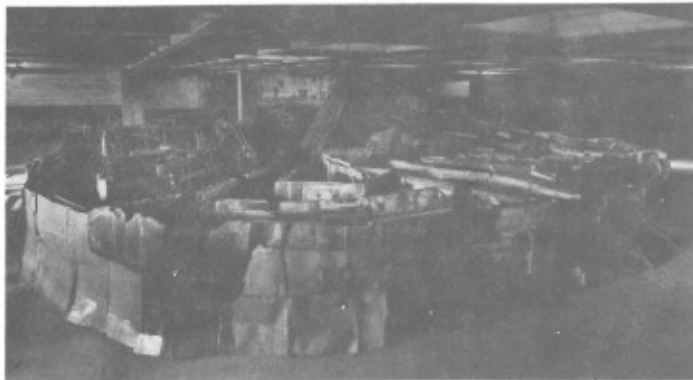
wiele fotografii, wydobywając je z mroków odpowiednim podświetleniem. Zdjęcia zostały wybrane z całych dzieł polskiej fotografii. Zaraz po wejściu do Labiryntu znalazły się zdjęcia nawiązujące do początków życia człowieka, a więc jego narodziny i młodość, nato-



Jedna ze Stref Autorskich w inaczej Krystiany Robb-Norbut

miast przy wyjściu — zdjęcia poświęcone kresowi ziemskiej wędrówki, starość i umieranie. Reszta zdjęć, wypełniająca liczne korytarze i zakamarki, została zgrupowana w ciągi tematyczne, zamierzone jako: Osoby, Miejsca, Zdarzenia.

Dobór zdjęć wyszukiwanych w archiwach różnych muzeów i instytucji oraz dostarczonych przez fotografów, został dokonany według kryterium ich wartości dokumentalnej w wymiarze wielkich i małych zdarzeń, prywatności, różnorodności miejsc, społecznych odniesień i sytuacji dziejowych. Świadomie starano się uniknąć w zestawieniu materiału zdjęciowego "idealizowania życia Polaków" czy też "piętnowania jego ciemnych stron", jednocześnie dyskretnie eksponując "pewną właściwość ogólnoludzką, szczególnie wybijającą wśród Polaków: kontrast pomiędzy wzniosłością wielkich słów, zbiorowych wrzuseń i chwil osobliwych, z jakże częstą bylejątkością i trywialnością postępowania codziennego".



Labirynt właściwy — centrum układu przestrzennego

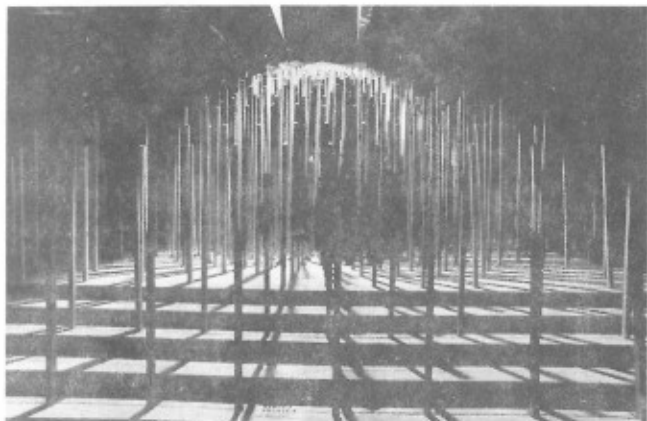


Kościół w Ursynowie, miejsce ekspozycji "Labiryntu".

Na ścianach Labiryntu znalazły się też teksty nie nawiązujące wprost do zgromadzonych tu zdjęć, w których zostały zawarte refleksje "wywiedzione z doświadczenia różnych kultur i epok, odnoszące się raczej do sytuacji powracających w dziejach wciąż na nowo, znajdujących również odbicie w jednostkowych i społecznych losach pol-

skich XIX i XX wieku".

Wąskie wyjście z mroków i splątania Labiryntu wiodło do kontrastującej z nim Strefy Światła — obszaru świetlistego i radosnego, symbolu jakby miejsca świętego, trochę nierzeczywistego, jednak nieodłącznie związanego z ziemskim bytowaniem; podobnie jak kolejna Strefa Domu — przytulona i bezpieczna



Alejozy Gryt "Strefa Światła"

dokończenie ze str. 70

także dążność do syntezy form literackich, skupiają się ściślej określone szkice o poetycko-prozaiczno-dramatycznych formach Różewicza, o postaciach dziennika, eseju, autobiografii, świadectwa obecných w całej literaturze współczesnej. Mowa tu m.in. o utworach Słonimskiego, Zawieyskiego, Brandysa, Woroszyńskiego, Kisielewskiego, o "Miazdze" Andrzejewskiego.

Książka Burka ma także, i słusznie, część rozrywkową. Należą do niej "humoreski" krytyczne o pisarstwie profesorów Kubackiego i Jakubowskiego, o teorii literatury Bohdana Czeszki, o niektórych kuriozach krytyki literackiej. Mamy nadzieję, że autor napisze jeszcze o podobnych, ostatnio "aktualnych" bohaterach literackich.

przystań, pachnąca chlebem, ziołami i świeżym, surowym drewnem, z którego to powstała.

Całości układu przestrzennego Labiryntu dopełniały zlokalizowane wokół Strefy Autorskie, będące własnymi, subiektywnymi wyobrażeniami artystów plastyków na temat idei Labiryntu oraz rozmieszczone pod sufitem pomieszczenia dwa Obszary Malarstwa na kształt "nieba i ziemi", towarzyszące wędrownce w Labiryntie. Nie zabrakło też symboli duchów opiekuńczych i duchów przewrotnych (aniołów i demonów), obecnych i oddziaływujących na los człowieka — te znalazły się w ostatniej już strefie, czyli na Dziedzificu.

Podziemie ursynowskiego kościoła odwiedziło mnóstwo ludzi, zarówno spośród mieszkańców osiedla, jak i tych, którzy tu dotarli z odległych dzielnic Warszawy, były też osoby spoza niej i z zagranicy. Życzliwemu księdza Tadeusza Wojdata, proboszcza parafii, pozwoliła zamiar twórców "Labiryntu" urzeczywistnić właśnie tutaj, pośród ogromnego osiedla mieszkaniowego, będącego nie tylko sypialnią dla tysięcy mieszkańców, ale też kulturalną pustynią. Może powstanie tu nietypowy ośrodek kulturalny? Takie właśnie nadzieje wyrażano w czasie otwarcia tej niezwykłej ekspozycji.

Paweł Luty

Wszystkie cytaty w tekście pochodzą z wypowiedzi Janusza Boguckiego.

Zdjęcia: Jarosław M. Goliszewski

Tytuł książki jest skrótem słynnego powiedzenia cara Aleksandra II do Polaków: "Panowie, żadnych złudzeń!". Dziś, jak sądzę, wolno mieć nieco złudzeń czy też marzeń. Książka Burka, kończąca się szkicem o Herbercie jako poecie wierności, jest dowodem pewnych możliwości i nadziei, przynajmniej w życiu indywidualnym i literackim. Autor od wielu lat towarzyszy literaturze polskiej w jej zmiennych kolejach, jest to tym cenniejsze dziś, gdy znajduje się ona w większej niż dawniej potrzebie.

Książka została wydana już zupełnie profesjonalnie przez Oficynę Wydawniczą "Pokolenie". Gdyby miała jeszcze nieco lepszą okładkę, nie mielibyśmy w stosunku do niej żadnych (innych) marzeń.

Adam Fink

"Pogląd" nr 2(154): "Pij, będziesz czerwony"

Wielce Szanowny Panie,

Zgodnie z naszą umową przesyłam Panu "Tydzień Polski" z 24.02.1987 r., w którym na 3 str. zamieszczono tekst "Pij – będziesz czerwony". Artykuł ten ukazał się obecnie z kilkoma zmianami w "Poglądzie".

Jak wynika z moich zapisków i zebranych informacji wspomniany artykuł został doręczony naszemu przedstawicielowi w Warszawie przez p. Jerzego Szczęsnego pod koniec 1986 roku. Honorarium autorskie wypłacone zostało p. J. Szczęsnemu.

Jestem przekonany, że w najbliższym numerze "Poglądu" ukaze się stosowne wyjaśnienie.

Redaktor "Tygodnia Polskiego"

Włodzimierz Olejnik, Londyn 20.11.89

Od redakcji: Redakcję "Tygodnia Polskiego" przepraszam za przedruk bez zezwolenia i podania źródła. Tekst "Pij, będziesz czerwony" dostarczył "Poglądowi" dotychczasowy kierownik działu krajowego p. Jerzy Szczyński nie informując mnie, że jest jego autorem. Miał to być oryginalny materiał p. Z. Adamca, nie znanego mi bliżej dziennikarza z Warszawy, który otrzymał zań odpowiednio honorarium od "Poglądu". Editor

Ubezpieczenie bez złudeń**Odpowiedź na list W. Żelaznego z "Poglądu" nr 4/156**

Polski czytelnik nie bardzo ma możliwość sprawdzić, kto z nas ma rację. Potrzebuje konkretnych dowodów, na to jak funkcjonuje Ubezpieczenie Społeczne we Francji. Postaram się te dowody przedstawić.

Pan W. Żelazny twierdzi m.in., że Ubezpieczenie zwraca 75% kosztów za leczenie, ja – że około 60%. Przypadek żrządził, że równocześnie z tekstem polemicznym p. Żelaznego otrzymałam rachunek z Ubezpieczenia Społecznego, informujący o zwrocie pieniędzy za wizytę u dentysty. Wizyta ta kosztowała 320 franków. Jednak Ubezpieczenie uznało, że suma, od której należy mi się zwrot 75% kosztów leczenia wynosi nie 320 franków, ale 211 franków i 50 centimów. W efekcie Ubezpieczenie zwróciło mi za tę wizytę 158 franków i 62 centymy, czyli niecałe 50% faktycznie zapłaconych przeze mnie pieniędzy.

Ponieważ we Francji należy wszystko zachowywać, co przysła, bo nigdy nie wiadomo, kiedy się przyda, odnajduję kolejny rachunek z Ubezpieczenia – tym razem za wykonanie korony na zębie. Dentysta (bardzo tani!) kazał sobie zapłacić 1000 franków. Suma, od której Ubezpieczenie zwraca tym razem 75% kosztów wynosi 705 franków. Ubezpieczenie oddało mi więc 528 franków i 75 centimów. Tym razem trochę więcej, niż 50% faktycznych kosztów leczenia.

Rachunek trzeci – za wykonane przez pielęgniarkę zastrzyki. Koszt usługi 101 franków i 40 centimów. Zwrot Ubezpieczenia – 65 franków i 91 centimów. Każde dziecko obliczy, że to nie jest 75% zapłaconej sumy.

Rachunek czwarty – za wkładkę ortopedyczną do buta. Koszt – 400 franków. Zwrot – 50 franków.

Pan W. Żelazny ma rację, jednak czysto teoretyczną, że Ubezpieczenie zwraca 75% kosztów leczenia. Takie jest rzeczywistość, zawarte w Kodeksie Ubezpieczenia Społecznego. Rzecz w tym, że prawo to zostało równocześnie tak sformułowane, że na każdym kroku dopuszcza odstępstwa od generalnej zasady. Tuż po wojnie Związek Zawodowy Lekarzy i regionalne kasy Ubezpieczenia Społecznego we Francji zawarły umowę,

ustalającą sumę, którą lekarz może pobrać za leczenie i od której to sumy Ubezpieczenie zwróci pacjentowi 75% kosztów leczenia. Sumy te były wówczas różne dla różnych departamentów, a umowa nie objęła wszystkich regionów Francji. W 1971 roku spisano kolejną konwencję, tym razem obejmującą cały kraj. Wreszcie umowa trzecia wprowadziła liczne modyfikacje do poprzednich.

Przystąpienie do konwencji przez francuskiego lekarza i zobowiązanie się, co za tym idzie do narzuconych z góry taryf, jest całkowicie dobrowolne. Do decyzji tej zachęcają wprowadzić awantaże socjalne, jednak i tak część lekarzy pozostaje poza konwencją. Oznacza to, że nie muszą się liczyć z żadnymi stawkami. Ale nawet i ci lekarze, którzy są sygnatariuszami umowy, mają liczne możliwości przekroczenia stawek. Pozwolę sobie w tym miejscu zacytować opinię Jeana-Jacquesa Dupeyrouxa, dyrektora wydziału prawa pracy na Sorbonie, wziętą z jego wydanictwa naukowego pt. "Prawo Ubezpieczenia Społecznego" (*Droit de la Sécurité Sociale* – wydawca Dalloz, rok wyd. 1986).

"Wybór pozostaje otwarty dla każdego lekarza (art. 42) i 3-cia konwencja zachowuje podstawowe rozróżnienie między lekarzami objętymi i nie objętymi konwencją: ale lekarz może być objęty konwencją, nie będąc zobowiązany do respektowania jej taryf; związek między konwencją a obowiązkiem respektowania taryf może zostać nie zachowany. Wybór pozostawiony jest w rzeczywistości pod tym względem dla każdego lekarza dzięki art. 28."

Dupeyroux wymienia następnie cztery kategorie lekarzy praktykujących we Francji. Są to lekarze objęci konwencją i respektujący jej stawki, objęci konwencją, ale nie zobowiązani do respektowania jej taryf, lekarze objęci konwencją oraz mający stałe prawo przekraczania stawek i wreszcie grupa pozostająca poza umową. I tak na przykład lekarze ze stałym prawem do przekraczania taryf to przede wszystkim ci, którzy posiadają tytuły uniwersyteckie, wysoka specjalizacja lekarską, funkcje szpitalne, opublikowane prace naukowe, czy też – jak to określa prawo – "autorytet lekarski". Wszyscy oni figurują na specjalnej liście Ubezpieczenia Społecznego. Poza tym jednak każdy lekarz ma prawo przekroczyć stawkę, jeśli wymagają tego "wyjątkowe okoliczności". Prawo upomina go tylko, by uczynił to "z miarą i taktem".

Francuskie prawo Ubezpieczenia Społecznego to prawdziwy gąszcz przepisów, którego przeciętny obywatel nigdy nie zglebi. Wystarczy powiedzieć, że Kodeks Ubezpieczenia Społecznego liczy 1864 strony ("Codes de la Sécurité Sociale et de la mutualité", wydawnictwo Dalloz, rok wyd. 1985), a cytowana przeze mnie praca Dupeyrouxa, stron 1143. Przedstawiony jednak powyżej tylko mały wycinek tego prawa dowodzi dostatecznie, że zwrot 75% kosztów za leczenie jest czystą teorią. Zauważa to zresztą każdy, kto rzuca od czasu do czasu okiem na rachunki z Ubezpieczenia. Być może też, że podane przeze mnie ok. 60% zwrotu kosztów jest cyfrą zawyżoną. Była ona zresztą czysto orientacyjna, a mój felieton nie pretendował do miana sprawozdania buchalteryjnego. Na powyższych uwagach problemy Ubezpieczenia we Francji się nie wyczerpują. Pozostaje do omówienia jeszcze wiele innych spraw, jak np. koszty leczenia szpitalnego, do których postaram się jeszcze powrócić.

Zdaniem p. Żelaznego: "Ubezpieczenie Społeczne czuje się finansowo dobrze, a nawet bardzo dobrze. Problemy finansowe wynikają z emerytur, te zaś z przedłużającego się życia, zaś nie z ochrony zdrowia". Pozwolę sobie jeszcze raz zacytować prof. Dupeyrouxa:

"Bez wdawania się w problematykę generalną, pozwolę sobie poprzestać na przypomnieniu, że zwrot wydatków na zdrowie, o wiele szybszy niż dochodu narodowego czy zarobków, wszędzie wywołuje poważne problemy. Jednak problem ten jest

z całą pewnością jaskrawszy w kraju, gdzie, jak to ma miejsce we Francji, mechanizmy ubezpieczenia chorobowego opierają się na dwóch podstawowych zasadach:

1. Wolnym charakterze zawodu lekarskiego: są to lekarze trudni do skontrolowania, których liczba bez przerwy rośnie i którzy są przede wszystkim "sprawcami" wydatków ubezpieczenia chorobowego.

2. Finansowaniu poprzez składki od zarobków: wysokość zarobków zwiększa się o wiele wolniej, niż wydatki na zdrowie zarobkującego i jego rodziny, a więc deficyt jest nie do uniknięcia, ma charakter strukturalny."

Dupeyron zauważa również, że wzrastające bezrobocie, co oznacza zmniejszenie liczby obywateli, płacących ubezpieczenie, problem ten znacznie pogłębia.

Nie będę się natomiast dawać za p. W. Żelaznym w dyskusję, czy na ulicy umiera częściej bezdomny i niedojadający kłoziarz, czy dobrze odkarmiony obywatel z dachem nad głową i numerem telefonu swojego "domowego lekarza". Pan W. Żelazny nazwał mój artykuł "urągającym dziennikarstwu kłamstwem". Polemikę mojego dziennikarskiego "kolegi" pozostawiam bez określeń.

Ewa Darmas, Paryż

"Pogląd" nr 1(153): "Spowiedź dziecięcia systemu"

Swą "Spowiedź dziecięcia systemu" ("Pogląd", 1/1989)

Aleksander J. Wiczorkowski rozpoczyna: "Wszyscy jesteście komunistami. Może najbardziej ci, którzy mienią się aktywnymi antykomunistami". Rozumiem, że to prowokacyjna zaczepka skierowana do czytelnika, której wymowa ma wywołać opór i sprzeciw. Rozumiem też, że autor chciał nas przekonać o przemożnym i wszechstronnym wpływie komunizmu na nasze życie. Co innego jednak podlegać jego wpływowi, co innego uleć mu, a jeszcze co innego – stać się komunistą. I na tym można by poprzestać, gdyby dialektyczny sofizm nie wyglądał za bardzo dwuznacznie. Mimo wszystko, autor ze zbyt dużą łatwością wypowiada się za wszystkich.

Następnie przechodzi do analizy komunizmu jako zjawiska wszechstronnie wyniszczającego. Oczywiście jest to szersze z punktu widzenia jego uczestnika. Komunizm wygląda tu demonicznie, przedstawiony został jako nienukionny los, a to już kwestia dyskusyjna. Autor wyolbrzymia komunizm do roli fatum po to, by pokazać, że nikt komunizmowi się nie oprze. W ten sposób może usprawiedliwić lub obciążyć każdego z osobna. Ale właściwie dlaczego? Czyżby sam miał nieczyste sumienie?

Nie mogę przystać na to, aby wmawiano mi, że moje czynne niezaangażowanie, mój stały wewnętrzny opór nie miał żadnego znaczenia, nie liczył się w dzisiejszym rachunku. Konstrukcja Wiczorkowskiego przypomina w tym względzie rewolucyjny banał: byt określa świadomość.

Jeśli to wszystko jest serio – to wypowiedź autora trzeba uznać za jego własne usprawiedliwienie, dokonywane jednak w zbyt dwuznacznej formie. Skoro wszyscy jesteśmy grzesznikami – zdaje się mówić – to nikt, tak naprawdę, nie jest winny.

Należy jednak przypomnieć, że nie wszyscy byli komunistami, że wielu dawniej zapłaciło życiem, zdrowiem lub więzieniem za bunt, odmowę, obojętność, za "non serviam". To ci niepokorni i duża część tego narodu, wywalczyli to, co dziś możliwe. Gwoli prawdy a także przez pamięć i wdzięczność dla tych, którzy nie ulegli, trzeba ściśle rozróżniać jednych i drugich. Jest to bowiem nauka potrzebna dziś i w przyszłości.

Autor musi uznać również silne skutki działania komunizmu, gdy zaczyna on słabnąć lub pojawiają się luki w jego systemie. Działają one za pośrednictwem silniejszych bądź słabszych nosicieli komunizmu. Tu jednak A.J. Wiczorkowski błyskawicznie przedzierzga się ze spowiedziącego się w spowiednika, odpytuje nas z tego, co dotąd zrobiliśmy, krytykuje. Skoro jednak uznał, że komunizm ma tak silny wpływ, to nie sposób teraz żądać, by wszystko nagle wróciło do normy. Jakiej zresztą, tej właśnie, której nie ma?

Dalej autor znów nas strofuje, choć zaliczył się już przecież do spadkobierców ustroju. Wmawia nam, że chcemy przejąć władzę, że będziemy w ten sposób napędzać mechanizm błędnego koła komunizmu. Ostrzega, że elity znów się zdegenerują, a masy zdegradują. A co robi autor? On już nie jest winny, rozgrzeszył się, a teraz ostrzegał. Na koniec wraca do recepty pierwotnej, wyrażonej już bezosobowo: "trzeba zabić komunistę w samym sobie!" (bo ja już zrobiłem, ręce mam czyste!). Ale jak tu zabijać, skoro komunistą jest się w każdym calu, czy nie byłoby to samobójstwo?

A można byłoby zacząć od spraw najłatwiejszych: mówić za siebie, a nie za innych, bić się w piersi własne (jeśli potrzeba), a nie cudze.

Czytając całą wypowiedź A.J. Wiczorkowskiego nie mogłem się oprzeć wrażeniu, że uprawia on jakąś grę z czytelnikiem.

Zmienna strategia autora sprawia, że nie wiem właściwie, z kim mam do czynienia. Nie zaznacza się jako jakaś określona osoba, lecz wydaje się tworem różnych sytuacji, okazjonalnych decyzji czy wyborów. W każdym razie, mogę obawiać się, że gra uprawiana przez autora jest jeszcze jedną z konsekwencji i zasłóści tego, przed czym nas tak ofiarnie broni, nie dostrzegając, że sam nadal temu ulega.

Nie znam bliżej biografii autora. Dowiedziałem się, że od 1969 roku należał do Partii, uzasadniając swą decyzję tym, że profity, których mógł się tam spodziewać, już osiągnął, walczyć zaś z komunizmem mógł tylko wallenrodzycznie, w Partii. To zabawne ale i smutne, że człowiek, który dopiero po marcu '68 w Polsce i po sierpniu '68 w Czechosłowacji znalazł się tam, skąd już wielu odeszło lub zostało wyrzuconych, a nawet wygnanych z kraju, udziela nam teraz lekcji i znów wskazuje drogę. Zdumiewa mnie przy tym śmiałość, a zarazem łatwość wydawania sądów i ocen, prawo zabierania zawsze głosu, przyznawane sobie w imieniu innych, przywilej zarazem korzyści czy racji i krytyki, uczestnictwa i asekuracji, prawo do władania słowem, tę dziennikarską łatwość sprawowania rządu dusz, tę przewagę wyższej wiedzy i lepszej sprawiedliwości.

Niech autor nam nie wmawia, że my zachowujemy się tak samo, jak on, i że wszyscy jednakowo musimy odpowiadać za to, w czym on, jako świadomy w swoim czasie – właśnie komunista – uczestniczył.

Marek Klecel, Warszawa

Od redakcji: Treść listu uległa znacznym skrótom. Redakcja starała się zachować sens rezygnując z bombastycznych figur retorycznych. Do chwili zamknięcia numeru nie otrzymaliśmy odpowiedzi od p. J. Wiczorkowskiego na wysłany mu powyższy list.

czytaj **Pogląd**

Polacy w diasporze

Szanse zamieszczenia w tej rubryce mają nadesłane od organizacji polskich czy też osób prywatnych informacje o znaczących dla środowisk polskich wydarzeniach, imprezach polonijnych lub też dokonaniach Polaków na całym świecie.

POLSKIE SPOTKANIA W NIEMCZECH ZACHODNIACH

Odczyt prof. dr. Tadeusza Drewnowskiego na temat twórczości Marii Dąbrowskiej, zwłaszcza dzieł odkrytych po śmierci pisarki, odbył się 30 stycznia br. w Deutsches Polen-Institut w Darmstadtzie.

9 stycznia br. był w Kolonii "dniem informacyjnym" na temat gospodarczych zmian zachodzących w Polsce. Organizatorem "dnia" była Izba Przemysłowo-Handlowa Nadrenii-Westfalii.

Wystawę prac krakowskich malarzy, którzy z powodów politycznych nie prezentowali swojej twórczości w kraju w ciągu minionych lat, otwarto 21 stycznia br. w foyer Staatstheater w Darmstadtzie.

SĄDZA SIĘ I OBRADUJĄ

Mimo sporów o nadwyżki finansowe, które doprowadziły członków dawnego kierownictwa ZPU (założonego po wojnie) przed zachodniemiecki sąd, przedstawiciele organizacji spotkali się w dn. 16-17 grudnia 1989 r. w Mannheim, by wybrać swe władze. Nowym prezesem ZPU w Niemczech został Andrzej Pasadyn.

BERLIN ZACH.: ANTYPOLSKA PRASA

Zawodową indolencją czy też niebezpieczną w dziennikarskim fachu stronnictwością wykazał się reporter zachodniobermberskiego dziennika *Tagesspiegel* pisząc 10 grudnia ub. o "wąskim gardle, jakie powstało w berlińskim handlu wskutek naporu polskich klientów". Polaków oskarżył o profesjonalny handel, głównie środkami spożywczyymi, przy czym np. czekoladę kosztującą DM 0,60 — zdaniam reportera kupowaną w oszaleńczej ilości do 10 tys. tabliczek — sprzedaje się w Polsce za 10-15 marek zach.

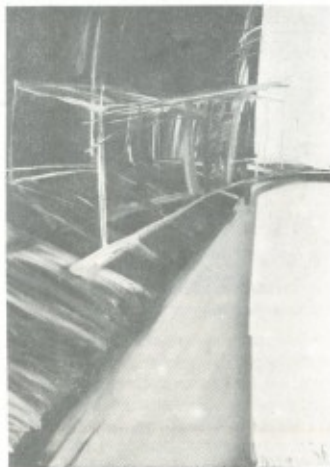
Bzdury tego rodzaju można by skwitować wzruszeniem ramion, gdyby nie były kolejnym przyczynkiem do rozbudzenia antypolskiej hysterii towarzyszącej "demokratyzacji" Niemiec Wschodnich i zjednoczeniowym dążeniami obu niemieckich państw.

Reakcją zachodniobermberskiego "Towarzystwa Solidarność" był "List otwarty" skierowany do kierownictwa i współpracowników dziennika. Przewodniczący "Towarzystwa Solidarność" Edward Klimczak zwrócił w nim uwagę na niezasadność wytoczonych w artykule zarzutów, na stronniczość pojawiających się od pewnego czasu w dzienniku artykułów, które obrazają Polaków, rozniecają narastający w Niemczech nacjonalizm, szowinizm i prawicowy radykalizm przypominając, że wszystko to dzieje się dokładnie 50 lat po hitlerowskiej napaści na Polskę. List podpisało kilkudziesięciu Polaków mieszkających w Berlinie Zachodnim — osoby prywatne i właściwie wszystkie polskie organizacje działające w Berlinie Zach. *Tagesspiegel* nie opublikował listu. Z małymi skrótami "list otwarty" opublikowano w biuletynie poznańskiego SW, z dn. 1-7.01.89, nr 1/161.

BERLIN ZACH. — GALERIA KIK-U

Wernisaz malarstwa i rysunku Andrzeja Worona (poprzednie nazwisko: Andrzej Woroniec) artysty od 1982 roku przebywającego w Berlinie Zachodnim odbył się dn. 8 grudnia 1989 r. w Galerii Klubu Inteligencji Katolickiej przy polskim kościele w dzielnicy Tempelhof.

Andrzej Woron (ur. w 1952 r., dyplom u prof. Janka Sienickiego) jest wykładowcą malarstwa w Wyższej Szkole Sztuk Pięknych w Berlinie Zachodnim. Swoje prace wystawiał m.in. w warszawskiej "Zachęcie", w galeriach w Stuttgarcie, Bayreuth, Singen i w Berlinie Zachodnim.



BERLIN ZACH.: OSTATNI KOMUNISTYCZNY MOHIKANIN

Nazywa się Witold Kamiński. Mieszka w Berlinie Zachodnim od 1981 roku. Po ogłoszeniu stanu wojennego (13.12.1981) był współzałożycielem Grupy Roboczej "Solidarność", która w kłótniach skończyła żywot 1,5 roku później. W 1983 roku został przewodniczącym Polskiej Rady Socjalnej. Na pierwszym jej zebraniu głosował przeciwko udziałowi w "prosolidarnościowej" demonstracji. W latach następnych wraz z lut. Misją Wojskową PRL organizował polskie imprezy kulturalne, sprowadzając do Berlina grupy muzyczne. Nieraz słyhać go było w prasie, jak przed samowolą władz bronił tu Polaków: handlarzy z nielegalnego rynku czy tych, którym władze miejskie odmawiały legalizacji pobytu.

Współpracuje z "Alternatywną Listą" (odpowiednik partii "Zielonych"), m.in. w programie radiowym lewicowej rozgłośni "Hundert,6", gdzie co czwartek emitowana jest audycja w jęz. polskim. W piątek, dn. 26.01.90 był prelegentem na Uniwersytecie Technicznym w Berlinie Zachodnim — "Niemiecki nacjonalizm, rewanzyzm i rasizm z polskiej perspektywy".

Jego Rada Socjalna poparta tę imprezę pod hasłem: NIE WIEDER DEUTSCHLAND (Nigdy więcej Niemiec), wspólnie z takimi organizacjami jak np. "Komunistyczny Związek Berlin Zachodni", "So-

cjalistyczna Partia Jedności Berlina Zachodniego), dzielnicy Kreuzberg (tj. SEW, czyli odgałęzienie zachodnie Honeckerowskiej SED).

Zasługuje na pochwałę. Gdy w Polsce nawet komuniści wsadzają orzekowi koronę, on trwa tu przy swoim, i przy swoich sojuszach. St. Gał.

»GRUPA 3«

Einweihung to po polsku — poświęcenie, odsłonięcie, otwarcie, wtajemniczenie. Wszystkie te znaczenia odpowiadają założeniom widowiska zaprezentowanego przez "Grupę 3" jesienią ub. roku w benedyktyńskim opactwie w Brauweiler koło Kolonii.

Twórcy powstałej w 1976 roku we Wrocławiu "Grupy 3" — Maria i Janusz Pac-Pomarnacy bronią się przed zaliczeniem swoich akcji do jakiegokolwiek istniejącego gatunku artystycznego: "Każda próba



Maria i Janusz Pac-Pomarnacy

definicji będzie za szeroka albo za wąska. Nie chodzi nam o prawidłową czy też nie, interpretację; chcemy przede wszystkim dać widzowi przeżycie, nie tylko estetyczne lecz także emocjonalne. Łączymy bardzo różne środki wyrazu. Można streszczać nasze działania jako sztuki plastyczne w ruchu, połączone z muzyką". Takie było *Einweihung II*, przychylnie przyjęte przez blisko 300-osobową kolońską publiczność i zachodnioniemiecką prasę.

NASZ CZŁOWIEK W BBC

W styczniu br. rozstał się z "Poglądowym", prawie dwuletnim (z przerwami) redaktorem Piotr Kowalcuk. Rozstał się rzetelnie, obiektywnie, krytycznie, niezależnie, poza- i ponadpartyjnie. Na miarę posiadanych sił i talentów. Uczciwie. Tak jak pracował. Pojechał do Londynu, skąd od stycznia Anno Domini '90 usłyszeć go można na antenie polskiego programu BBC.

Powodzenia, Piotrze!

Redakcja.



BERLIN ZACH.: "POLSKIE TYGODNI"

W dniach od 19 stycznia do 2 lutego br. odbyło się w Berlinie Zachodnim w centrum kulturalnym "Urania" szereg imprez kulturalnych oraz prelekcji o Polsce w ramach "Tygodni Polskich". Jako współorganizatorów wymieniono w broszurze programowej Ministerstwo Kultury i Sztuki w Warszawie, Misję Wojskową w Berlinie Zachodnim, CEPLEJ,

oraz resort kultury zachodnioniemieckiego Senatu. Festiwal zaingaurowany został prelekcją prof. dr. Mieczysława Tomala, wicedyrektora Instytutu Spraw Międzynarodowych w Warszawie, a następnie uroczystym otwarciem (aż cztery przemówienia!) wystawy polskiego plakatu filmowego, po czym "Stowianki" z Uniwersytetu Jagiellońskiego dały pokaz swoich ludowo-tanecznych i wokalnych umiejętności. Na zakończenie galowego wieczoru wydano przyjęcie: czystą zwykłą witaly gości panienki w strojach krakowskich, był naturalnie bigos i piwo. Wieczór skończył się dużo lepiej, niż zapowiadał to jego początek.

Na początku — przedstawiony jako polski ekspert nr 1 od spraw polsko-niemieckich — prof. dr M. Tomala podjął całkowicie niedaną próbę omówienia stosunków polsko-niemieckich w wykładzie zatytułowanym "Niemiecko-polskie stosunki i Europa". Od razu zaznaczyć trzeba, że prof. Tomala używał słowa "niemiecki" w znaczeniu "zachodnioniemiecki", a pojęcie "Europa" było tylko w tytule referatu. W ujęciu Tomala architektem dziś nienajgorszych stosunków polsko-niemieckich (jako że Niemcy są pierwszym zachodnim partnerem handlowym Polski) był Władysław Gomułka, który "doprowadził do zawarcia z Niemcami układu państwowego w 1970 r." Jego pomocnikiem, jak to niedwuznacznie wynikało z wykładu i retoryki profesora ("rozmaiałem z Gomułką", "my zawarliśmy" itd.), był on sam. Wg Tomala komunistyczny rząd polski zawsze pragnął dobrosąsiedzkich stosunków z Zachodnimi Niemcami, w czym przeszkadzał pierwszy kanclerz RFN Adenauer, który już w 1956 r. odrzucił ofertę Gomułki podjęcia stosunków dyplomatycznych z Polską. Aczkolwiek NRD jako nowo powstałe niemieckie państwo od razu uznało granicę na Odrze i Nysie, to w Polsce "nie próbowano przedstawiać Niemców zachodnich jako «złych», a wschodnich z NRD jako «dobrych». W ujęciu Tomala "granica na Odrze i Nysie była sukcesem Polaków". I to właściwie byłoby wszystko, co miał do powiedzenia partyjny uczyony, oczywiście oprócz charakterystycznych dla peżelpeerowskiej retoryki frazesów i ogólników.

Długo można by mówić o tym, czego prof. Tomala nie powiedział — chyba najlepiej w koreferencji. Tomala nie poruszył właściwie niczego, co najważniejsze i dla Polaków, i dla Niemców: sprawy powojennego przesunięcia granic Polski ze Wschodu na Zachód, odplywu obywateli polskich do RFN po 1970 r. i podjętej dopiero po 45 latach — za sprawą "Solidarności" — próby uregulowania problemu niemieckiej mniejszości narodowej w Polsce. Kilku obecnych na wykładzie — i wyraźnie nim sfrustrowanych — berlińskich historyków, związanych z przyjaźnią do Polski nastawioną Akademią Ewangeliczną, opuściło salę prelekcyjną nie doczekawszy końca przemówienia.

To, że partyjny uczyony z partyjnego instytutu plecie bzdury, nie wywołuje zdziwienia i pisać by o tym nie warto, gdyżby robił to na rachunek własnej partii, a nie reprezentował tu Polski. Współorganizatorem imprezy było jednak warszawskie ministerstwo kultury i sztuki, kierowane przez solidarnościowego ministra, p. N. Cywińską, pod patronatem której odbywała się ta tak ważna dla Polski impreza. Jako współorganizator ponosi więc i ona odpowiedzialność za jej program. Tak przynajmniej wygląda sprawa odpowiedzialności w demokracjach parlamentarnych. Już zupełnie nie do pojęcia jest to, że kolejnym prelegentem, referującym o Lechu Wałęsie, "Solidarności" i "szansach rządu Mazowieckiego" — jak podano w programie — był "zastępca kierownika działu do współpracy z zagranicą w warszawskim urzędzie postępu technicznego" Andrzej Wilk.

Zestawienie imprez "polskich tygodni" było więcej niż przypadkowe: od przekazującego wątpliwe prawdy historyczne filmu Wajdy wg powieści Andrzejewskiego "Popiół i diament" po występy teatru lalek z Bielska-Białej i prelekcje o katastrofach ekologicznych czy też o polskich uzdrowiskach, z których aż 62 rekomenduje się zachodnioniemieckim turystom, m.in. w ekologicznie przecież zdewastowanych Sudetach. Zupełnie retoryczne jest więc pytanie, czy nie stać nas na prezentacje na takich imprezach tylko tego, co w polskiej nauce, myśli politycznej i kulturze ma wymiar europejski, jak np. wspaniały zespół "Słowianek".

Edward Klimczak

IMPRESSUM

»Pogląd« – niezależny, ponadpartyjny, niecenzurowany miesięczny magazyn polityczny – wydawany jest przez wydawnictwo »Pogląd«. Wszelkie prawa zastrzeżone. Przedruk i tłumaczenia wyłącznie za pisemną zgodą wydawcy. Niezamówionych materiałów nie zwracamy, a w przypadku ich publikacji zastrzegamy sobie prawo do skrótów. Materiały podpisane nawet nazwiskiem niekoniecznie oddają stanowisko redakcji. Odpowiedzialność za artykuły podpisane nazwiskiem ponoszą autorzy. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada. Ceny ogłoszeń ustalamy każdorazowo ze zleceniodawcą.

»Pogląd« ukazywał się od stycznia 1982 roku w Berlinie Zachodnim jako niezależne pismo zrzeszenia »Gesellschaft Solidarność« e.V. Od numeru 153 (wrzesień 1989) ukazuje się w Warszawie.

Kolportaż i prenumerata za granicą wyłącznie poprzez »Gesellschaft Solidarność« e.V., Geßlerstr. 10, D-1000 Berlin 62 (West) oraz jego wymienionych niżej przedstawicieli.

Prenumerata krajowa: przez kolportaż, cenę ustalają oficyny wydawnicze.
Prenumerata zagraniczna: cena pojedynczego egz. na Zachodzie DM 8,-.

RFN:
półroczna: DM 54,-
roczna: DM 100,-

Kraje zamorskie (poczta lotnicza):
półroczna: DM 75,-
roczna: DM 140,-

Europa i kraje zamorskie (poczta zwykła):
półroczna: DM 59,-
roczna: DM 110,-

Australia:
półroczna: DM 85,-
roczna: DM 165,-

Wysyłkę podejmujemy po przekazaniu należności na konto – z dopiskiem »prenumerata«:

»Gesellschaft Solidarność«
Sparkasse Berlin West
Konto-Nr. 1220012382
BLZ 10050000

»Gesellschaft Solidarność«
Post giro Berlin West
Konto-Nr. 586 90-102
BLZ 10010010

Adres redakcji:

»Pogląd«
Kierownik biura: Masza Kmicik-Lejman
ul. Hoża 37 m. 31
WARSZAWA
tel. 22/218881

»Pogląd« (»Gesellschaft Solidarność« e.V.)
Kierownik biura: Leszek Kaleta
Geßlerstr. 10, Postfach 620224
D-1000 BERLIN 62 (WEST)
tel. 0048/30/7829384, 8729515

Editor: Edward Klimczak

Redakcja: Stanisław Gałęzowski – zagranica;
Elżbieta Stasiak – kroniki;
Zbigniew Żbikowski – reportaż;
kraj, aktualności – vacat;

W przygotowaniu niniejszego wydania
uczestniczył Piotr Kowalcuk

Fotoskład: Leszek Kaleta

Korespondenci zagraniczni:

Ewa Darmas, Maria de Hernandez-Paluch – Paryż, Wiktor Grotowicz – Monachium, Krzysztof Kasprzyk – Toronto, Aureliusz M. Pędziół – Wiedeń, Maciej Radwan Rybiński – Bonn, Roman Śmigiełski – Kopenhaga, Andrzej Zwaniacki – Waszyngton

Przedstawiciele i kolporterzy:

AUSTRALIA – Andrzej Lewandowski, 8 View Street, 6008 Subiaco, tel. 09/3821662; AUSTRIA – »Polskie Wiadomości«, A. Jaślikowski, Kolbengasse 35/15, 1030 Wien; Księgarnia Polska, Zofia Reinbacher, Burggasse 22, 1070 Wien; DANIA – Roman Śmigiełski, Worsaaensvej 7, 4tv, 1972 Frederiksberg C, tel. 01/393330; FRANCJA – Krystyna Szewczuk, 143, rue Etienne Poulan, 69400 Villefranche s/S, tel. 74/620945; KANADA – Krzysztof Kasprzyk, 35 Confederation Dr. 205, Ont. M1G1A2, Scarborough; Marek Przykorski, 5050 Roslyn, Apt. 32, H3W2L2 Montreal, P.Q.; NORWEGIA – Paweł Gajowiczek, Gamle Bygdevei 179, 1284 Oslo 12, tel. 47/2/610077; RFN – Lucja Abramowicz, Schmiedenbergstr. 135, 4532 Mettingen, tel. 05452/3878; Robert i Stanisław Brodnicki, Zum Luftschacht 17, 4600 Dortmund 15, tel. 0231/374673; Anna i Zbigniew Dominik, Freiherr-vom-Stein-Str. 46, 5800 Hagen; Jerzy Janowski, Oskar-Maria-Graf-Ring 54, 8000 München 83, tel. 089/6371213; Tadeusz Len, Wiener Str. 307a, 7000 Stuttgart 30, tel. 0711/8567415; Z. J. Pilarski, Im Hirschfeld 19, 5190 Stolberg, tel. 02402/84348; Marek Polliwski, Jülicher Str. 22, 5000 Köln 1, tel. 0221/219480; Christoph Pyrek, Wangenerstr. 27, 7000 Stuttgart 1, tel. 0711/463038; Stanisław Rejman, Bnocherstr 12, 7057 Winnenden, tel. 07195/74356; Stodleck's Buchhandlung, Richard-Wagner-Str. 39, 1000 Berlin 10, tel. 030/3411040; Waldemar Tymoszuk, Alster Arkaden 10, 2000 Hamburg 36, tel. 040/346047; SZWECJA – Tadeusz Karolak, Box 83, 13525 Tyreso, tel. 08/7421457; USA – Mirosław Marecki, P.O. Box 2202, Holland, MI 49422, tel. 616/3616648; Tamara Sochacka, 5026 Cadiz, Detroit, MI. 48212, tel. 311/8715317; WIELKA BRYTANIA – Solidarity with Solidarity, 7 Quintin Ave., London SW20 8LD, tel. 01/6734456;

Zostań naszym kolporterem!

Twoja Szansa
~~Samotność~~

WYBORY 1989~~0~~

ISSN 0030-9500